

Józef Hen



Twarz pokerzysty



**Józef  
Hen**

**Twarz  
pokerzysty**

**klub  
srebrnego klucza**

Iskry Warszawa 1990

*Autor przypomina, że „Twarz pokerzysty” jest powieścią, dziełem fikcji i wszystkie wydarzenia, postacie, miejscowości i lokale zostały wymyślone i nazwane przez autora. Wszelka ewentualna zbieżność z rzeczywistymi wydarzeniami, postaciami etc jest czystym przypadkiem.(LJ)*

Obudziło go światło. „Poczułem na powiekach ciężar - opowiadał. - Dziwne, prawda? To nagle światło to nie była żadna zwiewność, przepastność, jasność lekka jak muślin, jak by pan mógł pomyśleć, zważyło mi się na twarz coś gniotącego, coś, co nie pozwalało rozewrzeć powiek.”

- Wstać - powiedziano spoza białej mgły. - Zbierajcie się.
- A kurtka? - zapytał.
- Ze wszystkim.

Pomyślał, że musiało się stać coś dobrego: ktoś się o niego opomniał, wstawił, albo też sami doszli do wniosku, że jest niewinny. „Co pan chce? - mruknął człowiek, który to opowiadał. - Byłem wtedy bardzo, bardzo młody i głupi jak but.” Przez chwilę przyglądał się swojej nagiej stopie, grzebiącej w rozgrzanym piasku. Miałem przed sobą jego sflaczały brzuch, zarośnięte złotawym buszem piersi, twarz zaokrągloną i rumianą, jasne włosy, mocno już przeredzone i siwiejące na skroniach, i na próżno próbowałem odtworzyć sobie z tego wszystkiego rysy jego lat młodzieńczych. Podbiegła do nas dziewczyna, opalona, uśmiechnięta i mocno zbudowana, ściągnęła z głowy gumowy czepek, rozrzuciła długie, jasne włosy; jej matka, rozwalona obok nas na nadmuchiwanym materacu, poruszyła się leniwie i wskazała dziewczynie ręcznik; córka nie wycierała się, dotykała tylko ręcznikami płynących po ciele strużek wody, mężczyźni przypatrywali się jej słonecznemu ciału wzrokiem pełnym uznania, beznadziejnie zlaknieni, wszyscy mężczyźni dokoła i ja też. „Moja córka” - powiedział. Podążyła mi rękę, trochę jakby onieśmielona, tak mi się przynajmniej wydawało. Szukałem w jej twarzy podobieństwa do ojca - chyba na próżno. Domyślił się tego i wyjaśnił: „Wtedy byłem do niej podobniejszy: miałem ostre rysy, twarz suchą, kościstą. Nie, nie dlatego, że bym nie dojadł. Naturalnie, więzienie to nie pensjonat. Ale chodziło o coś innego. Spalałem się. Byłem zawzięty. Młodość - uśmiechnął się z politowaniem. - Dziś, widzi pan, jestem

urzędnikiem w ogromnym biurze, z którego po pracy wysypuje się ponad tysiąc osób, tysiąc mrówek. Wśród nich ja, Polak z teczką, jeden z wielu.” Więc on to tak tłumaczy, to swoje sflaczenie - domyśliłem się. „Pracuję, ale jestem beczynny. Właściwie za nic nie odpowiadam - zwierzał się. - Nie wiem, czy pan to rozumie.” Rozumiałem. To był gość, który lubił brać na swoje barki odpowiedzialność, gość, który szukał guza. Przypatrywałem się jego córce i myślałem: „Ci głupcy, którzy powtarzają jak papugi, że młodzież przychodzi do gotowego.” Zagadka przyszłego losu tej dziewczyny niepokoiła mnie. „Czy ona zna tę historię?” - spytałem. „Dość powierzchownie - odpowiedział. - Ale czasem wypytuje mnie o szczegóły.”

„Więc światło” - przypomniałem.

„Światło” - powtórzył.

Wyprowadzono go z mroku celi na korytarz. Tutaj ten z latarką zatrzymał się.

- Dymitr - powiedział. - Masz, chłopie, szczęście. Major Zygmunt chce z tobą pogadać.

- Godzina? - zapytał otulając się kurtką. - Która godzina?

- Po piątej.

- Nie śpi mu się czy co?

- Ty, Dymitr, uważaj, lepiej nie strugać wariata. Radzę.

- Będę pamiętał - mruknął.

„Dymitr? - spytałem. - Dlaczego Dymitr?” „Przypadek - wyjaśnił. - Przeczytałem jedno takie opowiadanie. Spodobało mi się imię. Twarde i dziwne. Bo większość naszych pseudonimów była przejrzysta. Ujawniała tęsknoty tych, którzy je nosili. Brało się z Sienkiewicza albo też jakąś aluzję do nas samych, często nieświadomą: skrót imienia, przydomek bogdanki, zapomniany herb. Dymitr był taki daleki ode mnie rzeczywistego, że stawał się absolutnie nierozszyfrowalny. Naprowadzał na mylny trop.”

„Ten z latarką to był znajomy?” - spytałem. „Nie, strażnik. Wtedy, w czterdziestym piątym, było jeszcze tak, że wszyscy w gmachu wszystko wiedzieli, chodziło o skórę każdego, kto był po tej czy tamtej stronie. Strażnik stawał się uczestnikiem

śledztwa, też wiedział, za co i o co. Tylko ja jeden nie wiedziałem” - zakończył kiwając smutno głową.

- Czego on ode mnie chce? - zwrócił się do człowieka z latarką.

Strażnik chwilę się wahał. Potem spytał:

- A co, masz stracha?

- Nie - zaprzeczył Dymitr.

Strażnik opuścił latarkę w dół, biały stożek światła spłynął na kamienną posadzkę korytarza. Po chwili Dymitr poczuł na czole obrzękłe, twarde palce. Spracowane łapsko, zdążył pomyśleć i usłyszał:

- Nie pocisz się.

- Dlaczego mam się pocić?

- Ci, których nad ranem wyprowadzają, pocą się jak w łaźni.

- Ja pod ścianę nie idę.

- Niezły z ciebie bandzior - mruknął strażnik.

- Nie jestem bandzior. Nic nikomu nie zrobiłem. I nie mam się czego bać. Dopókiś nie zagadał, żeby wstawać, to się trochę bałem. Spałem, coś mi się głupiego śniło, zaświeciłeś i zaczęło mi się zdawać, że jestem na Szucha. Jak zagadałeś, to sobie przypomniałem, że już po defiladzie, i zrobiło mi się lżej.

- Myślisz, że jesteś u cioci?

- Prawie.

Strażnik przestępował z nogi na nogę.

- Ja bym tam taki pewny nie był - powiedział.

- Ale mnie nie ma za co - upierał się Dymitr.

- To się zobaczy - mruknął strażnik. - Zobaczy się - powtórzył głośniejsz. - Naprzód marsz.

Za załomem korytarza strażnik zgasił latarkę. Zrobiło się szaro, wąskie, jaśniejsze pasma migotały wzorzyście w poprzek korytarza na posadzce i ścianach.

- Ostatnia twoja szansa, Dymitr - powiedział major.

„Położył przede mną arkusz papieru i pióro - powiedział uśmiechając się do wspomnienia. - Pisz, mówi, pisz taki owaki, wszystko napisz, co wiesz. Nic nowego nie wiem, powiedziałem, w celi nic się nie dzieje. Major nie nalegał. Bo widzi pan, on ode mnie wcale już nie chciał zeznania, ten

major. On już zrozumiał, że takiemu głuptasowi jak ja należy wierzyć na słowo. Nie miałem nic wspólnego z jakimś tam napadem, o który mu chodziło, i on, ten major, już się chyba tego domyślił. Miał do mnie całkiem inny interes, a ten arkusz papieru położył przede mną jakby dla ciągłości sprawy, siłą inercji. Czekałem i zastanawiałem się, co to może być. Major kulejąc krążył po pokoju, długi i chudy jak nadłamana tyka. W kącie drzemał milicjant. Albo udawał tylko, że drzemie, bo kiedy obróciłem się na krześle, żeby nie stracić z oczu kuśtykającego majora, milicjant podniósł powiekę i ścisnął leżący na kolanach pistolet maszynowy.”

- Nic nowego nie wiem - oświadczył Dymitr.

- A jednak... - odezwał się major. Zaczął nagle z innej beczki:  
- Wiecie, kto to był Złowrogi?

Dymitr skinął głową.

- Słyszałem o nim.

- Widzieliście go kiedyś?

- Nie, nigdy. Marzyłem o tym tylko.

„Złowrogi - tak nazywaliśmy tajemniczego faceta, który gdzieś od czterdziestego trzeciego roku pracował dla gestapo - tłumaczył mężczyzna na piasku. - Miał swoje metody, jego robotę poznawało się, jak gdyby nosiła markę fabryczną. Określaliśmy: aha, robota Złowrogiego - bez pudła. Dlategośmy go tak nazwali, bo spowodował masę wpadek, aresztów, wykończeń. Prowokacje, pułapki, i to głównie w lokalach - to była jego specjalność. Dużo o nas wiedział, to fakt. Musiał być gdzieś blisko. Ale nigdy nie udało się go zidentyfikować.” Córka usiadła obok, słuchała objawszy pieścotliwie własne kolana. Ojcu jej obecność dodawała wigoru, ale mnie, słuchacza jego opowieści, rozpraszała. Strzelistość tych nóg, Boże wielki! „Zastawiliśmy z kolei my pułapkę na niego - opowiadał były Dymitr zwracając się do córki. - Niestety, zwietrzył ją i zmienił teren, zaczął działać na ich podwórku.” Córka nie zrozumiała. Wyjaśnił: „Tych, którzy po defiladzie wsadzili mnie do pudła.”

- Uprzedziliśmy was - przypomniał majorowi. - : Dzięki naszemu kontrwywiadowi uniknęliście wpadek.

- Wiem - burknął major. - Nie macie się czym chwalić.

Złowrogi żyje i działa w Bagniskach.

- Już wiecie, kto to jest? - spytał Dymitr.

- Domyślamy się. - Major zwrócił się do milicjanta: - Aresztowanemu przydałby się łyk herbaty.

Milicjant powlókł się do drzwi i uchyliwszy je powiedział do kogoś, kto musiał być tuż obok:

- Herbata dla więźnia.

„Nie opuścił ani na chwilę kancelarii - wspomniał były Dymitr. - Siadł z powrotem na krzesło, pepesza na kolanach, powieki w półprzymknięte.”

Dostał więc herbatę w rozparzonym aluminiowym kubku i do tego papierosa. Sam major podał mu ognia.

- Domyślamy się - powtórzył major. - Wczoraj dostaliśmy z Bagnisk telefon od naszego człowieka, że jest na tropie Złowrogięgo, o północy następną wiadomość.

- Pogratulować - mruknął Dymitr.

- O północy telefonu nie było. Czekaliśmy godzinę, potem skontaktowaliśmy się z hotelem. Odpowiedziano nam, że wydarzyła się tragedia i ten człowiek nie żyje.

- Który człowiek?

- Ten, ten. Ten nasz. Jedyne, który wiedział coś o Złowrogim. Zabito go w Bagniskach w domu gry. Przy kartach. Grali w pokera.

- Przypadek?

- Major Skorpion z Bagnisk wierzy, że to przypadek. Bo zabił go podobno nasz pracownik w czyjejs tam obronie. Jednym słowem - nieporozumienie, pech. Ale ja nie wierzę. Takich przypadków nie ma.

„Wtedy skojarzyłem sobie to, co się stało o północy w Bagniskach, z tym, czego oczekują ode mnie” - powiedział były Dymitr. Na policzki córki wypłynął rumieniec: „Od ciebie?” „Tak, skojarzyłem z tym nagłym obudzeniem.”

- To dlatego jestem wam potrzebny?

- Dlatego - przyznał major. - Czy wiecie, kto prowadzi ten dom gry w Bagniskach?

- Nie.

- Szkoda. Dziwnie jakoś mało wiecie. Prowadzi go wasz



dowódca.

- Który? - spytał Dymitr z bijącym sercem, bo już się domyślał.

- Zawisza.

- Niemożliwe - szepnął.

„Zawisza to był... - próbował mi wyjaśnić. - To był ktoś, na kim można było polegać. Jak w tym przysłowiu.”

- Niemożliwe, że co? - spytał major Zygmunt. - Że prowadzi dom gry, czy że jest Złowrogim?

- Jedno i drugie - oświadczył Dymitr z niezachwianą pewnością.

- Prowadzi dom gry. Dom pełen szulerów i prostytutek.

Dymitr chwilę milczał. Potem odezwał się:

- No, dom gry. Szulernia. Bładzie. I co z tego?

- To, że Zawisza i Złowrogi to jeden człowiek.

- Pomyłka - określił krótko Dymitr.

Zygmunt uśmiechnął się.

- Nie możesz w to uwierzyć?

- Bo to nieprawda.

- Skąd wiesz, że nieprawda? Skąd, bałwanie?

„Tak mnie przezwiał - opowiadał kiwając głową z udanym smutkiem. - Musiałem go rozwścieczyć, twarz mu poczerwieniała ze złości. Utrudniałem mu śledztwo, zbijałem najoczywistsze fakty, irytowałem naiwnością. Cóż mogłem poradzić? Przebiegałem pamięcią całą swoją współpracę z Zawiszą, żeby znaleźć chociaż cień, cień podejrzenia. Nie, niemożliwe. Zawisza - nigdy! Nie umiałem majorowi tego wytłumaczyć. Ale wiedziałem jedno: Zawisza był prawdziwym bojownikiem. Mój Zawisza. Mój bohater.”

- Wiem, że to nieprawda - powtórzył Dymitr.

- A gdybyśmy ci przedstawili dowody?

Milicjant otworzył jedno oko. Dymitr łyknął herbaty. Zrobił to ostentacyjnie. Nie, żeby wzmóc napięcie tych dwóch w kancelarii, ale żeby wyrazić swoje lekceważenie dla ich dowodów.

- Musiałbym sam je zdobyć - powiedział. - Ja sam. Dopiero wtedy.

Major siadł za biurkiem. Uspokoił się, przybrał ton rzeczowy.

- Dymitr, porozmawiajmy poważnie. Dlaczego uważasz, że Zawisza nie mógł być Złowrogim? Czy masz coś konkretnego?

- Nawet bardzo - odpowiedział Dymitr. - Znałem go dobrze.

- I to wszystko?

- Powiedzmy, że jestem fizjonomistą - mówił Dymitr. Major mógł to uznać za kpiny, ale nie zrobił tego, słuchał wynurzeń więźnia z powagą. - Zawisza miał uczciwą twarz.

Major otworzył szufladę i wyjął z niej fotografię wielkości pocztówki. Rzucił ją Dymitrowi.

- Obejrzyj to sobie - rozkazał.

Fotografia przedstawiała twarz znajomego mężczyzny. Przez chwilę myślał nawet, że to Zawisza - postarzały i przez to tak zmieniony. Nie, to był ktoś inny, ktoś boleśnie znany, ale skądinąd, z zupełnie innej sytuacji. Musiał mieć wtedy dłuższe włosy.

- Czy to uczciwa twarz? - spytał gniewnie major.

Mężczyzna na zdjęciu miał regularne rysy, kształtny podbródek z dołeczkiem pośrodku, sympatyczny uśmiech zbitego psiaka, a nade wszystko dobre oczy, naiwne i nieskończenie jasne.

- Tak - powiedział Dymitr - to jest uczciwa twarz.

- Wiesz, kto to jest?

„Nie mogłem sobie przypomnieć - opowiadał. Dziwne, ale tę właśnie opowieść o konfrontacji ze zdjęciem przeżywał teraz, po latach, najmocniej. - Wiedziałem tylko, że twarz jest znajoma. Wiedziałem, że zbliża się cios. Major nie oszczędzał mnie. To jest Fischer, powiedział. Skurczyłem się w sobie, zupełnie jakbym dostał pięścią. Fischer, szef dystryktu warszawskiego, kat getta i stolicy! Widywałem go na zdjęciach, zawsze w olbrzymiej hitlerowskiej czapie, spod której spoglądały fanatyczne, siwe oczy. Te same, proszę pana.”

- No i co? - usłyszał drwiący głos Zygmunta. - Też ma uczciwą twarz.

Więzień chwilę milczał. Bał się, że nie wydobędzie głosu, w gardle chyba zaschło.

- Zawisza - odezwał się wreszcie. - Z Zawiszą to co innego.

Zawiszę znałem.

Potem nastąpiła cisza. Dymitr dopijał herbatę z aluminiowego kubka, który nareszcie ostygł, słychać było głośnie łykanie. Obaj byli w rozterce. Obaj przegrali. Dymitr - bo jego naiwna próba obrony Zawiszy zawiodła. Major - bo nie zdołał mimo wszystko zachwiać pewnością Dymitra, że Zawisza jest nieskazitelny. Nie zdołał nadwątlić jego wiary. „Bo jeśli Zawisza był zdrajcą, to i ja też. Wszystko, cośmy kiedyś razem robili, traciło sens. Po porażce pocieszało nas to jedno: że nasza walka była czysta, że szło o sprawę świętą i że nasz udział był na miarę bohaterską, antyczną. Do tej walki prowadził mnie Zawisza. Nie mogłem uwierzyć, żeby miał jakieś inne, uboczne cele, nie mówiąc już o zdradzieckich. Wierzyłem w niego jak w samego siebie, bardziej niż w samego siebie, i nie przesadzę, jeśli powiem, że byłem gotów oddać za niego ostatnie tchnienie. Czy trzeba zresztą aż tyle? Czy nie wystarczy stwierdzenie, że był jednym z nas? Nie tylko dowódcą, ale i przyjacielem. Zastępował mi ojca, który dał się szybko zabić we wrześnie trzydziestego dziewiątego. Czekał pan, jakże z tym ojcem? Jeśli przyjdą do pana i powiedzą, że ojciec to i tamto, ześwinił się na przykład - to pan co? Uwierzy? Pierwszym obowiązkiem jest nie wierzyć, zaprzeczyć, sprzeciwić się. - Uśmiechnął się: - Obowiązkiem ojców jest pamiętać, że dzieci patrzą im na ręce, że nie powinny się za ojców rumienić. Ale może ten cały układ zobowiązań staje się nieaktualny? Może są to przeżytki dawnych czasów, rudymenty przedpolitechnicznej ery? Kiedy młode pokolenie będzie dorastać w probówkach, a wychowywać się w internatach, wszystkie szczątkowe uczucia i powiązania okażą się wytląle i zwiędłe. Do muzeum z tym, tak, proszę pana!”

- To znaczy, że co? - odezwał się więzień rozdrażniony. - To znaczy, że on cały czas udawał?

- Prawdopodobnie - potwierdził major.

- Udawał - narażając się na śmierć? Udawał - kiedy podczas akcji połowa krwi z niego wyciekła? Udawał w powstaniu - strzelając do ostatniego naboju?

- Tak. Musiał. Wchodził w rolę jak wielki aktor.

- Nie - zaprzeczył Dymitr. - On nie miał za grosz aktorskiej żyłki. Był zawsze szczerzy i prosty jak... jak człowiek z ludu. Albo jak wielki pan. I w ogóle to się tak nie odbywa. Toby było zbyt wymyślne. Jak w kinie. W życiu wszystko jest prościej. Żadnych ciemności w południe! Ja wiem. To tak, jakby pan powiedział, że Kościuszko udawał. Czy ja wiem kto. Takie historie wymyślają ciężcy na pomysłu propagandziści. Ale potem wychodzi na jaw prawda, wszystko się rozsypuje.

Major pochylił głowę. Wydawało się, że śpi. „Może myślał o jakichś swoich sprawach - mówił nie bez pewnej złośliwości były Dymitr. - Zabiłem mu ćwieka. Miałem wtedy dwadzieścia pięć lat, ale dużo dobrej lektury za sobą, czytaliśmy podczas okupacji wszyscy, czytaliśmy rzeczy poważne, rozdzierające, dramatyczne. Czulem, że zasunąłem tej tyce nielicho.”

- Zbyt wymyślne, powiadacie? - spytał podnosząc wzrok. Musiał się już przemóc albo rozgryźć problem, bo spoglądał ironicznie. - Widziało się bardziej wymyślne zawijasy w życiorysach ludzi czynu. Prawdziwe esy-floresy.

- Nie, znaki zapytania - poprawił Dymitr.

Major wstał. Położył Dymitrowi dłoń na ramieniu.

- Umiesz bronić swoich - powiedział. - To umiesz. - Chrząknął. Stawało się oczywiste, że ma coś ważnego do powiedzenia, coś takiego, przed czym sam się wzdraga. Jakby mu zabrakło śmiałości. - Dymitr...

- Tak jest.

- Spróbuję ci zaufać.

„Stał za mną, kiedy to mówił - opowiadał łysiejący pan. - Obróciłem się na krzesło, żeby spojrzeć mu w twarz. Zrobiłem to tak gwałtownie, że milicjant poderwał się z krzesła.”

- Nie rozumiem - szepnął Dymitr.

Major unikał jego spojrzenia. Podszedł do kasy pancерnej i po chwili medytacji zapytał:

- Gdybyście sami zdobyli dowody, że Zawisza jest Złowrogim, to wtedy co?

Przez chwilę więźniowi brakło tchu. Potrząsnął głową:

- Nie chcę o tym myśleć.

- Trzeba myśleć. - Major stał już przy nim. - Co wtedy? -

nalegał.

- Pan wie - szepnął Dymitr.
  - Potrzebujemy go żywego - uzupełnił major.
- Dymitr milczał. Major zaproponował nagle:
- Chodźmy na spacer.

„Tego się nie spodziewałem, rozumie pan chyba sam - opowiadał były Dymitr. - Major zwrócił się do milicjanta: wy na willysie, my piechotą. Zaweźwał sekretarkę, milczącą czterdziestolatkę w mundurze sierżanta, pamiętam, że miała przedwcześnie zwiędłą twarz, gładkie włosy, surowość w oczach, może nawet złość. Kazał jej sporządzić jakąś umowę. Umowę albo kontrakt - nie przypominam sobie, jak to nazwał. Pamiętam tylko, że zdziwiło mnie handlowe wyrażenie tutaj, w tym gmachu, nie miałem zresztą pojęcia, że ma ono coś wspólnego ze mną.”

Wyszli na ulicę. Był świt, szary i posepny. „To były te kolory.”  
- Mężczyzna na piasku wskazał na horyzont nad granatowiejącym morzem: nadciągały chmury - ciemne, ciężkie, żelaziste. Piasek wokół nas zszarzał, a nam zrobiło się zimno. Dziewczyna otuliła się płaszczem kąpielowym.  
„Opowiadaj” - poprosiła.

Szli w milczeniu. Za nimi wolno sunął jeep. Mógłbym nawiać, pomyślał Dymitr, skok w bok i po wszystkim. Sposobności było dosyć: od czasu do czasu przechodzili obok zaułków, w które nawet jeep z trudem by się wcisnął. „Pomyślałem sobie, że lepiej go wysłuchać - wspominał były Dymitr. - Wiać będzie zawsze czas.” Major zaprowadził go do parku. Usiedli na ławce, wyciągnęli przed siebie nogi. Nad głową poszum i suchy trzask liści, sporadyczne wystrzały pękających kasztanów. Chwilami zawiewał wiatr i wtedy zrywała się z drzew kolorowa zamieć, pędziła przed siebie żółto-czerwonym opadem, „jak papierki na takiej paradzie triumfalnej na Broadwayu - usiłował mi wytłumaczyć - nie wiem, czy pan to kiedyś widział.”

- Prowadzi dom gry - powiedział major. - Twój bohater.
- Przykre - zgodził się Dymitr. - Przykre i tyle. Może znalazł się w przymusowej sytuacji.

- Nie jest to zajęcie uszlachetniające.

- Ale czy dyskwalifikuje go ono całkowicie? Może prowadzi ten dom uczciwie? Ostatecznie, to co innego niż sypanie kolegów. Książę Monaco też żyje z hazardu, jednak przyjmują go w najlepszych domach i nisko mu się kłaniają.

- Pamiętajcie, Dymitr: dopóki nie znajdą się inne dowody, Zawisza pozostaje dla nas Złowrogim.

- Rozumiem.

- Pojedziesz tam? - spytał major.

To było to, czego się spodziewał. Ma pojechać do Bagnisk i dostarczyć im Złowrogiego - Zawiszę czy kogokolwiek innego. „Nie odpowiedziałem - wspominał mężczyzna na piasku - ale on i tak wiedział, że się zgadzam. - Westchnął: - Bo to było jedyne wyjście: nakryć Złowrogiego. Albo przyznać, że jeśli nawet działał między nami wróg, to i tak nas to nie obchodzi. Taka obojętność stawiałaby nas wszystkich w dwuznacnym świetle.”

Major wyjął z kieszeni bułkę. Odwinął ją z papieru i przelał.

- Fifty-fifty - powiedział podając połówkę więźniowi.

- A jeśli dam dyla? - spytał Dymitr oglądając zawartość bułki.

- Nie zrobisz tego.

- Niby dlaczego?

- Bo nie chcesz, żeby racja była nasza.

- Ano tak, coś w tym jest. Wykorzystalibyście to w prasie.

- Prawdopodobnie - przyznał z uśmiechem major.

- Wymarzony materiał! - powiedział Dymitr. - Cudo! To niech już zostanie, że nie mogę uciec.

Sprostował w duchu: Możesz, możesz, miej to gdzieś. Bylebyś był na wolności. Przyszło mu na myśl, że przy okazji udałoby się kogoś jeszcze wyciągnąć. Kogo? Przebrał w myśli twarz. Ciepło się zrobiło na ich wspomnienie. „Spróbuję” - zdecydował.

- Potrzeba mi dwóch ludzi - powiedział.

- Dostaniesz.

- Z naszych! Dajcie mi Potoka i Olszewskiego.

Major uśmiechnął się.

- Obstawaj? Za dużo wymagasz. - Powiedział z westchnieniem: - I tak ryzykuję własnymi piętami, rozumiesz? Dlatego, że ci ufam. Liczę na ciebie. Ale jeśli zawiedziesz, ja dostanę po krzyżu. - Chwilę milczał. - Jednego ci dam.

Dobre i to - pomyślał Dymitr i zdecydował:

- To niech będzie Potok.

- Potok - powtórzył major z namysłem. - Dobrześ wybrał. Prymitywny, ale wierny.

Popisuje się rozeznaniem - pomyślał więzień - też ma swoje gierki. Kiedy wyszli z parku, dostrzegł na rogu ulicy budkę z piwem.

- Można? - zwrócił się do majora.

Obok mruczał jeep. Major poszperał w kieszeni i wyciągnął z niej zmięty banknot:

- Masz, napij się.

Szedł ku budce czując na plecach wzrok majora. Pomruk jeepa słabł. Więzień uśmiechał się do siebie: skok za budkę i tyle go zobaczają. Poprosił o duże jasne. Zobaczył, że obok kufła leży mały, przemoczony papierek, demokratyczny pieniądz, reszta dla Zygmunta. Zmiał banknot w pięści, zdmuchnął z piwa pianę. Z kuflem przy wardze, powoli, krok po kroku, okrążał budkę. Kiedy znalazł się po drugiej stronie, odetchnął głęboko. Był sam. Przed nim znajdował się rzednący żywopłot, łatwy do przeskoczenia, a dalej park. Pomruk jeepa ustał, możliwe, że kierowca wyłączył silnik. Cicho i samotnie. Jak jesienią w parku zdrojowym, w innych czasach, w innych okolicznościach. Oparł się plecami o ścianę kiosku i powoli sączył gorzkie piwo. „To trwało pół minuty, może minutę - opowiadał - ale zaręczam panu, że rzadko człowiekowi zdarzają się w życiu takie dobre chwile. Wszystko, co mnie dręczyło, znikło, byłem niewidzialny. I mogłem się nie odzywać. Chwila złudnej wolności.” Major wołał: „Dymitr, Dymitr.” Wołał niezbyt głośno, podejrzewał w głębi duszy, że więzień już zbiegł. Dymitr słyszał ciężkie kroki - major i milicjant zbliżali się rozmawiając półgłosem. Kiedy Dymitr ukazał się, z pustym kuflem w rękę, tamci zatrzymali się niezdecydowani.

- Aha. Wypiliście - odezwał się major. - Smakowało?  
- Nie najgorsze. - Dymitr postawił kufel na ladzie. - A to jest reszta dla pana - podał majorowi wilgotny, ciepły papierek.

Podjechał jeep.

- Do domu - rozkazał major kierowcy.

Podczas jazdy Dymitr wystąpił zaczepnie:

- Myślał pan, że uciekłem?

- Moja rzecz, co myślałem - burknął major.

- Chciałem was mieć trochę z oczu - atakował Dymitr.

- Byleście zachowali w sercu.

- Jeśli pan się boi, że mogę uciec...

- To co?

- To może się pan wycofać. Ja posiedzę.

- Lubisz być za cierpiętника, tak? Nie, ja się nie boję.

Potrzebny mi jest Złowrogi, a tobie potrzebne jest dobre imię twojej grupy. Taka jest transakcja, Dymitr. Każdy coś wygrywa. I każdy coś ryzykuje.

- Pan więcej - powiedział Dymitr.

„Powiedziałem to tak sobie, dla efektu - przyznał mężczyzna na piasku. - I trochę przez złośliwość. Ale zaraz przyszło mi na myśl, że może miałem rację. Że większe ryzyko ponosił - on. Ryzykował, że będą go podejrzewać, że wszedł z nami w konszachty. Albo co najmniej, że działa na własną rękę. Jedno i drugie niezbyt zabawne.”

W kancelarii czekała na nich kobieta w mundurze sierżanta z przygotowaną umową. Podsunęła Dymitrowi arkusz papieru i podała mu pióro.

- Tak to się załatwia? - spytał spoglądając zdumiony na tytuł. „Umowa”, jednak nazywało się to umową, i niżej „na pracę zleconą”. - Trochę humorystyczne - zauważył.

- Nie bądźcie taki śmieszek - powiedziała kobieta opryskliwie. Wykąpać, posłać do fryzjera i wydać za mąż - pomyślał mimochodem. Chciał podpisać nie czytając, ale ona zainterweniowała: - Najpierw zapoznać się z treścią.

- Wszystko mi jedno.

- Przeczytać! - domagała się.

Przebiegł wzrokiem kartkę. Nudy. Sekret „pracy zleconej”



pozostawał w umowie nie rozszyfrowany: „niżej podpisany zobowiązuje się wykonać zlecenie przekazane mu ustnie przez majora Zygmunta. Zleceniobiorca otrzymuje w charakterze zaliczki połowę honorarium w wysokości...” Kwota wydała się Dymitrowi wysoka. Kiedy po podpisaniu podniósł wzrok, zobaczył, że major wyjmuje z kasy pancерnej dwie paczki banknotów. Rzucił je na biurko.

- Ta paczka dla was.

- Połowa honorarium?

- Tak.

- A ta druga?

- Na specjalne wydatki. - Dodał znacząco: - Rozliczać się nie ma obowiązku.

- A jeśli nie wydam?

- Zrobicie, jak będziecie uważać za stosowne. - Zwrócił się do kobiety: - Dokumenty podróży są? - Skinęła głową. - Dla obu? - Znów skinęła głową. - Wpiszcie tam Potoka, tego z czternastki.

„Wsunąłem pieniądze do wewnętrznych kieszeni kurtki - opowiadał. - Ledwie się mieściły. Te pieniądze przekonały mnie, że robota jest ważna. Zrozumiałem, że nie chodzi już tylko o wymierzenie kary Złowrogiemu. Łajdak musiał dużo wiedzieć. O czym? To proste, o przestępcach wojennych. Dziwne tylko, że wciąż działał tu, że nie uciekł na drugą stronę kurtyny. Widocznie uważał, że jest mocno zakonspirowany. Zawisza? - pomyślałem przez chwilę i przyznam się, że zrobiło mi się gorąco.”

- A jeśli nie uda się wykonać zadania? - zapytał Dymitr zapinając kurtkę.

- Zależy, z jakiego powodu. - Major zamknął kasę. Wrzucił klucze do szuflady biurka. - Nie wydaje mi się, żebyście mieli przed sobą wiele wariantów zakończenia. Albo sukces, albo...

- Albo co?

- Pogrzeb odbędzie się w każdym razie na nasz koszt.

Dymitr wskazał na kontrakt.

- Czy tu jest o tym mowa?

- Tu nie. Ale macie moje słowo. Oczywiście, informacja poufna.

- Powinno być w umowie - powiedział Dymitr. - Czarno na białym. Zleceniodawca zobowiązuje się wyprawić zleceniobiorcy piękny pogrzeb. Kompania honorowa, salwa, mówka. I Chopin, koniecznie. Dużo kwiatów. Wszystko zagwarantowane na piśmie. Nie, panie majorze, nie interesuje mnie, co się stanie z moim ścierwem, ani trochę. Wolałbym, żeby druga połowa honorarium została wręczona mojej matce. Przyda jej się na pewno. Za tyle lat trudów należy jej się jakieś odszkodowanie.

Major przyglądał mu się bacznie.

- Dobrze, Dymitr, będę pamiętał.
- Chyba, że i pan stąd wyleci - zauważył cierpko więzień.
- Chyba, że wylecę.

Milicjant zameldował:

- Potok czeka.
- Dawaj go.

„Stary łobuz Potok! Rozczuliłem się na widok jego mongolskiej gęby - wspominał były Dymitr. - Nie było w naszej grupie równego mu sapera. Miał jedną wadę: wymyślał sobie pretensjonalne pseudonimy: Widmo, As, Tancerz, Baron - wszystkie z eleganckiego świata, tajemnicze i wypolerowane. Ale myśmy go nazywali po prostu Dżyngis-chanem z powodu tych mongolskich kości policzkowych. Urodził się i wychował na Woli, jako chłopak poszedł do fabryki broni, znał się na dynamicie, trytolu, minach. Kiedym go zobaczył, chciałem go objąć, ale zamroził mnie spojrzeniem. Rozegrała się cała komedia.”

Major zwracając się do Potoka wskazał na mnie:

- Znacie tego młodzieńca, Tancerz?

Potok zbliżył się do Dymitra i udał, że stara się sobie przypomnieć.

- Nie, chyba nie - powiedział wreszcie.
- Ejże, naprawdę go nie znacie?
- Pierwszy raz go widzę.
- Przyjrzyjcie mu się dobrze.
- Przyglądam się, przyglądam - powiedział Potok i zdążył nawet mrugnąć niepostrzeżenie do Dymitra. Dymitr z trudem

powstrzymywał śmiech.

- To wasz dowódca, Tancerz! - powiedział Zygmunt uroczyście.

- On? Mój dowódca? - zdziwił się Widmo-Potok. - Ten smarkacz? Nie dałbym za niego trzech groszy.

- No, no, nie ubliżajcie mu. To Dymitr.

- Dymitr! - wykrzyknął zdumiony Potok. I od razu przybrał minę wzgardliwą. - Stu facetów w Polsce udaje w tej chwili Dymitra. A Napoleon to on nie jest?

„Postanowiłem przerwać to naigrywanie się z mojego żołnierza - powiedział były Dymitr. - Zwróciłem się do niego: Sylwek, przestań się zapierać, oni wszystko wiedzą. Trzeba było zobaczyć jego minę. Tarł ogromną łapą zarośnięty podbródek. I naraz wybuchnął: Zgięli cię! Rozłożyłeś się!”

Dymitr wstał i podszedł do niego.

- Nie, Sylwek, nikt mnie nie zgiął. Tu się kroi coś innego. Idziemy na wolność.

- Ty i ja?

- Ja i ty.

- Aha, to już coś.

- Wypuszczają nas, bo obiecałem chwycić Złowrogim. Słyszałeś o Złowrogim?

- Kto by nie słyszał.

- A widziałeś go kiedy?

- Gdybym go widział, nie miałbyś dziś po co wychodzić z mamra.

Major zapytał:

- Potok, chcecie iść pod komendę Dymitra?

- Tu nie ma „chcę” czy „nie chcę”. Dymitr - to mój dowódca.

- Będziecie znowu pod jego komendą.

- Klawo jest.

- Co myślicie o waszym zadaniu?

- Jego głowa. Ja zrobię, co każą.

- Zgoda. - Major wyjął z szuflady biurka pieniądze. - Wasza pensja. Na miesiąc. Pokwitujcie.

„Potok rzucił w moją stronę niespokojne spojrzenie - opowiadał mężczyzna nad morzem. - Dałem mu znak, żeby się

nie bał. Chwilę gryzł wargi. Te pieniądze, które otrzymywał w kancelarii więziennej, wyraźnie go niepokoiły. Pieniądze nie mają w naszym kraju dobrej opinii.”

- Kantu nie ma? - zapytał Potok ochryplym głosem.

- Żadnego - powiedział Dymitr. - Albo złapiemy Złowrogiego, albo on nas. A wtedy mamy pogrzeb na koszt państwa. Major obiecał.

Potok wykrzywił usta w uśmiechu. Argument trafił mu do przekonania. Zrozumiał, że wypuszczają ich, bo mogą wykonać pewną robotę.

- Jaką broń chcecie? - zwrócił się do niego major.

Chłopak się wahał.

- Rozpylacz. Może stena...

Major wyjął z szafy pepeszę.

- Stenów nie mam. To też niezłe, a łatwiej o naboje.

Dzyngis-chan przyglądał się niepewnie pepeszy. Przed chwilą więzień - teraz miał wyjść na wolność, na dodatek uzbrojony i zaopatrzony we wszelkie możliwe dokumenty. Dymitr przechwycił jego pytające spojrzenie. Wystarczyło kiwnąć głową i statystyka strat polskich powiększyłaby się o dwa trupy. Ale Dymitr nie miał zamiaru dawać żadnych znaków.

- Zapasowy magazynek - powiedział major podając Potokowi ciężki bębenek. Zwrócił się do Dymitra: - Dla was mam pistolet „TT”.

- Dziękuję.

- Co znowu?

- Dziękuję, nie potrzebuję broni - wyjaśnił spokojnie Dymitr.

Major nie rozumiał.

- Chcecie tam jechać bez broni?

- Potok ma pepeszę. A ja nie potrzebuję. Ja skończyłem ze strzelaniem ósmego maja, kiedy Keitel podpisał kapitulację w Berlinie.

- Podjęliście się pewnego zadania! - przypomniał major zirytowany.

- Wykonam je.

- Zadanie jest niebezpieczne.

- Wiem.

Major przez chwilę milczał.

- Jak chcesz - bąknął wreszcie. - Wydaje mi się... wydaje mi się, że jesteś zarozumiała.

- Nie. Ja po prostu nie wierzę, żeby pistolet w kieszeni mógł mnie uratować. Przestałem w to wierzyć.

Major stał z opuszczoną głową. Kiedy podniósł ją, powiedział:

- Są w Bagniskach nasi ludzie, to powinno wystarczyć. Zgłoscie się do majora Skorpiona. On pomoże. Łączność i ludzie do dyspozycji.

Dymitr chwilę milczał.

- Do niego się nie zgłoszę - powiedział wreszcie.

- Jak? - Zygmunt zająknął się ze zdenerwowania. - Jak mówicie?

- Do nikogo się nie zgłaszam - powtórzył Dymitr.

„Spojrzałem na Potoka - wspominał wyłysiały blondyn na plaży - i zauważyłem w jego oczach podziw, wdzięczność, psie oddanie, co pan tylko chce. Tego ode mnie oczekiwał: wyraźnego zaznaczenia naszej niezależności. Trzeba było określić granice współpracy i ja to zrobiłem.” - Sprawa między mną a Żłowrogim - powiedział Dymitr. - Załatwiam ją dlatego, że to nasza sprawa. I bardzo proszę nie zawiadamiać o naszym przybyciu Skorpiona. To jest warunek.

Zygmunt mruknął raz jeszcze:

- Jak chcesz. Radziłbym jednak...

- Dziękuję!

Major zwrócił się do Dżyngis-chana:

- A wy co na to?

- Jego głowa - odpalił Potok.

- Dobrze, niech was diabli - zgodził się Zygmunt. - Może to lepiej, że jesteście, jacy jesteście. „Miał na myśli naszą przejrzystość - komentował były Dymitr. - Graliśmy w otwarte karty i można nam było zaufać.” - Wasz pociąg odchodzi przed drugą. O wpół do pierwszej spotykamy się na peronie. Spodziewam się, że do tego czasu będziemy już mieli tego zabitego. Warto przed wyjazdem przyjrzeć mu się i sprawdzić

kieszenie. - Major otworzył szufladę i wrzucił do niej pęk kluczy. Potem szuflada trzasnęła. Zapadła cisza. Major chrząknął. - To co? - spytał - Są jakieś życzenia? Może dokądś podwieźć?

Dymitr uśmiechnął się:

- Jeśli można, to do przędzalni. Do matki. - Dodał, jakby się usprawiedliwiając: - Trzeba chyba po tych kilku tygodniach pokazać się...

## 2

„Nie potrafiła mi dać żadnej rady - opowiadał były Dymitr. - Miałem w głębi ducha nadzieję, że ona za mnie rozstrzygnie. Powie: uciekaj, nie oglądaj się na nic - i w ten sposób ona, matka, zwolni mnie od zobowiązań. Ale rozłożyła tylko bezradnie ręce. W ten sposób, dzięki temu jej gestowi, stałem się dorosły. Bo nie byłem nim jeszcze w konspiracji. Ani w powstaniu. Dopóki decydują za pana inni ludzie, dopóki może pan tylko potakiwać i nic innego pan nie musi, tylko potakiwać - nie ma pan obowiązku być dorosłym. Wystarczy być posłusznym. Znam ludzi, którzy nigdy nie wyszli ze stanu dzieciństwa, całe życie chodzą do szkoły, łobuzują albo są prymusami, to bez znaczenia, psioczą, pokazują język, gryzmolą na ławce, podlizują się, skarżą, zawsze w krótkich majtkach i nigdy nie dorośleją, nigdy nie obrastają poczuciem odpowiedzialności. Konflikty sumienia - to dobre dla wujków, toteż bez żenady, ze sztubacką beztroską, spychają je na bliźnich. Przyglądając się matce - wydoroślałem. Znalazłem się na wolności tym razem całkowicie, bezlitośnie, rzucony w życie jak łódka na wielki, rozfalowany ocean. W którą stronę żeglować - decyduj sam. Kompas wysiadły. Zostało sumienie - i intuicja. Nie, nie lubię słowa „intuicja”, pobrzękuje nieodpowiedzialnością, terrorem słów. Sumienie... to już przedziej. Ale umysł ludzki powinien wszystko trzymać w cuglach, wrażliwość sumienia także. Ostatecznie, wiadomo z grubsza, co to jest dobro, a co zło, wystarczy postanowić sobie, że będziemy się trzymać pewnych pojęć podstawowych.

Proszę nie myśleć, że ja sobie to wszystko wtedy chłodno wykalkulowałem. Przeciwnie, miałem wrażenie, że otwiera się przede mną przepaść, otchłań nieznanego życia, w które lecę bez przygotowania.”

Ja, słuchacz tej opowieści, zauważyłem sceptycznie: „Nigdy nie jesteście przygotowani”. „Tak, oczywiście, ale ja wtedy jeszcze o tej prawdzie nie wiedziałem.” „Opowiadaj” - poprosiła córka zniecierpliwiona. Lubiła wprawdzie dyskutować na tematy światopoglądowe i analizować konflikty moralne, ale - własne. Tamte były zbyt odległe, wydawały jej się przestarzałe, z całego dramatu Dymitra ciekawiły ją wyłącznie wydarzenia, przygody młodego człowieka, który potem został jej ojcem. Interesowała ją własna genealogia.

Kobieta, o której mówił ex-Dymitr, była jej babką. Ale jeszcze nie wówczas. W opowieści była to matka legendarnego Dymitra, czterdziestopięcioletnia wdowa po inżynierze, który jako oficer rezerwy poległ zaraz na początku kampanii wrześniowej. „Czy była ładna?” - zapytała dziewczyna. Ojciec potwierdził: tak, jeszcze była ładna. Jeszcze była spragniona miłości, mógłby dodać, spragniona rozpaczliwie i upokarzająco, zmęczyła ją długa samotność, przerażał szybki bieg dni ku pustce i wyschnięciu, dręczyły ją wyrzuty sumienia, że nie umie martwić się o syna tak, jak powinna, że nie umie przywołać na pamięć obrazu poległego męża, że ma drastyczne sny, że jej ukryte myśli przyprawiają ją o rumieńce wstydu. Były Dymitr nie powiedział na ten temat nic, ale z opowieści jego i tak wiele wynikało. Młody człowiek miał bystre oko i, jak się zdaje, wbrew swojemu wstępnemu oświadczeniu, był niegłupi. Matka usługiwała w fabrycznej stołówce. W pustej, zimnej sali, przeciętej długimi stołami, które pokryte były oblaźłą ceratą, poczęstowała syna i jego podkomendnego nie dogotowanym kapuśniakiem, postawiła przed nimi koszyk z nakrojonym chlebem i usprawiedliwiła się:

- Kartofle jeszcze nie obrane.

- Co tam, pani inżynierowo - bagatelizował Potok. - Godzina wczesna.

- Zaczekajcie do obiadu - zapraszała. - Będzie gulasz.

Nie mogli, musieli być na dworcu o wpół do pierwszej. Wpadli, żeby się pożegnać.

- Jak to? - zdziwiła się - tak od razu? A wykąpać się, wyspać, wypocząć?

Potok znowu był przy głosie:

- Tam się wypoczęło i wyspało. Aż za dużo tego wypoczynku było. A kąpiel będzie w Bagniskach.

- Do Bagnisk? - zdziwiła się. - Piękna miejscowość. Jeździliśmy tam z twoim ojcem przed wojną. Raz musieliśmy wrócić po kilku dniach, bo wszystko przegrałam w ruletkę. To ojciec mówił: „Ty graj, Helenko, kobietom bardziej szczęście sprzyja.” - Śmiała się smutno. - Sprzyja, tak. Żeby nie ta stołówka, umarłabym z głodu. A jaka męcząca! Gorąco, parno, wciąż popędzają. I ten ich język! Już się przyzwyczaiłam, sama też potrafiłabym coś do słuchu powiedzieć. Ale ręce - spójrz, jakie mam ręce.

Pokazała czarne, popękane palce. Dymitr opuścił wzrok. Nie umiała się pani inżynierowa urządzać. Inne kobiety z jej sfery okazały się o wiele bardziej zaradne. Potok pocieszał:

- No to teraz pani inżynierowa jest proletariat. I jako taka wszystkich z białymi palcami może wziąć za mordę.

Westchnęła.

- Szkoda, że proletariatowi tak marnie płacą.

Wciąż przyglądała się swoim poczeriałym palcom.

- Mamo - odezwał się Dymitr. - Właściwie to przyszedłem się pożegnać solidnie. Bo może się więcej nie zobaczymy.

„Chyba nie od razu zrozumiała, co do niej mówię. Ale kiedy na mnie spojrzała - opowiadał mężczyzna na piasku - wzrok jej stał się natarczywy, przyczepny, zupełnie jakby starała się mnie zapamiętać.”

- Dlaczego? - spytała matka cicho.

Ma wciąż jeszcze piękne oczy, pomyślał syn.

- To nic pewnego - zastrzegł się. - Tylko nie płacz. Raczej poradź mi. W Bagniskach stoją kutry. Można załatwić sobie przerzut do Szwecji.

- Po co? Przecież ci już nic nie grozi.

- Nie, wciąż grozi. Wypuścili nas warunkowo.



Matka milczała. Dymitr uznał za stosowne wyjaśnić:

- Podjęliśmy się pewnego zadania. Rzecz niebezpieczna. -  
Podał matce umowę. - Schowaj to. Jakby coś się stało, to należy  
ci się reszta wynagrodzenia.

Matka milcząc złożyła papier we czworo i wsunęła go do  
kieszeni fartucha.

- Można spróbować umowę wykonać - powiedział syn. - Ale  
można też gwizdnąć na wszystko, na resztę pieniędzy,  
zobowiązanie i w ogóle. Jak ty uważasz?

Matka kroїła w milczeniu chleb.

- Po co ci moje zdanie? - spytała nagle.

- Ty też masz tu coś do powiedzenia - mruknął.

- Ja? Nic. Nic, nic. Ja tego na swoją głowę nie wezmę.  
Trzeba mnie było spytać przedtem, dwa lata temu, trzy, cztery.  
Nigdyś mnie nie pytał. A teraz ja nic nie powiem. Koniec.

- Nie jestem ci potrzebny? - spytał.

- Co z tego, że jesteś potrzebny? Czy to kiedykolwiek miało  
jakieś znaczenie?

„Miała rację - przyznał z melancholią były Dymitr. - Jej  
opinia nigdy nie miała znaczenia. Dopiero teraz, pozbawiony  
dowódcy, zwróciłem się do niej.” Otworzyły się drzwi i na  
progu pustej stołówki, przestronnej jak hala fabryczna, stanął  
szcuple chłopak w kombinezonie, nie o wiele starszy od  
Dymitra. Z daleka lśnił czarną od smarów twarzą. Zawołał:  
„Helka, na słówko!”. Matka Dymitra zawahała się. Mężczyzna  
w kombinezonie ruszył ku niej szybkim, nerwowym krokiem.  
„Przepraszam” - szepnęła matka i pobiegła tamtemu  
naprzeciw. Dymitr pochylił się nad talerzem.

- Mój syn - usłyszał nagle głos matki.

Tamten stał obok i wycierał dłoń o kombinezon. Z bliska  
wyglądał poważniej, na skroniach widać nawet było kilka  
srebrnych nitek. Dymitrowi trochę ulżyło, strach i wstyd powoli  
ustępowały. Dziesięć lat różnicy, pomyślał, tylko dziesięć -  
i podał tamtemu rękę. Czuł na sobie pełne niepokoju spojrzenie  
matki. Uśmiechnął się do mężczyzny w kombinezonie.

- Zna pan moją historię?

Mężczyzna odwzajemnił uśmiech:

- Każdy ma jakąś historię.

Sympatyczny, pomyślał Dymitr. Ona zakochana bez pamięci. On ją rzucił za dwa lata. Dla dziewczyny z ambulatorium, ciągnął w myśli. Matka będzie rozpaczać. Drugiego takiego nie znajdzie. Potem zostanie jej już tylko ja. Jeden wielki żal.

- Chyba się jeszcze dziś zobaczymy - zagadnął go uprzejmie mężczyzna w kombinezonie.

Matka poinformowała pośpiesznie:

- Oni muszą zaraz jechać. Widzisz, jak się składa! - Zwróciła się do Dymitra: - Nie mogę nawet na chwilę wyskoczyć, żeby cię odprowadzić. Zaraz zaczniesz się harmider.

Mechanik mówił szyfrem:

- Do siódmej będę na obroży. Potem może się urwę na dwie godziny.

- Przyjdź o siódmej - szepnęła matka.

- Jak mi się uda coś wykombinować, to przyjdę wcześniej.

Żonaty, zrozumiał Dymitr. Coraz gorzej. Wymienili jeszcze kilka obojętnych zdań, matka i mężczyzna w kombinezonie, potem tamten pożegnał się i odszedł. Potok głośno siorbał kapuśniak.

- Trunkowy? - spytał Dymitr.

Matka wzruszyła ramionami i nie odpowiedziała. Dopiero kiedy odprowadziła ich do fabrycznej bramy, odezwała się:

- Mógłby się rozwieść.

- Aha.

- Co mi radzisz?

Rozłożył ręce. Teraz ja, pomyślał, teraz ja nic nie potrafię poradzić. Chciał powiedzieć: jeśli myślisz, że to porządny człowiek... Lub coś w tym guście. Za dwa lata ją rzucił, pomyślał raz jeszcze. Ona o tym wie i dlatego to jest takie smutne. Ale chce go mieć dla siebie przez te dwa lata.

- Osiem lat młodszy - powiedziała cicho.

Potok dosłyszał. Rzucił okiem w stronę Dymitra, Dymitr milczał, i wtedy on, Dzyngis-chan zatracony, odezwał się:

- Co tam, pani inżynierowo, co tam z tą matematyką wyjeżdżać. Jedno ma młodość, drugie wykształcenie i buźkę. Matematyka tu nie ma nic do roboty.

Bujasz, pomyślał Dymitr. Wszystko jest matematyką. Wszystko jest policzone i odmierzone. Matematyka jest zawsze górą, ona nas wykańcza.

- Bardzo sympatyczny - powiedział ciepło.  
Objął matkę. Płakała.

### 3

Na dworcu podszedł do nich ten sam milicjant, który rano miał służbę w kancelarii więziennej.

- Wy - warknął. - Jeden i drugi. Gdzie się włóczycie? Major czeka! - Dodał ostrzegawczo: - Wkurzony.

Zaprowadził ich do baraku, w którym znajdowała się kolejowa komenda. „Major nie wydawał mi się bardziej poirytowany niż rano - wspominał były Dymitr. - Przeciwnie, robił wrażenie skupionego, tyle że z domieszką oczywistej melancholii. Przedstawił nas drobnemu szatynowi w brązowym garniturze. Nie muszę dodawać, że garniturek był tu i ówdzie wytarty, wtedy rzadko się widywało inne garnitury. Ten cywil był w stopniu sierżanta, nazywał się Matyniak, liczył wszystkiego trzydzieści lat, może z hakiem, ale jego twarz, szczególnie wokół oczodołów, była porządnie poorana zmarszczkami. To wtedy po raz pierwszy padło słowo: Justynian.

- To jest sierżant Matyniak - powiedział major - ten, który przywiózł ciało Justyniana.

Najbardziej zdziwił się ten cywil w stopniu sierżanta. Zatrząsał się prawie.

- Jakiego Justyniana? - spytał.

- Zabitego w Bagniskach - prawie flegmatycznie odpowiedział major.

„A milicjant myślał, że jest w nerwach, popatrz pan.”

- Słyszałem o Justynianie, słyszałem, czytałem w tygodniku reportaż - mówił sierżant wzburzony. - Kurtka! Nie wiedziałem, że ten denat... Kto by pomyślał! Taki pętaczyna... Myśmy go trochę śledzili, Skorpion kazał, wydał mu się podejrzany... Pan wie - sierżant zwrócił się do Dymitra - Bagniska to bandyckie

miasto, najgorsza hołota z Generalnej Guberni się zjechała, wszyscy, co przed wojną w tutejszym kasynie przepuszczali pieniądze, wszyscy, co tu grywali w ruletę - bo tu zawsze była ruleta, widzisz pan, tradycja kwitnie - kto się dorobił na wojence, to tutaj, do naszych Bagnisk, zasuwa, obsadzili z miejsca, co się dało, urzędy nie urzędy, jedna wielka sitwa, rozumiesz pan. No i ten Justynian - między nich... Skąd można było wiedzieć? Po co łąził do Badenii? - zakończył rozżalony sierżant.

- Co za Badenia? - spytał Dymitr.

Major wyjaśnił:

- Lokal Zawiszy. - Zwrócił się do sierżanta: - Wiecie, po co Justynian przyjechał do Bagnisk? Szukać Złowrogię!

- To tak... Szkoda, że się z nami nie skontaktował.

- Ja nie kazałem - oświadczył major. Zbliżył się do Matyniaka i pogroził mu palcem. - Do was, słyszyście, do was też nie mam zaufania. Złowrogi może mieć kogoś w waszym budynku.

- To możliwe - przyznał Matyniak flegmatycznie. - On jest wszędzie. A najwięcej w Badenii.

U Zawiszy - zrozumiał Dymitr. Potok zbliżył się, otworzył już usta, żeby rzucić mocne słówko, ale pohamował się, zrobił tylko grymas pełen pogardy, odwrócił się na pięcie, a potem poszukał jakiejś skrzynki, na której można było przysiąc.

„Ja nie mogłem sobie pozwolić na taki luksus - wspominał pan na plaży. - Niestety. Czuję, że dzieje się ze mną coś, przed czym powinienem być się bronić. Zaczynał mnie interesować zabity Justynian. Niepokoiło mnie to i zarazem dziwiło, bo byłem jeszcze młody i wielu, wielu drgnień ludzkiego serca nie zdążyłem poznać. Psiakrew! Ale może to lepiej, że tak komplikuje się świątek. Justynian, myślałem starając się odnaleźć w sobie zawziętość. Cóż mnie obchodzi jakiś Justynian?”

- Coś mi się widzi - odezwał się Dymitr - że to wszystko jest jeden wielki mit. Wytwór fantazji. Złowrogi dawno musiał przysnąć i w kraju śladu już po nim nie ma.

- Nie, on jest - zapewniał Matyniak. - Myśmy złapali jednego

gestapowca, Schulke się nazywa, to on zeznał, że miał się zgłosić w Bagniskach do Zet trzysta siedemdziesiąt - to był numer Złowrogiego w gestapo. Złowrogi miał tamtemu ułatwić przerzut do Szwecji. On chyba dlatego tu jest, żeby spławić swoich. Schulke, ten gestapowiec, miał przyjść do Badenii i grać w pokera, nic więcej. A człowiek Złowrogiego miał go znać ze zdjęcia. I wyprowadzić.

- Gdzie jest ten Schulke? - spytał Dymitr.

- Siedzi w stolicy.

- On nam w niczym nie może pomóc - wtrącił major. - Agent Zet trzysta siedemdziesiąt nigdy na oczy nie widział.

- Schulke to Niemiec? - spytał Dymitr.

- Niemiec. Ale tutejszy, mówi po polsku. No cóż, mało ludzi mówi po polsku? Skorpion mówi po hiszpańsku!

- Więc dlatego, że ten Schulke miał zagrać w Badenii, przypuszczacie, że Zawisza jest Złowrogim? A gdyby Schulke miał przyjść na bazar, czy znaczyłoby to, że Złowrogim jest minister handlu?

- Wszystkie łajdactwa, wszystkie dziwne sprawy mają zawsze związek z Badenią - stwierdził Matyniak.

- A może z pieniędzmi? - obruszył się na niego Dymitr. - Przecież tyle tam tego dobra się przepuszcza!

- To dlaczego w takiej Alhambrze, gdzie jest wódka i dziwki, zawsze spokój?! - wybuchnął sierżant. - Albo w Czarnym Kocie? Tam ostatnio młody chłopak zadźgał nożem jednego starego łobuza. Ale wiadomo, o co poszło: o dziewczynę, która poleciała na starego.

- Dobrze, ale ktoś w końcu zabił tego Justyniana, tak czy nie? - zawołał Dymitr. - Przecież to chyba nietrudno ustalić!

Matyniak nie ukrywał zakłopotania.

- To jest właśnie najgorsze - powiedział. - Nie ma mordercy. Cholerne nieporozumienie i tyle.

- Strzelił jeden z ludzi majora Skorpiona - pośpieszył z wyjaśnieniem Zygmunt. - Jeden z tych, których tam trzyma dla pilnowania porządku.

- Ten gość się awanturował - mówił Matyniak. - Był jakiś podejrzany, Klimek go śledził, mówiłem przecież, nikt nie

wiedział, kto to właściwie jest. Zawisza był pewny, że to szuler. Próbował podobno oszukiwać.

- To oczywiście wykluczone - powiedział Zygmunt.

Dymitr ścisnął pięść.

- Jeśli rąbnął go wasz człowiek, to co z tym wspólnego ma Zawisza? Dlatego, że w Badenii? Jak można tak rzucać podejrzenia! W którym roku zrzucano do Polski Skorpiona? - spytał znieca Dymitr.

- W czterdziestym trzecim - odpowiedział Zygmunt. - Bo co?

- W czterdziestym trzecim rozpoczął działalność Złowrogi. A teraz Skorpion jest w Bagniskach, dziwne, nie?

- Skorpion to nasz człowiek! - krzyknął Zygmunt. - Bardzo proszę! Bez kawałów!... Był w Hiszpanii!

- W Hiszpanii byli różni faceci - odparł Dymitr siląc się na spokój. Czuł wewnętrzne dygotanie. - Każdy, każdy może być podejrzany. Jest Skorpion w Bagniskach? Jest. Kto zabił Justyniana? Jego człowiek. No proszę! Albo nie... - Dymitr zwrócił się do Matyniaka. - Albo nie, to raczej pan. Tak, to pański człowiek zabił Justyniana. Minę ma pan coś niepewną. Justynian był na tropie, strach pana ogarnął i kazał go pan swojemu człowiekowi zlikwidować. Dobrze mówię?

Matyniak poderwał się:

- Ty, cwaniaczek, nie bądź taki dowcipny, bo jak cię gwizdnę, to ci trzech Mongołów nie pomoże.

Przez chwilę stali naprzeciw siebie, Dymitr i szatynek w brązowym garniturze, mierząc się złym spojrzeniem. Dymitr uśmiechnął się lekceważąco:

- No, aleś, bracie, nerwowo...

Major podał Dymitrowi torbę polową.

- Tu jest wszystko, co zostało po Justynianie - powiedział. - Wszystko, prócz bielizny osobistej - dodał.

„Proszę mi wierzyć, że przejrzałem zawartość torby skrupulatnie” - opowiadał były Dymitr. Chwilę milczał. Przesypywał piasek z dłoni do dłoni i ogarnęła mnie refleksja, że ten sypiący się przez palce piasek jest czymś w rodzaju starożytnej klepsydry, mierzy czas namysłu, jakim winniśmy uczcić śmierć tego, który wiedział. „Zawsze, albo prawie zawsze

- podjął opowieść były Dymitr - kiedy się przegląda rzeczy, które zostają po zmarłym, myśli się z goryczą o tym, że o tyle trwalsze są one od tego słabego pulsowania, które wypełnia naszą żywą tkankę. Cisną się do głowy różne melancholijne myśli, równie zresztą banalne. Banalny jest może też szacunek, cześć dla tych przypadkowych rzeczy, ale brak szacunku byłby odpychający. Nie znałem tego, który zginął, ale miałem powody, by każdy drobiazg otoczyć czcią i uwagą. Przyglądałem się tym wszystkim rzeczom, usiłując znaleźć jakiś ślad, rąbek tajemnicy. Pierwszy raz w życiu musiałem grać kogoś w rodzaju detektywa i przyznam się panu, że nie wydał mi się ten chleb lekki, miałem kompletną pustkę w głowie. O czym zdążył się dowiedzieć właściciel tej torby? Kogo zauważył? Czyja nieodgadniona twarz kryje się za tym zabójstwem? Może kogoś z obecnych w baraku? Może kogoś, kto już jutro stanie nam na drodze? Wśród rzeczy pozostawionych przez zabitego były pieniądze, wieczne pióro, niemiecki kalendarzyk SS-owca, napoczęta paczka papierosów Triumf, szczoteczka do zębów i pasta Nivea, lniany ręcznik, kawałek mydła, legitymacja służbowa i dwie książki w języku francuskim, nie pamiętam już jakie, coś z klasyki. Bo to był inteligent, ten zabity, prawnik, absolwent Sorbony, stąd pseudonim: Justynian. Brał udział we francuskim ruchu oporu, a po wojnie, szaleniec, zamiast otworzyć kancelarię adwokacką gdzieś na południu Francji, zajął się tropieniem przestępców wojennych. Przyglądałem się długo zdjęciu na legitymacji służbowej. Wąska twarz, haczykowany nos, okulary. Okularów w torbie polowej nie było. Zwróciłem na to uwagę Zygmunta.”

- Znikły? - spytał major.

- Ja tak myślę, że on ich w Bagniskach ze sobą nie miał - odpowiedział sierżant.

Zygmunt pokiwał głową.

- Mógł zapomnieć, człowiek roztargniony, prawie profesor. Ale może on chciał zmienić wygląd? Nie być za inteligenta, żeby nie powiedzieć więcej.

- Jeśli był krótkowidzem - zauważył Dymitr - to brak okularów mógł mu przy kartach przeszkadzać. Taki człowiek

zachowuje się trochę podejrzanie. Nie widzę przyborów do golenia - dodał.

- Jednak roztargniony - stwierdził major.

Sierżant w brązowej marynarce stuknął obcasami.

- Golił się na mieście, obywatelu majorze, Klimek złożył meldunek, fryzjer hotelowy potwierdził, że zabity był u niego raz czy dwa. Zarost jak u Włocha - mówił sierżant. - Denat miał z tą sprawą sporo kłopotu. Klimek zameldował, że ostatnio golił się po obiedzie, żeby lepiej wyglądać do nocnej gry.

Dymitr przyglądał się rozłożonym na biurku przedmiotom. Obejrzał raz jeszcze opakowanie Triumfów. „Ludzie mają zwyczaj pośpiesznego notowania na pudełkach papierosów - komentował łysiejący pan na plaży. - Ale to pudełko było czyste, niestety.”

Pozostawał kalendarzyk.

- Chciałbym go wziąć - powiedział.

Major Zygmunt nie miał nic przeciwko temu.

- Proszę bardzo. Co wam się podoba.

- Zdjęcie z legitymacji.

- Tak, oczywiście. Damy wam kopię. Jeszcze coś?

Dymitr chwilę się zastanawiał.

- Nie miał broni? - spytał.

- Miał - powiedział Matyniak i pokazał Dymitrowi czarny pistolecik. - Damski mauzer. Pewnie zdobycz frontowa.

- Chcecie? - kusił Zygmunt.

- Nie. Wolałbym, żeby on mógł szepnąć choć słówko. Żeby tylko wykrztusił. Niedużo: jedno nazwisko.

- Może go poprosisz, to ci powie - zakpił Matyniak. - Jest w sąsiedniej szopie.

- Tak - potwierdził Zygmunt, podczas gdy Dymitr milczał. - Trzeba na niego rzucić okiem.

Dymitr westchnął i zwrócił się do Potoka:

- Pójdiesz popatrzeć?

- Ja nie. Ja takich widoków nie amator.

Trup leżał na podłodze w mrocznej szopie, twarz przykryto mu płachtą gazety. Stali nad nim bez słowa, Zygmunt, Dymitr i Matyniak, spoglądali na gazetę, na czarne robaczki liter,



pełzające po zmiętym papierzysku, i ta kontemplacja miała w sobie ciężar i smutek, i patos minuty milczenia.

Matyniak otworzył szeroko drzwi i szopa wypełniła się bladym światłem. Zygmunt podniósł gazetę. Justynian leżał spokojny, żółty pod czarnym zarostem.

- Gdzie go trafiono? - spytał Dymitr. - Nie widać śladów krwi.

- W plecy - odpowiedział sierżant.

„Nie wiem dlaczego - zwierzał się mężczyzna na plaży - ta odpowiedź mnie zdumiała. Spodziewałem się, widać, czegoś innego. Spodziewałem się kuli w sercu. Jakiejś męskiej, nazwijmy to tak, walki - twarzą w twarz, jak tego uczy kino. Ten dostał w plecy. Wydało mi się, że reguły zostały naruszone. To, co uważałem za podłe, okazało się jeszcze podlejsze.”

- W plecy - powtórzył.

- Tak, w sam kręgosłup - powiedział Zygmunt i przykrył trupa gazetą. - Chodźmy.

Dymitr nie ruszał się z miejsca.

- Strzelano z tyłu - odezwał się. - Nie dano mu możliwości wytłumaczenia się ani obrony. Rąbnięto go jak szczura.

- Wszystko przez ten mauzer - tłumaczył Matyniak. - Była tam jakaś kłótnia, on chwycił za mauzer i wymierzył do Sidorki, Sidorko krzyknęła i wtedy ten z tyłu, Zbrozek, strzelił dwa razy i było po wszystkim.

„Nic na to nie odpowiedziałem - przypomniał sobie były Dymitr. A może nie, szepnąłem: aha. Ale to nie znaczy, żebym coś zrozumiał. Technicznie to mogło się przedstawiać tak, jak relacjonował ten szatynek w brązowym garniturze. Ale to niczego nie usprawiedliwia. Pomyślałem sobie: więc to tak dokonała się zbrodnia. Nazwałem to w myśli zbrodnią, pamiętam dobrze.”

- No i co zobaczyłeś? - zapytał Potok, kiedy wrócili do baraku komendy.

- Zimnego trupa - odpowiedział Dymitr.

Potok dzwignął się ze skrzyni.

- Nic ci nie szepnął?

- Coś niecoś.

Milicjant, który ich tu przyprowadził, przypomniał:

- Pociąg czeka.
- Major spojrział na zegarek.
- Tak, czas na panów. Pokój macie zarezerwowany w Grandzie. Chyba już wszystko, prawda?
- Chciałbym jeszcze przypomnieć o pewnym warunku - powiedział Dymitr. - Sierżant Matyniak zostanie chyba trochę z panem, co?
- Zygmunt zrozumiał.
- Zgoda. Jak długo? - spytał.
- Dwa tygodnie.
- Tydzień - poprawił major. - Sierżancie, będziecie ze mną cały tydzień.
- Ale Skorpion! - zaprotestował tamten.
- Ze Skorpionem załatwię. Jesteście mi tu potrzebni.
- Sierżant wzruszył ramionami.
- Ano cóż, mus nie niewola.
- Potem Dymitr i Potok szli wzdłuż wagonów wypatrując jakiegoś mniej zatłoczonego przedziału. Potok zacierał ręce.
- Zimno, psia - narzekał. - Dymitr, obejrzałeś sobie sztywnego faceta?
- Trzeba było.
- I co, spodobało ci się?
- Nie bardzo.
- To pomyśl, jak z tej całej awantury wynieść głowę.
- Najpierw pogadamy z Zawiszą - odpowiedział Dymitr. - Razem pomyślimy.

#### 4

Kilkanaście kilometrów za miastem N., z którego wyjechali do Bagnisk, pociąg zwolnił nieoczekiwanie biegu i zatrzymał się. „Wyjrzałem przez okno - opowiadał były Dymitr. - Staliśmy w polu. Lokomotywa i dwa przednie wagony składu zanurzone były w lesie jak w ciemnym tunelu. Nikt w tamtych czasach nie lubił, kiedy pociąg nagle się zatrzymał wśród szczerego pola. Kto mógł to spowodować? Leśni czy rządowi? My z Potokiem byliśmy trefni dla jednych i drugich. Uspokajało to, że na

kartofliskach wzdłuż toru kobiety kopały bulwy, jakby nic się nie stało. Może i nic się nie stało. Wróciłem na swoje miejsce, przymknąłem oczy i udałem, że drzemię.”

- Dymitr - szepnął Potok - nie da rady, trzeba będzie chycić łódkę i posunąć do Szwedów.

Dymitr spytał nie otwierając oczu:

- Może wiesz, co się dzieje?

- Kontrola. Kogoś szukają.

Rządowi, zrozumiał Dymitr. Właściwie to lepiej. Chociaż sytuacja pozostawała dwuznaczna. Potok spytał:

- Może by o czymś porozmawiać?

- O czym?

- O polityce.

- Tutaj?

- Znasz jakiegoś języki? - pytał niezmordowanie Potok.

- Kilka.

- Popatrz. Ja ani be. Pięć słów po szwabsku, dziesięć po rusku. Żebyśmy obaj znali jakiś obcy język, to byśmy sobie mogli poszwargotać. Ludzie by pękali z ciekawości, nie? Mówię ci, Dymitr, trzeba się było po żydowsku wyuczyć, nikt tego w całym kraju nie zrozumie.

Ktoś się zaśmiał. Ktoś inny mruknął:

- Idą.

Słysząc było usztywniony głos:

- Kontrola biletów. Kontrola dokumentów.

Dymitr otworzył oczy. Czterech ich się przeciskało: jeden konduktor, dwóch żołnierzy i jakiś cywil w kraciastej marynarce i szaliku. Konduktor sprawdzał bilety, cywil i żołnierze tylko asystowali. Musieli szukać kogoś określonego. Dymitr sennym gestem sięgnął do kieszeni i podał konduktorowi blankiet biletowy. Trzej pozostali przyglądali się temu bez zainteresowania. Już mieli odejść, kiedy wzrok cywila, dotychczas roztargniony, padł na leżącą na półce pepeszę. Dymitr dojrzał w jego oczach wahanie. Cywil chwilę trwał niezdecydowany, potem nieznacznie, zezem, spojrzął na żołnierzy. Przyglądali się pepeszy, nie spuszczała z niej oka. Dymitr wsadził rękę do kieszeni, namacał papier

z zaświadczeniem. Nie ośmielał się o nic zapytać, pomyślał czując, że złośliwy uśmieszek zadrgał mu na wardze. Żołnierze nie patrzyli już na pepeszę, tylko gdzieś w dal, za okno. Cywil w szaliku przyglądał się ręce Dymitra, myszkującej podejrzenie w kieszeni.

- Pokaż im ten papierek - odezwał się nagle Potok.

Dymitr zwrócił się do mężczyzny w szaliku:

- Chce pan sobie popatrzeć?

Żołnierze nieznacznym ruchem przesunęli w jego stronę lufy pistoletów. Dymitr powoli wyciągnął z kieszeni zaświadczenie podpisane przez majora Zygmunta. Cywil w szaliku przeczytał je i uśmiechnął się porozumiewawczo. Dymitr otarł pot z czoła.

- Nabój w lufie? - spytał cywil wskazując na pepeszę.

- Nie. I zabezpieczony.

- W porządku. Niebezpieczna sztuczka, od trzęsączki potrafi sama się naładować. Znam taki wypadek.

Po ich odejściu Dymitr znowu udał drzemkę. Zdemaskowani na oczach wszystkich, myślał. Psiakrew. Żeby chociaż prędzej zrobiło się ciemno.

„Wkrótce potem była stacja z prawdziwego zdarzenia, zaplanowana wreszcie przez chwiejny rozkład jazdy - opowiadał były Dymitr. - Zajrzała wtedy do przedziału młoda pani, ubrana skromnie, ale nie tak szaro jak większość ówczesnych kobiet. - Nie nudzi cię to? - zwrócił się nagle do córki. - Idź, idź, pograj sobie w piłkę”. Dziewczyna zerwała się, jakby dawno już miała na to ochotę. Patrzyłem z przyjemnością, jak patałaszy, ani razu nie odbiła porządnie, byłego Dymitra to denerwowało. „Ma w tym dużo wdzięku - pocieszałem go. Na pewno tańczy o wiele łatwiej od najlepszego siatkarza w klasie. Nie musi być wszechstronna, nie, na litość boską. Nie wiem, czy pan zwrócił na to uwagę, ale mężczyźni jakby się bali zbyt sprawnych fizycznie dziewcząt. Mają one swoje przychyty powodzenia, jak wszystkie gwiazdy, arystokratki, wielkie kurtyzany, jak wcielenia pewnego mitu - o zdrowiu, sile, harmonii ciała, ale szybko się to ich wielbicielom nudzi, bo ona właśnie, siła mięśni, jest zaprzeczeniem kobiecości. Romanse mistrzyń, nawet

niebrzydkich, kończą się zawsze smutno.” „Wszystkie romanse są smutne - powiedział człowiek podający się za słynnego Dymitra. - Wszystko, z czym człowiek wiąże uczucie i nadzieję.”

Kobieta, która ukazała się między ławkami wagonu, nie wyglądała na mistrzynię sportu. Słabość emanowała z ciepłych, trochę jakby zdziwionych oczu, z łagodnego owalu pobladłej twarzy, z zarysu wypukłych warg, pociągniętych cienką warstwą czerwonej szminki. Chciała się cofnąć, w przedziale było tłoczno, ale Potok poderwał się ochoczo i wskazał na swoje miejsce.

- Proszę, proszę, pani siądzie - namawiał. - Co tam dalej szczęścia szukać. Wszędzie to samo. A tu towarzystwo kulturalne, swoi ludzie.

- Doprawdy, pan jest bardzo uprzejmy - bąknęła. - Ale ja nie chciałabym...

Potok już unosił jej walizkę i ładował nad pepeszą.

- Droga długa - mówił. - Zdążymy wszyscy na zmianę posiedzieć. Tyle godzin to nawet gość, jakby się uparł, usiedzieć nie wytrzyma. A my nie tacy ostatni, żebyśmy pozwolili pięknej pani odejść. - Ulokował ją na swoim miejscu, naprzeciw Dymitra. - Kto pierwszy, ten lepszy, może nie?

„Nie wiem, czy pan pamięta, jak się wtedy podróżowało - opowiadał były Dymitr. - Mniejsza o warunki sanitarne, łatwo sobie wyobrazić. Często bez szyb. A najczęściej bez oświetlenia. Z nastaniem zmroku sprzyjało to przygodnym znajomościom. Po kraju rajzowało tysiące zdrowych kobiet bez przydziału, tysiące mężczyzn po oflagu, repatriacji, wojsku. Ludzie się szukali. Taksowanie współpasażerów odbywało się zaraz na wstępie, na progu. Jeśli młoda kobieta wybierała sobie miejsce koło innej kobiety lub obok czcigodnego starca, należało się domyślić, że pragnie podróż odbyć bez przygodnych spoufaleń. Czasem zdarzały się myśliwym pomyłki. Słyszano wtedy w ciemności gniewny syk, jakież: proszę przestać, czasem ktoś gwałtownie się przesiadał. Nie jest wykluczone, że z tych przygodnych znajomości wynikały trwałe związki, ale chyba tylko wówczas, kiedy ludzie ci zdążyli choć kilka zdań zamienić przy dziennym świetle. Rozumie pan teraz, dlaczego Dzyngis-

chan powiedział: kto pierwszy, ten lepszy. Sama obecność tej pani stwarzała sąsiadowi szansę.”

\*

Milczenie trwało długo. Dymitr słuchał stukotu kół i skrzypienia osi. Wagon jęczał, jakby za chwilę miał się rozsypać. Kobieta zwróciła się do stojącego w przejściu Potoka:

- Nie chce pan usiąść?

- Nie.

- Bo może pan chce, ja naprawdę, ja nie muszę.

- Wyjdę na papieroska, a jak wrócę, to się zamelduję.

Długo palił tego papieroska. Kiedy wreszcie się zjawił, barczysty, szeroko uśmiechnięty, i nachylił się ku nim, owiał ich oddechem ziejącym buraczanką. Szybki, pomyślał Dymitr, już zdążył się gdzieś nachleptać. Potok przemówił walcząc z odrętwieniem własnych ust:

- To wy tu tego... beze mnie jakoś. Jakoś tam. Ja sobie coś przyuważyłem. Zamelduję się w Bagniskach.

- Pepesza - przypomniał Dymitr.

- Tak jest, bez tego ani rusz.

Potok ściągnął z półki pepeszę, przerzucił ją przez ramię i lekko się zataczając, wy dostał się pomiędzy ławek.

„Wtedy - wspominał były Dymitr - kiedy się tak ku sobie nachylaliśmy, żeby usłyszeć, co mówi Potok, popatrzyłem jej w oczy, było to uporczywe, może nawet natrętne spojrzenie, ona nie odwróciła wzroku, odpowiedziała mi tylko miłym sympatycznym zdziwieniem. Tęczówki miała ciemne, piwne, malował się w nich smutek, niepewność i dobroć. Mogło to być, oczywiście, oszustwo, jak jaskrawe ubarwienie piór na bezlitosnym drapieźniku, ale ja wołałem wierzyć. Zapytała mnie, czy jadę do Bagnisk. Tak, mówię, do Bagnisk. To ona też. Aha, bardzo mi przyjemnie, a czy pani pochodzi może stamtąd. Nie, skąd, ze stolicy, po wyzwoleniu osiedliła się w Bagniskach, Warszawa spalona, z mamą się osiedliła, dodała. Ma duży dom, nawet zdecydowanie za duży. Przyglądałem jej się ze współczuciem, powiem panu dlaczego, miała łagodną twarz,

delikatny podbródek, takie to wszystko było miękkie, słabe, pastelowe, że ja, kościsty, suchy, zarosnięty, w szorstkim golfie pod zieloną sukienną kurtą, poczułem się przy niej twardą sztuką, czymś brutalnym i kanciastym, nie do zdercia. Powiedziałem jej, że to chyba wyczerpujące dla kobiety podróżować w takim czasie, w niewygodzie i tak dalej. Uśmiechnęła się: o, nie jest tak źle; zresztą trzeba; człowiek musi sobie radzić. Wagon podskoczył na stykach szyn i jej kolano uderzyło o moje kolano. - Przerwał opowieść i rozejrzał się. Nie było powodu do popłochu: żona spała z liściem na nosie. - Powiem panu coś o tym kolanie. Przez chwilę spoczywało przy moim i mogłem wyraźnie odczuć jego ciepło i krągłość. I wtedy dla odmiany cholernie mi się zrobiło żal siebie. Co za przekleństwo każe człowiekowi być niezłomnym, szorstkim i nie do zdercia? Czy nie lepiej móc przytulić głowę do ciepłego, krągłego kolana? Niech pan pomyśli, miałem wtedy coś koło dwudziestu pięciu lat wszystkiego - a nie płakałem chyba ani razu podczas tej wojny. Całą wojnę - bez łez. Ojciec zginął, koledzy, miasto, sam dostawałem w skórę - a oczy miałem suche jak ostatni drań. Jak drzewo na rozpałkę. Ona mnie przeprosiła, nikt nie wiedział, za co, tylko ja: za to dotknięcie kolaniem. Och, pani - chciałem powiedzieć i rozryczeć się - och, piękna moja pani."

Powiedział cichutko:

- Kiedy tak lepiej. Ciepłej.
- Zimno panu? - spytała rzeczowo.
- Tak. Wie pani, jestem wyziębiony.
- Może aspirynę?
- Nie, nie trzeba. Spałem kilka tygodni w wilgotnej izbie i mam to w kościach.
- To ja otulę pana kocykiem - zaofiarowała się. - Wożę ze sobą zawsze pledzik.

Przykryła pledem swoje i jego uda, dotykali się kolanami, krążyło między nimi ciepło. Potem poczęstowała go chlebem i kawałkiem wiejskiej kiełbasy. Herbata z termosu. Zapadał zmierzch. On mówił trochę o tym, jak krążyły między nimi wiersze z Londynu, przypomniało mu się kilka z tych, które

urzekwały go w podziemiu, ona mówiła o sobie. W zapadających ciemnościach była już tylko dotykiem i głosem, dźwięcznym, metalicznym, wielostrunnym. Powiedziała:

- Pan jest bardzo młody, prawda?
- Nie bardzo. Zrobiłem maturę przed wojną.

Roześmiała się.

- Boże, jaki pan młody. - Westchnęła. - I tyle musiał pan przeżyć.

- A pani? Mało pani przeżyła?

- Ja to co innego. Zdążyłam przynajmniej złapać trochę szczęścia. Nie mam pretensji do losu.

Położył dłoń na kocu, w miejscu, pod którym powinno się było znajdować udo kobiety, i poprzez szorstką wełnę poczuł drganie mięśni.

- Jeszcze będzie życie - powiedział. Starał się myśleć o delikatnym naskórku uda.

- Mówią o wojnie - szepnęła.

- Nie, nie przypuszczam.

Ścisnął mocniej dłoń na udzie. Mięsień zadrgał. Kobieta poruszyła nogą i szepnęła:

- Nie. - Potem jeszcze raz: - Nie.

Skrzyżował ręce na piersi. Ale koniuszki palców wciąż pamiętały dotyk. Rozkoszne, pomyślał, święty Boże, jakie to rozkoszne, to pod tą szorstką wełną.

Znowu opowiadała o sobie. Mąż - lotnik - zginął w bitwie o Anglię, dziecko zmarło podczas wojny. Została mama, przedwcześnie postarzała, zupełnie zdezorientowana wydarzeniami, dziecinniejąca. Więc ona nauczyła się zawodu: jest „panią Janiną”, fryzjerką.

- Damską?

- Nazywa się, że damską. Ale u nas w Bagniskach zdarza się, że przychodzą do mnie i mężczyźni. Rybacy, marynarze, różnie. Ja strzygę, golę - jak trzeba. Mam pomocnicę, fajną dziewczynę.

- Gdybym się urządził w Bagniskach, zostałbym pani klientem. Widzi pani, jaki mam zarost?

- Tak, zauważyłam. - Przesunęła palcami po jego policzku. -



Ale myślałam, że zapuszcza pan brodę.

- Nie, nie było okazji się ogolić.

- To proszę odwiedzić mój zakład. Ale uprzedzam, że goli Aldona, ta pomocnica.

- To chyba nie przyjdę.

- Młoda i ładna - zachęcała. - Dużo młodsza ode mnie.

- Nie interesują mnie smarkule.

Chwilę milczała. Potem padło pytanie:

- Ale pan mówił, że nie zostaje w Bagniskach, prawda?

- Nie, nie zostaję.

Pociąg stał. Za oknami, na ciemnym peronie przesuwały się krzykliwe cienie. Dymitr zapytał:

- Nie pospacerowałaby pani trochę? Warto zaczerpnąć powietrza.

Wyszli na peron.

- Łało - zauważył. Peron był zmoczony, w kałuży kołysała się biała plama jedynej lampy. Stali blisko siebie, kobieta uniosła głowę, usiłując poprzez mrok widzieć go i rozumieć.

- Tak żałuję, że ta podróż się kończy - powiedział.

- Ja też. Było bardzo miło.

Uznał, że to dużo.

- Chciałbym jeszcze kiedyś panią zobaczyć.

- Czemu nie? Niech pan do mnie wstąpi. Jezuitów siedem. „Janina”, duży sztyd. Po mężu Kotwicz. Przyjdę pana bardzo dobrze.

- Nie wiem, czy będę mógł.

- Gdyby pan został w Bagniskach...

- Chyba będę musiał wyjechać. A tak chciałbym jeszcze kiedyś móc coś pani poopowiadać. Ma pani dobre oczy, miły głos, ludzkie serce.

- Niech pan przestanie, bo się rozplączę. Chwileczkę, proszę nic nie mówić. Przyszło mi na myśl - ale proszę tego źle nie rozumieć - że moglibyście panowie teraz wstąpić do mnie. Tu bardzo trudno o pokój w hotelu.

- Mamy zamówiony.

- O! - zdziwiła się. - Ale chyba nie musi pan tam iść od razu?

- Nie, nie muszę. Ale boję się, że będziemy pani

przeszkadzać.

- Mówiłam panu: mam duży dom. A nas tylko dwie, mama i ja. - Roześmiała się: - Ogołę pana.

- Gdyby można się było wykąpać! - westchnął.

- Naturalnie. Zrobię panu wannę. Mama będzie zachwycona, uwielbia gości.

Uściskała jej dłoń. Chwilę stali milcząc. Ona odezwała się:

- Tylko w pociągu na ten temat - pełna konspiracja. I proszę mnie nie dotykać. Błagam pana.

„Zdziwiła mnie natarczywość tej prośby - opowiadał mężczyzna na piasku. - Jeszcze: błagam pana. Skąd to zdziwienie? Cóż pan chce, najlepsze lata spędziłem na lataniu z rozpylaczem w ręku. Niby człowiek doświadczony jak mało kto, a w pewnych sprawach - gwóźdź i tyle. Błagam pana” - powtórzył zdumiony.

## 5

Potok znikł. Nie było go ani przy wyjściu z wagonu, ani na peronie w Bagniskach, wśród rozchybotanych cieni, ani potem, kiedy peron opustoszał, a oni wciąż czekali kostniejąc w mroku i chłodzie.

- Spłynął - domyślił się Dymitr.

- Może zasnął - usiłowała go usprawiedliwić Janina.

- Nie, spłynął. Dżyngis-chan, psiakrew.

„Czułem do niego żal za tę ucieczkę - wyznawał tatuś w piasku nadmorskim - żal absurdalny, bo ostatecznie to ja sam podsunąłem, że żadnego obowiązku nie ma, tylko dostać się na kuter i pomknąć do Szwecji. Ale żal pozostawał. Czułem się jak oszukany narzeczony. Ja go wyciągnąłem z ula, a on - żeby chociaż słowo! Spłynął i cześć”.

- Na pewno chrapie gdzieś w wagonie - powiedziała kobieta.

Dymitr podniósł ciężką walizę.

- Dokąd? Niech pani prowadzi.

Szli depcąc po mokrych klonowych liściach. Ciemność i przenikliwy wilgotny chłód nastrojały ponuro.

- Daleko? - spytał Dymitr przekładając walizkę z ręki do

ręki.

- Spory kawałek. Martwi pana kolega? - spytała.
- Staram się o nim nie myśleć.
- Znajdzie się.
- Nie potrzebuję go. Właśnie to muszę zrozumieć.

Stanęli przed piętrowym, ciemnym budynkiem.

- To tu - szepnęła. - Po schodkach w górę. Widzi pan, cała ta strona ulicy jest położona wyżej. Uwaga, tu dwa stopnie rozwalone. Od pocisku. Niech się pan nie rozgląda, proszę, naprawdę nie było czasu zająć się ogródkiem. Ale kratę nie ja przewróciłam, słowo, czołg zawadził. Trzeba by ją podnieść i skuć, prawda? Te drugie drzwi, za tymi schodkami, prowadzą do zakładu, ale ja wchodzę z mieszkania. Mama chyba śpi, nie będziemy jej budzić, zgoda?

Wyjęła z torebki pęk kluczy. Otwierała szybko niezliczoną ilość zamków. Po chwili owionął go ciepły mrok mieszkania. Szukał kobiety w tym mroku, ale musiała mu umknąć, potknął się o coś twardego, odchrząknął, żeby pokryć zmieszanie, ona tymczasem znalazła wyłącznik. Błysnęło światło.

- Przyjemnie tu u pani - powiedział rozglądając się.

Uśmiechała się uszczęśliwiona.

- Niech się pan rozgości. Zaraz ogolimy. Już robię wannę. - Pomagała mu ściągnąć kurtkę, zupełnie jak gdyby był ranny. - Cieszę się, że dał się pan namówić. Porozmawiamy, prawda? Nie musi pan od razu iść spać? Umie pan opowiadać! Taki młody i taki czaruś - śmiała się.

„Była trochę inna niż w pociągu - wspominał były Dymitr. - Śmielsza. W wagonie ja byłem w ofensywie. Zwyczajowo, jak to mężczyzna. Tutaj, w tym dużym, obcym domu, o krok od tego, czego tak pragnąłem - straciłem głowę. Możliwe, że to obecność mamy mnie deprymowała. Stara obudziła się, zlazła do nas z piętra w długim, męskim palcie, spod którego wystawały kościste, gołe łydki. Och, ta mama! Z dobrego domu, rozumie pan. Latyfundia, kamienice, fabryki, konie wyścigowe, Biarritz, Sopot, Ostenda. Ale ja wiedziałem od Janiny, że rodzina porucznika Kotwicza uważała jego małżeństwo za mezalians. Ta mama w ogóle żyła w nieprawdopodobnym świecie. Nie

była taka stara, ale zdążyły jej się pomieszać daty i wydarzenia, zdążyła schronić się przed nieprzychylną rzeczywistością w głąb życzliwej mitomanii. Janina powiedziała mamie: spójrz, jakiego żołnierzyka sprowadziłam, popatrz, jaki biedniusi, jak to się dziś dzieciaki męczą. I tak mama została załatwiona. Na współczucie, że taki bezdomny, zziębnięty, głodny i nagi. A czyż nie powiedziano, że trzeba takowych przyodziać, nakarmić, napoić i ogrzać? Mama wróciła do siebie rozczulona. A myśmy pili samogon pod pieczoną kurę. Grzybki były w occie, ogórki z beczki i sery rozmaite. Jabłka z własnego ogródka. Boże, jak się nazarłem! I żadnych bruderszaftów, flirtów, przekomarzań. Wszystko poważnie, rzeczowo, jak między mężczyznami. Wciąż przypominała, że jestem dzieciuch, a ona to może być przez całe życie sama, byle spokój był. Może nie jest w ogóle do tych spraw? - myślałem sobie. Przypatrzyłem jej się: rzeczywiście, była pięć czy siedem lat starsza ode mnie (zaraz mi się przypomniał tamten mechanik, znajomy mojej matki, i przykro mi się zrobiło, ale tylko przez chwilę). W oczach Janiny, czy też raczej pani Niny, tak ją nazywano w skrócie, pojawiało się ledwo uchwytnie znużenie, we włosach ukrywały się srebrne nitki. Tak, ale te wypukłe wargi, myślałem rozgrzany i wzburzony samogonem, te wargi są bardzo nęcące. Mój wzrok spoczął natarczywie na owalu piersi. Powinna rodzić i karmić, myślałem. O mało nie powiedziałem tego na głos". Rozkazała:

- A teraz do wanny.

Kiedy wyszedł z łazienki, w długim kąpielowym płaszczu, z mokrymi włosami, zobaczył, że ona czeka na niego w pobliskim pokoju.

- O, już pan jest. Ale ja zastanawiałam się... - Urwała.

- Zastanawiałam się... wie pan nad czym?

- Nie zgadnę.

- Czy nie powinno się panu wyszorować pleców.

- Może nie byłem aż tak brudny.

Wstała.

- To była pokusa, wie pan. Przetrzepać mężczyźnie plecy za wszystkie krzywdy niewieściego rodzaju.

- Trzeba było to zrobić.

- Za mało się znamy - powiedziała. - Zdaje się, że ludzie by to źle zrozumieli. - Uśmiechnęła się. - Pan też. Dobrze, że już pan wyszedł z łazienki.

- Mogę wrócić - zaofiarował się.

- Nie, za mało się znamy - powtórzyła.

Zaprowadziła go do gabinetu fryzjerskiego. W jaskrawym świetle, zwielokrotnionym w lustrach, zobaczył swą twarz wychudłą i pokrytą twardą szczecina, rozparzoną w kąpiel. Pani Janina owinęła mu szyję ręcznikiem, potem przejechała szczotką po krótkiej, mokrej czuprynie.

- Kto pana tak ostrzygł? - spytała, fachowo przebierając włosy palcami.

- Brzydko?

- Bez litości - powiedziała. - Był pan w wojsku?

- W więzieniu - odpowiedział po prostu.

Nie wydawała się zgorszona.

- Ach, katorżnik. Nie chce pan zapuścić brody?

- Na razie nie.

Zaczęła rozrabiać pianę.

„A więc ogoliła mnie - wspominał z uśmiechem były Dymitr.

- Potem wtarła w policzki jakiś krem. Potem przypudrowała. Poddawałem się zabiegom bez oporu. Przymykałem oczy i wtedy cała rzeczywistość zniknęła, zostawało tylko igranie jej palców. W fotelu było rozkosznie sennie. Znowu przeczesywała moją przykrótką czuprynę. A potem, nakarmionego, umytego i ogolonego - jednym słowem, ustawionego do ciosu, jak to określają bokserzy - zaprowadziła do pokoiku na górze. Zapaliła nocną lampkę. Szerokie, żelazne łóżko było już czyściutko posłane. Uświadomiłem sobie, że jestem w rękach kobiety-opiekunki. Teraz powinno było nastąpić to, czego oczekiwałem. Ale nic się nie stało. Pani Nina nakręcała budzik”.

- Na dziewiątą czy wcześniej? - spytała.

- Na dziewiątą - odparł Dymitr, trochę zdziwiony tą gospodarnością.

- Ja otwieram o jedenastej.

Postawiła budzik na nocnym stoliku i wyszła. A więc tak to

ma się skończyć, myślał rozczarowany. Pomyliłem się, dobrze przynajmniej, że nie byłem natarczywy, wyszedłbym na idiotę. Nie powiedziała „dobranoc”, zapomniała, i drzwi na korytarz zostawiła otwarte. Może... Nie, przestań. Zrzucił z siebie płaszcz kąpielowy i nagi wyciągnął się na łóżku. Poduszka była duża i miękka. Rozkosz - myślał wczorajszy więzień. Justynianowi przykryli twarz gazetą. Był żółty i zarośnięty. Złowrogi jest gdzieś obok. Zawisza w Badenii. W Alhambrze muzyka i gołe dziewczyny. Zdrajca Potok, urwał się i sam spłynął, zdrajca, zdrajca. Co robić? Od czego zacząć? Zasnąć, pomyślał. Usłyszał zbliżające się lekkie kroki. Nie otwierając oczu szukał obok siebie po omacku wyłącznika lampki.

- Nie gaś - szepnęła kobieta.

Znieruchomiał. Słyszał nad sobą jej szybki oddech. Blask lampki nocnej leżał na powiekach i niepokoił. Jestem nagi, myślał, strach, jaki nagi. Palce kobiety przesuwają się po jego ramionach ku klatce piersiowej. Zachłanne palce niewidomej, pomyślał nagle. Niewidoma, niewidoma, powtarzał w myśli, ćma w blasku lampy, niewidoma, oślepią, zamawiał, poddając się dręczącym pieścizotom. Nagle światło zgasło i ciepły oddech zbliżył się do jego ciała. Wilgotne muśnięcie warg było zapowiedzią długiej, rozkosznej ulgi.

## 6

Budzik nie zadzwonił. Kiedy Dymitr otworzył oczy, było już po dziewiątej. Nie dziwiło go wcale, że leży w dużym łóżku, że jest ciepło, miękko i wygodnie. Zamknął oczy usiłując przywołać utracony sen, wtulić się znów w ciepło i puszystość. „I nagle wszystko wróciło - opowiadał z ożywieniem. - Wszystkie problemy, konflikty, zobowiązania. Jak w kalejdoskopie: Nina - Złowrogi - Zawisza - Skorpion - Potok - mama - mechanik - Zygmunt. Wydawało mi się, że ktoś na mnie czeka, ktoś woła. Nie było czasu do stracenia”. Zaczął się pośpiesznie ubierać.

Znalazł Janinę w kuchni. Smażyła placki kartoflane. Dla niego, zrozumiał. „Spytała, czy lubię - wspominał pan na plaży.

- Tak, lubiłem, ale wydawało mi się, że muszę iść. Coś mnie pędziło. Mogło ją to urazić, ale teraz wiem, że nie była urażona, uważała, że takie postępowanie jest normalne u nas, mężczyzn. To by może przemawiało za tym, że miewała już przedtem tego typu przygody, ale nie, nie wydaje mi się, wszystko odbyło się zbyt spontanicznie i zbyt, zdziwi pana to określenie, zbyt wstydliwie. Mimo wszystko w głębi duszy była głęboko niewinna. Pamiętam jej spojrzenie, kiedy odważyłem się wykrztusić, że muszę iść. Te duże, piwne, łagodne oczy”.

Nie spytała, co go tak pędzi. Może się domyślała. On sam czuł, że musi wyjaśnić:

- Sprawy. Rozumiesz sama. Muszę się do tego zabrać.

- A jeść?

- Są chyba jakieś knajpy. - Dotknął kieszeni kurtki, były grubo wypchane, kupa forsy, pomyślał zdziwiony. - Nie potrzebujesz pieniędzy? - spytał nagle.

- Nie.

- Szkoda, mam tego jak lodu.

- Ale zjedz choć jeden racuch - namawiała podsuwając talerz. Zwinął parzący placek w trąbkę i chuchając wepchnął do ust. - Szkoda, że nie możesz zostać - mówiła. - Już się do ciebie ośmieliłam. Mama będzie bardzo rozczarowana. Mama przysięga, że widziała twoje zdjęcie w przedwojennym „Asie”. Zdobyłeś pierwsze miejsce w konkursie tanecznym w Resursie Obywatelskiej.

- To chyba mój dziadek.

- A w ogóle to zachowujesz się podejrzanie.

- Jestem podejrzany.

Odstawiła patelnię. Zwróciła ku niemu zarumienioną twarz:

- Nic mnie to nie obchodzi. Byłeś miły i subtelny. Pokaż rękę. - Myślał, że zechce mu powróżyć, ale ona podniosła jego dłoń do ust i pocałowała. - Za subtelność - tłumaczyła nie wypuszczając jego dłoni. Pocałowała ją drugi raz. - Za dyskrecję. - Potem przycisnęła jego dłoń do swojego rozpalonego policzka. - Za wszystko - szepnęła.

Wyprowadziła go na ganek. Przenikliwy chłód owiewał policzki.

- Zaziębisz się - powiedział.
  - Nie, teraz nie - mówiła trzymając jego dłoń w swojej. - Nie jesteś bandytą - szepnęła.
  - Skąd wiesz?
  - Bo nie masz broni. - Objęła go tkliwym spojrzeniem. - Wiem, kim jesteś.
  - Kim? - Zaniepokoił się.
  - Chłopcem. - Wyswobodził dłoń, ona mówiła dalej: - Biednym chłopcem. Miłym sierotą. Tylko nie popłacz się. Rozejrzyj się dokoła: zapamiętasz drogę?
  - Na pewno.
  - Gdybyś tu jednak został...
  - Chyba wyjadę.
  - Wiem, ale pamiętaj, jeśli będziesz miał dosyć swoich zwariowanych spraw, możesz tu u mnie znaleźć miejsce. Od zaraz. Na stanowisku ogrodnika albo chłopca, pana, aresztanta.
  - Albo utrzymanka.
  - Albo maskotki - uzupełniła.
  - U ciebie byłoby mi znakomicie, na pewno.
  - Ukryję cię.
  - Wiem. Ale ja nie zostanę.
  - Jeśli wyjedziesz, to proszę cię, proszę, nie pamiętaj mi tej nocy ani tego, co mówiłam, ani niczego. - Ścisnęła jego dłoń. - Tak się wstydę.
  - Powinnaś być zadowolona - powiedział. - Dumna, tak jak ja. Piekielnie jestem z ciebie dumny.
- Słuchała go zaskoczona i jakby strwożona.
- Nigdy się chyba nie zobaczymy - mówił. - Jeszcze dziś sobie załatwię odpływ. Łatwiej mi powiedzieć ci coś na odchodnym. Placek był doskonały. Do twarzy ci w fartuchu. Dobrze jest z tobą spać. Dużo dajesz i masz prawo dużo się domagać. Masz prawo rodzić, karmić, wychowywać.
- Mruknęła zakłopotana:
- Ale się rozgadałeś. I takie dziwne komplementy. Chociaż to prawda - przyznała - to wszystko prawda, nie boję się urodzić, wiesz dobrze. Czy będzie wojna? - spytała nagle.
  - Myślę, że nie.



- Śpiewają „Jedna bomba atomowa” - słyszałeś to?
- Nie, nie będzie wojny.
- Z małym dzieckiem podczas wojny... już raz to miałam...
- Nie, nie bój się, teraz musi być pokój.
- Ile lat? Trzy, pięć?

„Zwracała się do mnie jak do eksperta - opowiadał pan na plaży. - I jak do wtajemniczonego. A może jak do swojego mężczyzny. Ten Kotwicz musiał zapewne o wszystkim w domu decydować sam. Teraz ja miałem rozstrzygnąć, czy powinna mieć dziecko. Nie przerażały jej trudy macierzyństwa, tylko to, czy dziecko zdoła wyrosnąć, zanim będzie nowa awantura”.

- Piętnaście lat pokoju, na pewno. Może dwadzieścia - powiedział. - Do nowej draki musi wyrosnąć nowe pokolenie. Stare mięso armatnie już się nie na daje. Dwa razy go nie zmielesz. Na przykład ja. Cześć, skończyłem z tym. Drugi raz mnie nie namówią. Panowie we frakach o tym wiedzą i zawsze te dwadzieścia lat odczekują.

Powiedziała w zamyśleniu, jakby była gdzieś obok jego słów:

- Kiedy tak ci się przypatruję, tak jak teraz stoisz, spieszysz się, chcesz pędzić i tak przejęty jesteś tym, co masz do zrobienia, a potem pomyślę o sobie, o mamie, o mojej pomocnicy, to dochodzę do wniosku, że jednak lepiej, żeby to był chłopiec. Lepiej jest chłopcom.

- Mimo wszystko? - zapytał cicho.

- Mimo wszystko - powiedziała z nieoczekiwaną zawziętością. - Idź już.

„Odchodziłem z ciężkim sercem - opowiadał. - Zostawiłem ją rozczuloną własnym babskim losem. Łzy zakręciły jej się w oczach, chociaż mnie nie kochała ani ja jej. A jednak żal był obustronny, rozstawaliśmy się, jakby to był nie wiem jaki dramat. Bo dwoje ludzi, którzy się poznali i lgną do siebie, stanowi coś więcej niż to, co zdążyli sobie ofiarować, stanowi jeszcze wizję utraconych możliwości, wszystkiego, czego pragnęli, oczekiwali i nie spełnili. Pewnie, że para z nas byłaby i kaleka. Już choćby ta różnica wieku. Ale na razie nie odgrywała ona żadnej roli, podobnie jak ta wojna, która miała w końcu wybuchnąć, ale nie wiadomo kiedy. Nie ja więc

odchodziłem w szarą, mglistą, «siną dal», ale jej odwieczne marzenie, jej marzenie znów się oddalało i rozwiewało”.

Pomyślałem sobie, słuchając opowieści, że zanadto go może dręczy romansowa strona wydarzeń. Żeby się nie skończyło na wspomnieniach erotycznych podtatusiałego pana, zatrwożyłem się. Były Dymitr też widocznie się spostrzegł, bo uśmiechnął się porozumiewawczo. „Teraz mógłbym już przywołać córkę. Z erotyką koniec - zapewnił. - Co by pan zrobił w małym sobie znanym mieście? Szuka się tego, co najważniejsze: rynku, wielkiego lokalu, city. Poszedłem w stronę hotelu Grand, tego, w którym mieliśmy zamieszkać, drogę pamiętałem jeszcze z czasów przedwojennych. Przed wejściem do kawiarni hotelowej zdarzyło się coś, co na chwilę wytrąciło mnie z równowagi. Jakiś postawny, tęgawy pan po pięćdziesiątce, przechodząc, uśmiechnął się przypocholebnie i uchylił przede mną kapelusza. Obejrzałem się, ale nikogo prócz mnie w pobliżu nie było. Ten facet z daleka odwrócił się i uśmiechnął się raz jeszcze, jakby chcąc zapewnić, że to właśnie o mnie chodziło. Kilkakrotnie jeszcze odwracał się, za każdym razem uchylając kapelusza szerokim, staroświeckim gestem. Kto to może być? - zaniepokoiłem się nie bez racji, bo przecież każde nieoczekiwane spotkanie dawało prawo do niepokoju. Ktoś z czasów okupacji, niewątpliwie. Widziałem go w jakimś lokalu. Ale w jakim? Nie mogłem sobie przypomnieć. Lokal, do którego przychodzili Niemcy, podszeptowała mi rozchwiana pamięć, coś niebezpiecznego. Widziałem, jak ów pan, którego, nawiasem mówiąc, otoczyła w pewnym momencie gromadka zgrabnych dziewcząt, odwrócił się w moim kierunku po raz ostatni. Odgadywałem, chociaż to było daleko, jego uśmiech. Powie pan, że należało za nim pobiec, rozwiązać zagadkę. Ale ja wcale się nie chciałem wystawiać na spojrzenia, a zresztą nie traciłem nadziei, że wszystko to może polega na nieporozumieniu”.

Zajął stolik pod ścianą, w cieniu, i zamówił śniadanie. Czekając przeglądał spis potraw, wydrukowany na papierze firmowym, grubym i kredowobiałym, pierwszej klasy. Mnóstwo tam było rzeczy, o których tylko w książkach czytał. Lubował

się właśnie samymi nazwami - bez cen, bo kuchnia tych dań nie miała - kiedy nad głową rozległo się ochryple:

- Cześć, Dymitr.

Stał przed nim Potok. Skubany, zaklął Dymitr w myśli. Czy go trzasnąć w mordę? Czy go posłać do wszystkich diabłów?

- Cześć, siadaj - mruknął. Dżyngis-chan cholerny, myślał Dymitr oddychając szybko, nie uciekł, zawieruszył się i znowu odnalazł. Rzucił okiem na ramię Potoka: wystawała sponad niego ażurowa lufa pepeszy. Odetchnął z ulgą: a więc nic się nie zmieniło, znowu razem.

- Gdzieś ty wsiąkł, skubany? - pytał Dymitr udając, że wciąż przygląda się karcie potraw.

- Z ludem byłem.

- Gdzie?

- W kościele. Tu jest fajny kościół.

Dymitr przyjrzał mu się: nad wystającymi policzkami poczerwieniałe skośne oczy, niskie czoło, a nad nim zmierzwiona wełna ciemnych włosów. Niemyty, nieczesany skubaniec.

- Chlałeś? - spytał Dymitr.

- Jestem czy nie? - warknął Potok w odpowiedzi.

- Posłuchaj, Tancerz, tak do niczego nie dojdziemy. Nie mogę za tobą latać po całym mieście.

- A latałeś? - spytał Mongoł przymrużywszy oczy.

- Jeszcze czego.

- To po co ta gadka? Wszystko było w normie.

- Nie, Tancerz. Nie ma takiej umowy. Ja rozkazuję, ty słuchasz - taka jest umowa. Jak ci się nie podoba, możesz spływać od razu.

- Spłyniemy razem - zapewnił Potok. - Zawisza to urzędzi, zobaczysz. Ty, Dymitr, nie gniewaj się. Ja wiem, że ty rozkazujesz. Nie chciałem ci przeszkadzać, sam rozumiesz. Jak ci było? Klawo, nie?

Dymitr nie odpowiedział.

- Woląłem zniknąć z oczu - mówił Potok. - Czy ja nie wiedziałem, czym to się skończy? Wystarczyło na nią rzucić okiem, jak tylko się pokazała. Jak popatrzyła na ciebie, to

z miejsca poruszyła noskiem, uważasz, tu jej się nozdrza rozděły, o tak, popatrz, jak u grzejącej się kłaczy. Ja po tym wężeniu z miejsca poznaję, czy niewiasta ma chrapkę.

- Och, przestań.

- Och, przestań - przedrzeźniał Potok. - „Przestań, nie tknij, to święta kobieta”. Żebyś kiedyś nie oberwał od takiej świętej, uważaj.

- Przespałeś stację?

- Ja? - oburzył się Potok. - Coś ty! Ja też nie od macochy. Wzięła mnie na kwatere taką młodycia, że niech skonom, jeśliby mogła wcisnąć zad do tego fotela. Po świątach ślub, mówi, i muszę się ci ja, panoczku, różności poduczyć, żeby się zaś panu mężowi ze mną nie cniło.

- Zalewasz, Tancerz. Zalewasz, żeby mnie zgnoić.

- Może zalewam, nie wiem. Schlałem się na trupa i nic nie pamiętam, ale ze ślubem i z objętością chaziajki to na pewno prawda, to pamiętam. Dymitr, wiedziałem, gdzie cię szukać, nie? Widzisz, głowa! - pochwalił się.

- Idź się umyć.

Potok wrócił z toalety odświeżony, przylizany. Teraz powinien iść do Ninki, pomyślał Dymitr z melancholią, ogoliłaby mu tatarską szczecinę. Kelner przyniósł jajecznicę i po kieliszku starowinu. „Po raz pierwszy płaciliśmy tamtymi pieniędzmi - opowiadał Dymitr. - Proszę mi wierzyć, że to było przeżycie. Potok mówił wprawdzie: rąbaj, siekaj, czas ucieka, śmierć frajerom i podobne porzekadła, ale raczej dla zagłuszenia wątpliwości. W gruncie rzeczy mieliśmy niejasne uczucie, zabobonne wręcz, że korzystanie z tych pieniędzy wciąga nas w coś, z czego już nie zdołamy się wydobyć. Postanowiłem odkryć przed Potokiem wszystko”.

- Tancerz - odezwał się Dymitr. - Wiesz, kogo oni podejrzewają?

- Kogoś z tego zapijaczonego miasta.

- Tak, ale to ma być Zawisza.

- Słyszałem, ale myślałem, że taka ich zagrywka.

- Nie, nie zagrywka, tylko błąd, który powstał z nadmiaru logiki.

Potok zamyślił się.

- Błąd - powtórzył. - Dlaczego błąd? Jak logika, to logika. Może racja jest ich...

- Co ty, Tancerz! Przypomnij sobie...

Potok spojrział na Dymitra spod oka.

- Stary, ja też wszystko pamiętam. Pytam: dlaczego nie? Ten świat to jedna wielka kurwa i wszystko jest niemożliwe. Forse wzięłeś? To trzeba zacząć robotę.

- Nie wiedziałem, że jesteś taki obowiązkowy - zauważył z przekąsem Dymitr. - Przedtem mówiłeś inaczej.

- Chrzanię to, co przedtem mówiłem. Chrzanię obowiązki. Chcę złapać Złowrogiego! Żeby to rodzony brat był, to u mnie będzie leżał pod ziemią.

Dymitr powiedział półgłosem:

- Jakiś facet mi się kłaniał. Na ulicy, przed hotelem.

- Znasz go? - spytał Potok.

- Gdzieś go musiałem już widzieć. Ale nie pamiętam gdzie. Chyba w jakimś niemieckim lokalu. Tańczył czy śpiewał, nie mogę sobie uprzytomnić.

- Niedobrze, że nas przyuważył. Z niemieckiego lokalu, mówisz? No, to trochę podejrzane.

- Tak, wszystko staje się podejrzane.

Dymitr w zamyśleniu przesuwiał szklanki po stole.

- Stłuczysz - upomniał go Potok. - O czym myślisz?

- O tym, co syn jest winien matce - odpowiedział Dymitr.

- Miłość i posłuszeństwo. Przysięgam, że tak mówił ksiądz.

- Nie, bez posłuszeństwa - sprostował Dymitr.

- Ksiądz...

- Mniejsza o księdza - przerwał Dymitr. - Księża nie mają matek.

- Pomyliło ci się, dzieci nie mają.

- Na jedno wychodzi. Z miłością to masz rację - przyznał Dymitr. - Miłość, miłość na pewno się należy.

- Wikt, stary, to najważniejsze, wikt i fatalaszki, takie jej prawo, o miłość mniejsza.

- Masz rację - zgodził się Dymitr. Znowu jestem bliski łez, pomyślał. Wszystkie nakazy moralne się rozsypują, ale

niezachwiane pozostają wymagania materialne. - Matka ma mieć słoneczne mieszkanko - powiedział - z łazienką i waterklozetem, sukienki i szlafroki, palto z kołnierzem ze srebrnych lisów, lakierki i boty.

- Kuchenkę gazową. Firanki i doniczki: kaktus i pelargonia - uzupełnił Potok.

- Tancerz, imponujesz mi. Można się z tobą dogadać.

- A coś ty myślał? Ma się pojęcie. Moja stara handlowała za Niemców słoniną, nakryli ją na stacji i podali do Majdanka. Tam się gdzieś zapodziała i przepadła. Ani śladu.

- Widziałeś palce mojej matki?

- Widziałem. Ciesz się, że ma palce.

- Wyjadę dokądś, gdzie dobrzy ludzie nie dadzą zginąć - mówił Dymitr. - Sprowadzę mamę i urządzę jej dzień tak: rano kawa gorąca z kozuszką, rogaliki z masłem, dzienniki i pisma ilustrowane, potem trochę koło domu porobi, spacer po głównej ulicy, po południu pogaduszki w kawiarni z przedwojennymi oficerami, a wieczorem brydż.

- Dobrze - pochwalił Potok. - Ale ty będziesz musiał dużo tego lasu wyrębać, żeby na to wszystko zarobić.

- Nie będę żadnego lasu rębał, nie ma głupich. Będę zebrał. Z wyciągniętą prawicą i tabliczką na piersi: „Bohater i ofiara waszych kombinacji prosi o wsparcie”. I ciemne okulary.

- Jezus - westchnął Potok.

- Są jeszcze inne możliwości. Ożenię się z moją fryzjerką. Posiedzę u niej aż do jakiejś amnestii. Mama nauczy się przy niej fachu, będzie robić manicure. I sama wypielegnuje sobie białe paluszki. Co ty na to?

- To byłoby do zrobienia.

- To jest do zrobienia. Dostałem propozycję.

- Szczęściarz. Teraz uważaj, co ci powiem, Dymitr, żadnej reakcji na twarzy. Na prawo od ciebie pod szklaną ścianą siedzi facet, który nie spuszcza z nas oka. Buty oficerki. Weź kartę z sąsiedniego stołu, to zobaczysz.

Dymitr zwrócił się na prawo i poprosił o kartę starszą panią przy sąsiednim stoliku. Kiedy dziękował uprzejmym uśmiechem, zdążył zerknąć w stronę szyby. Sprytnie usiadł,

łobuz, pomyślał, twarz jest w cieniu. Dymitr wrócił do stolika i udał, że pochłonięty jest studiowaniem karty potraw. Znał ją już na pamięć. Sandacz pod beszamelem. Ceny brak. Siedź po japońsku. Rolmops. Indyk w maladze. Kawior czerwony. Wszystko bez ceny.

- Co myślisz o tym facecie? - spytał Dymitr.

- Że nas kapuje - odparł bez wahania Potok.

- Chyba masz rację. Co on teraz robi?

- Czyta gazetę.

- Jak ja kartę. Zrobimy się obaj bardzo odcytani. Zobacz, kawior astrachański, jadłeś to kiedyś? - Potok nachylił się ku niemu, żeby odczytać w karcie nazwę. - Mnie on w tych butach nie dogoni, bo ja drałuję w pepegach, ale ty w saperkach będziesz przy nim leżał.

- Dymitr, nie lubię, gdy jesteśmy śledzeni.

- Może on ma w kawiarni stały dyżur?

- Nie, on jest tu tylko dla nas, nikt inny go nie obchodzi. Czyj to może być człowiek?

- Chyba nie Złowrogiego - powiedział po namyśle Dymitr.

- A Zawiszy?

- Skąd Zawisza może coś o nas wiedzieć?

- A może Zawisza wie wszystko? - zastanawiał się Potok. - Może całe miasto jest jego?

- Nie - zdecydował Dymitr - Zawisza nie ma nas po co śledzić. To jest ktoś od nich. Od Skorpiona. Może Zygmunt zdradził?

- Psiakrew - denerwował się Tancerz. - Płacą i nie wierzą.

„Może to pana dziwić - komentował mężczyzna na piasku - a przecież obaj czuliśmy się dotknięci. Zrobiło mi się gorąco, siedziałem co prawda w kurtce, a pod spodem miałem golf, można to i tak tłumaczyć, ale wydaje mi się, że były to wypieki na skutek posądzenia o nieuczciwość. Chciałem zatelefonować do Zygmunta: jeśli nie możemy pracować swobodnie, to pies z wami tańcował, zwracam forszę i nie ma mnie. Wydawało mi się, nie wiadomo czemu, że nasza umowa jest sprawą dżentelmeńską, że zaangażowany został honor obu stron. Ten obserwator pod oknem wszystko psuł. Czulem się znieważony”.

- Oni chcą wiedzieć, co my naprawdę mamy zamiar robić - próbował tłumaczyć Potok.
  - Tak, ale dlaczego? Bo myślą, że to jednak Zawisza jest tym Złowrogim - powiedział ze złością Dymitr.
  - Nie, stary, Zygmunt nie zdradził. Sprawa jest prostsza.
  - Myślisz?
  - Pepesza - szepnął Mongoł. - Pepesza budzi podejrzenie.
- Racja, pomyślał Dymitr. Chwila ulgi, ale takiej, że aż kolana zmiękły. Potem syk:
- To rzuć, rzuć to żelastwo do ciężkiej Anielki...!
  - Nigdy! - odparł patetycznie Potok. - Bez broni nie przywykłszy. Jak bez nerek.
  - Napytasz nam biedy - mruknął Dymitr. - Ubezpieczaj, Tancerz.
- Skierowali się do wyjścia: Dymitr pierwszy, Potok za nim. Dymitr nie oglądając się za siebie spytał:
- Co tamten?
  - Jeszcze siedzi - odpowiedział Potok. - Ale już zwinął gazetę.

## 7

„Nie wierzyłem swoim oczom” - powiedział były Dymitr. Siedzieliśmy w saloniku, w którym z jednej strony królowała palma w zielonej donicy, z drugiej telewizor. Podczas gdy reszta gości obsiadła telewizor, były Dymitr i ja schroniliśmy się pod palmą. Pomyślałem o oazie, tak mi się to skojarzyło, zupełnie jakbym się schronił w cieniu opowieści pierzchając z nagiej, beznadziejnej pustyni towarzyskiej. „Widok Zawiszy mną wstrząsnął, nie przesadzam - opowiadał były Dymitr. - Coś tu było nie w porządku: albo Zawisza zmienił się tak straszliwie w ciągu roku, albo to już przedtem go przemodelowałem we wdzięcznej pamięci. Zmieniamy się, oczywiście, wszyscy, przeżycia nas deformują - i ja też, z moim brzuszkiem, łysinką, powolnością - nie przypominam tamtego Dymitra tak dalece, że chwilami mi się wydaje, że opowiadam o kimś innym, nie o sobie, tylko że ten proces ciągnął się



u mnie latami, podczas gdy nowy Zawisza ukazał mi się równo po roku; kiedy się z nim rozstałem, był także październik, i pamiętam, pamiętam, że mój były dowódca sunął w głąb lasu, który stał w złocie i czerwieni, i wyglądało to tak, jak gdyby złoto, ożywione przez wiatr, wchłonęło go i pokryło ruchomymi mackami. Tak romantycznie, i zarazem impresjonistycznie, zachowałem Zawiszę w pamięci. Teraz miałem go znowu przed sobą. To był on, niewątpliwie, ale jakiś gorszy, przyniżony, przytłoczony do ziemi. Zawisza-bubel, towar, na który nikt nie miał ochoty, z nową, niższą ceną, niemodny i - o Boże, brzydki. To, co uderzało w jego wyglądzie, to rażąca asymetria twarzy. Od razu każe ona myśleć o chorobie lub pijaństwie. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy taka była twarz Zawiszy dawniej, chyba nie, na pewno nie. Prawa strona jego szerokiej twarzy była teraz jakby opuchnięta, prawa brew uniesiona wyżej niż lewa, włosy z tej strony bardziej wyłysiałe, grube wargi z lekka wykrzywione. Wie pan, jak na to zareagowałem? Pomyślałem sobie: mój Zawiszo, mój dowódco. Po prostu tak. Rozczuliłem się. Byłem gotów do poświęceń!”

Zawisza nie ukrywał złego humoru.

- Po coście tu przyjeźli? - spytał. - Myślicie, że zacznę od nowa? Koniec, kropka, rozdział skończony. Nie powinniście chodzić do nikogo z naszych, ściągniecie tylko biedę. A ty czego kręcisz się z tą maszyną? - zwrócił się do Potoka, na którego piersi zwiślał pistolet automatyczny. - Dwóch, trzech z nich spietra, czwarty zapyta, skąd to masz.

Opadł ciężko na czerwoną reklamierkę - wszystko w tym salonie było czerwone, fotele, stoliki, obicia, wszystko nosiło na sobie piętno naśladownictwa, miało oddać uroki i atmosferę „Moulin Rouge”. Włożywszy dłoń za rozchełstaną koszulę, Zawisza drapał się w pierś.

- Zresztą, batożyć - powiedział. - Ja się nikogo nie boję. Ujawniłem się i już. Mogę spać spokojnie, a jeśli nie śpię, to już są inne sprawy. A z wami jak?

- Myśleliśmy, że nam coś poradzisz - zaczął nieśmiało Dymitr.

- Ja? Wam? Co? Co poradzić?

- Kombinujemy, jak by stąd nawiać. W szeroki świat.

Zawisza kiwnął głową,

- To się da zrobić.

- A ty co? Nie pojechałbyś?

Zawisza wykrzywił usta. To miał być ironiczny uśmiech, zrozumiał Dymitr.

- W szeroki świat? Nie, to nie dla mnie. Ja się boję szerokiego świata. Ja wolę swój mały, wąski światek. Ciasny, ale własny.

Dwaj mężczyźni pod ścianą zaśmiali się. W półmroku, na tle obicia bordo, stawali się prawie niewidzialni. Obstawa, każdy żyje z obstawą, pomyślał Dymitr. I zagadnął:

- Powiadają, że w Bagniskach grasuje Złowrog. Czy ty wiesz coś o tym?

Tamci pod ścianą poruszyli się. Zawisza odpowiedział:

- Tak powiadają. Ale co mnie to obchodzi. Tutaj ich grasuje od cholery, Złowrogich i Stonogich, i różnych innych.

- Stary, ilu naszych Złowrog wykończył! Pomyśl!

- Wiem, wykończył. Rachunek zamknięty. Nieaktualne. Na wydarzenia nie ma wakacji, już się zaczynają nowe. Po co zajmować się starzyzną? - Nagle Zawisza poweselał. - Dymitr, Tancerz, zdejmijcie kurtki, przetrącimy coś.

Jeden z jego ludzi wyniósł kurtki do przedpokoju. Kobieta w czarnym fartuchu z białą zapaską, młoda, jędrna, rumiana, wniosła tacę z zimnym mięsem i ogórkami, butelkę wódki i kieliszki. Czy to jego kochanka? - zastanawiał się Dymitr. Miała jasne, prawie białe włosy, karbowane w kędziory, twarz czerwoną, cerę szorstką, spojrzenie drewniane. Biodra rysowały się jednak ponętnie i możliwe, myślał ze smutkiem Dymitr, że po pijanemu, tak, po pijanemu, Zawiszy sam owal tych bioder może wystarczyć. Na stole przybывało talerzyków i jadła. Kiedy kobieta wyszła, Dymitr nachylił się ku Zawiszy.

- Stary - powiedział cicho. - Ja siedziałem. Wiesz, co mi wmawiano? Jakies napady, o których pojęcia nie miałem. A potem, wiesz co jeszcze? Że ty jesteś Złowrogim. - Ty - powtórzył Dymitr.

- Nalej - zwrócił się Zawisza do Potoka. Podał mu drżącą

ręką butelkę. Niedobrze, pomyślał Dymitr przyglądając się dygotaniu dłoni Zawiszy, niedobrze, dno. - Ja mam być Złowrogim? Dobrze!

Zawisza podszedł do okna, Dymitr stanął tuż za nim. Milczeli. Na skwerze, między zeschniętymi liśćmi, rozdeptywał brunatne błoto osobnik w wysokich butach. Kurtka, kaszkiet. Ten sam. Czyj on jest? - pomyślał Dymitr z nagłym lękiem. - Kto go nasyła?

- Siedzą nas - powiedział patrząc w okno.

- Mówiłem, nie trzeba nosić takiej broni.

- Ten facet znowu na nas czeka. Popatrz, tam stoi. Teraz wypuścił dym.

Mężczyzna w kaszkiecie krążył między drzewami z papierosem w ustach. Wysokie buty, kurtka, kaszkiet. Kraj jest pełen takich ludzi. To ten leniwy chód, znudzenie na twarzy jak u baszy na widok własnego haremu, to tylko wyróżniało go i dawało specjalne piętno.

- Klimek - mruknął Zawisza. - Od Skorpiona. - (Klimek, myślał Dymitr, skądś znam to nazwisko. Aha, sierżant Matyniak, ten w cywilu, to on mówił o Klimku, że śledził Justyniana. A teraz mnie). - Zawsze lezie w oczy.

Dymitr wrócił do stołu.

- Lezie w oczy, powiadasz? Niefachowa siła. Może mało mu płacą?

Zawisza zaśmiał się.

- Pewnie i tego nie wart. Poślę Zbrozka, żeby mu powiedział, że ma was zostawić w spokoju. W porządku?

Przyszedł jeden z ludzi Zawiszy i wręczył swemu dowódcy jakąś kartkę. Zawisza siadł na reklamie, jakby nogi się pod nim ugięły, i długo odczytywał tekst. Wydawało się, że nie może go zrozumieć. Nagle Dymitr rozpoznał papier: ich „zaświadczenie”! Dokument, który upoważniał Potoka do noszenia pepeszy. Wyciągnęli go z kurtki ci dwaj z obstawy.

- Sprzedaliście się - powiedział Zawisza.

- Nie, Zawisza, nie - zaprzeczył gorąco Dymitr. - Wytlumaczę ci!

- Jest jeszcze to - powiedział ten z obstawy. I rzucił na

rekamierkę dwie paczki banknotów.

Zawisza pochylił się nad pieniędzmi. Podniósł je do nosa, powąchał.

- Nie śmierdzą - powiedział z udanym zdziwieniem. - Nie śmierdzą - powtórzył.

Zbliżył się do Dymitra i przez chwile przyglądał mu się z pogardą. - Zbyszek - zdążył tylko szepnąć Dymitr i w tej samej chwili zadzwoniło mu w uszach. - Uchył się! - krzyknął Potok, ale Dymitr się nie uchyłał, stał na chwiejących się nogach, a Zawisza bił, bił wyładowując wściekłość, bił coraz mniej celnie, coraz anemiczniej.

- Zbrożek! - zawołał Zawisza ciężko dysząc. Dymitr ocierał krew z twarzy. „Zbrożek - powtarzał w myśli - gdzieś słyszałem to nazwisko. W szkole? Może to piłkarz?” - Zbrożek - rozkazywał Zawisza. - Tamtego!

Potok cofnął się pod ścianę.

- Rozwalę ci łeb! - zagroził. - Spróbuj mnie dotknąć.

Zbrożek rzucił się na niego, Potok uchylił się w bok i wymierzył cios, który rzucił napastnika na stolik z wódką. Kobieta krzyknęła:

- Diabły! Przestańta! Znowu szkło polecil!

Potok podszedł do Zawiszy.

- Zawisza, jak rany - charknął. - Po co od razu bić? Dymitr ci coś powie. A ty słuchaj i bierz na rozum, komendancie, stara prostytutko. Nie rozbijaj się przed czasem!

Dymitr chusteczką zamoczoną w wódce przemywał twarz. Widział spod chusteczki wymachującego ich zaświadczeniem Zawiszę.

- Po coś to zrobił? - pytał dowódca z goryczą i złością. - Po co? Mówiłeś, że chcesz wiać.

- Mówiłem. Ale to jeszcze nie jest pewne.

- Dlaczego? Nie umiesz się zdecydować?

- Wszystko zależy od ciebie.

- Ode mnie! Czegoś się przyczepił? Ja batożę wszystko dokoła. Solą i pieprzem. Mnie potrzeba tylko tego! - Chwycił butelkę wódki i przycisnął do siebie. - Moja Przyszłość. Moja idea. Moja samica.

Podniósł butelkę do ust i zdrowo łyknął.

- Chciałeś mojej rady? - spytał odstawiwszy butelkę.

- Przydałaby się.

- No to ją masz. Zabieraj monetę i uciekaj gdzie pieprz rośnie.

- A Złowrogi?

- Co Złowrogi?

- Oni mówią, że ty jesteś Złowrogim. Mówią, że mają dowody.

- Dowody! - Zawisza parsknął. - Nie, Dymitr, żadnych dowodów nie mają i mieć nie mogą.

- Ja też tak im powiedziałem. I podjąłem się sam nakryć Złowrogiego. Rozumiesz? Na tym to wszystko polega. Jedyne wyjście.

- Podjąłeś się, dobrze, wydostałeś się na wolność. Ale mówię ci, że go nie nakryjesz. Za duży spryciarz. Zwijaj stąd i tyle.

- To wtedy będzie, że to ty.

- To będzie.

- Ty to ja, to my wszyscy. Musimy oczyścić siebie i nas wszystkich.

- Dlaczego nie pijesz? Pij, ile chcesz, jest tego potąd! Dymitr, chłopaczku, a nie przyszło ci na myśl, że może ja naprawdę jestem Złowrogim?

- Nie, i nie gadaj nic takiego.

- Mój Boże, jacyście wy jednak mili i dobrzy chłopcy. Co to było z wami za życie, sama radość. Ech, Dymitr, chłopaczku, a przecież powinieneś być chociaż przez chwilę mnie podejrzewać. Dlaczego nie miałyby być jedno świństwo więcej? Mało widzieliście upadków i rozczarowań? Mało ludzi zeświniło się dokumentnie, wykopało grób bliźniemu swemu? Popatrz na mnie: taki jestem. Dobrze mi się przypatrz. Nędzny alkoholik. Bez charakteru. Wystarczy pomyśleć - i oskarżenie gotowe. A ty nie potrafiłeś.

- Ja potrafiłem - odezwał się ochryplym głosem Potok. - Ja pomyślałem.

- Zuch - pochwalił go Zawisza.

- Możesz być Złowrogim i możesz nie być - mówił Potok. -

Ale nie jesteś.

- A gdybym był? - spytał Zawisza unosząc jeszcze wyżej prawą brew.

- To pilnuj się.

- Zuch - powtórzył Zawisza. - Możemy się napić. Zbrożek, ty też. I ty też, Dymitrek. A ty nie pij - powiedział do kobiety - ty masz być trzeźwa, żeby ci się zaś nic nie skwasilo. Jak będziesz się starać, to cię wydam za Zbrożka, to najmocniejszy chłop we wsi.

Zbrożek, usiłował sobie przypomnieć Dymitr. Zbrożek. Zbrożek. Kojarzy się z czymś ciemnym. Jakiś półmrok. Gazeta w półmroku. I nagle przypomniał sobie, serce zaczęło bić szybciej. Siedział przy jednym stole z zabójcą Justyniana. Obejrzał go sobie: młody dryblas o śmiałym, otwartym wejrzeniu. Nad czołem kosmyk jasnych włosów. „Ma uczciwą twarz”, przypomniał sobie z goryczą swoje własne sformułowanie. Tak, ten też ma uczciwą twarz.

- To ty zabiłeś Justyniana? - zwrócił się do Zbrożka. Tamten zatrzymał się

- Kogo? - spytał.

- Justyniana. Przedwczoraj, przy kartach.

- Ach, tego. - Zbrożkowi wyraźnie ulżyło. - Ja. Nie wiedziałem, że to jakiś Justynian. Kumpel?

- Dlaczego? - spytał Dymitr.

- Co za dlaczego?

- Dlaczego, do cholery, strzeliłeś do niewinnego człowieka?

- Co to, śledztwo? - zaperzył się Zbrożek. Odgarnął z czoła jasny kosmyk. - Sędzia jesteś?

- Nie, ale chcę wiedzieć. Chcę wiedzieć, dlaczego taki młodzik jak ty, przyzwoity na pierwszy rzut oka, wyjmując nagle spluwę i zabija niewinnego człowieka.

- Nie był niewinny - powiedział Zbrożek. Znowu odgarnął włosy i Dymitr zobaczył na jego czole krople potu. - A zresztą trudno, strzeliłem, stało się, ja tu jestem władzą, a władzy prawo pomylić się, nie ma o czym mówić.

- Jest o czym. Chcę wiedzieć, jak to było.

- Zbyszek - zwrócił się Zbrożek do Zawiszy. - Co rozkażesz?

Zawisza ocknął się z pijackiego niebytu.

- Pokaż mu wszystko - powiedział, kołyszac ciałem. - Pokaż mu, jak to było.

- Tak jest... Patrz, Dymitr. To było w tym pokoju. On siedział tam, gdzie teraz twój Mongoł. A naprzeciw Sidorko. A ja za Mongołem, czyli za tym Justynianem - pod ścianą.

Zbrożek przesiadł się i znalazł się za plecami Potoka. Potok odwrócił się i wycedził:

- Wracaj na miejsce. Słyszałeś? Nie chcę cię mieć za plecami.

- W porządku, szefie, po co te nerwy. - Zbrożek przesiadł się i opowiadał dalej: - To był szuler, ten twój przyzwoity człowiek. Miał asa w rękawie.

- Skąd wiesz?

- Sidorko zauważył. Sidorko go nakrył. My tu z szulerami surowo. Ludzie muszą wiedzieć, że w Badenii gra się uczciwie. Inaczej przestaną przychodzić.

- Surowo? Od razu na tamten świat? - zapytał Dymitr.

- No nie. Ale ten Turek złapał za pistolet. Widział, że jest nakryty, i cap za broń. Wtedy Sidorko krzyknął: „Uważaj, Zbrożek, on chce strzelać, uważaj - rąb”. Strzeliłem w obronie Sidorki, taka jest prawda. Zaraz napisałem raport, major mrucał, ale widział, że prawda moja. Bo może nie?

- Wiesz, kto to był ten Justynian?

- Wiem, szuler i kapuś. Po oczach było widać, z jakich to on.

- To był prawnik, pracownik komisji do ścigania przestępców wojennych. Ech ty - powiedział Dymitr.

Zbrożek otarł rękawem spocone czoło.

- Skąd mogłem wiedzieć?

- Nie musi się aż tyle wiedzieć, żeby nie strzelać do człowieka.

- Dla mnie to był żaden człowiek. Zginął, to zginął, pies mu mordę lizał. Mało to naszych zginęło?

„Spróbowałem podzielić punkt widzenia Zbrożka - doszło do mnie z ciemności. - Niech pan sobie uprzytomni: biografia Justyniana, jego droga życiowa, pochodzenie, rodzaj zaangażowania - wszystko mnie od niego dzieliło. Skąd więc ten dojmujący żal, że zginął ktoś wartościowy i nawet bliski?

Naturalnie, mieliśmy z Justynianem pewną styczność: obaj szukaliśmy Złowrogię. Ale zdawałem sobie sprawę, że bardziej niż utraconej nici śledztwa żał mi zmarnowanego bezmyślnie życia, bardziej przejmuję mnie tragiczny los człowieka, który prowadził walkę, i chociaż cele tej walki niezupełnie zbiegały się z moimi, to chyba właśnie w tym, w tej aktywności, upatrywałem to, co nas najbardziej łączy”.

Potok zwrócił się nagle do Zbrożka:

- Nie zdążył nawet wystrzelić?

- Nie - odpowiedział Zbrożek z nutą przechwałki w głosie. -

Ja byłem szybszy.

- A może w ogóle nie miał broni? - spytał Potok z przekąsem.

Dymitr popatrzył na swojego kolegę zdziwiony: przecież oglądał mauzerkę Justyniana, czyżby zapomniał?

- Miał, a jakże. Małego mauzerka. W kieszeni od marynarki.

- Zwędziłeś? - spytał Potok.

- Nie, coś ty. Miałem ochotę, ale nie wolno było, załączyłem do protokołu.

- W kieszeni od marynarki - powtórzył z namysłem Potok. - No, toś ty taki szybki nie był. On w ogóle nie miał zamiaru strzelać.

- A ty skąd wiesz?

- Gdyby chciał strzelać, toby mu ten mauzerek wypadł z ręki i leżał gdzieś na podłodze, tak czy nie, a nie w kieszeni od marynarki.

Zbrożek przyglądał mu się z otwartymi ustami.

- Sakramencki łajdak - wybełkotał. Znowu otarł pot z czoła. - Sidorko, łobuz, tchórzliwe nasienie, przestraszył się przed czasem. - Próbował się pocieszyć: - Może to takie żarty były, może chciał zrobić ze mnie balona.

- Przekonamy się, czy to żarty - powiedział Dymitr. - Porozmawiam z Sidorką. Mógł wiedzieć, co robi.

- On? Za tępą ma głowę.

- A jednak. Justynian znajdował się na tropie Złowrogię.

- Naprawdę?

- Tak. Dzwonił w tej sprawie do swoich. Złowrogiemu musiało zależeć na zlikwidowaniu Justyniana.



- Co Sidorko mógł o tym wiedzieć?  
- Sidorko? Mógł coś usłyszeć. Na przykład ty - Dymitr zwrócił się do Zawiszy, który przez cały czas rozmowy siedział ze zwieszoną głową - ty przecież coś niecoś wiesz. Mogłeś się wygadać...

Zawisza znowu wyglądał, jakby wrócił z nieistnienia.

- Co? Justynian? Pierwszy raz o nim słyszę. Od ciebie się dowiedziałem, że to nie szuler, tylko ktoś od twoich władców.

- Porozmawiać z Sidorką można, dlaczego nie - zgodził się Zbrożek.

- Przyjdę dziś wieczorem do was na pokera, to mi go pokażesz.

- Dobra, zrobi się - odpowiedział Zbrożek. - Sam jestem ciekaw, jak i co. Może go ktoś, głupiego, nastawił?

- Kto na przykład? - spytał natychmiast Dymitr.

- Ci, którzy robią tu ciemne interesy. Ci, którzy biorą okupy od różnych właścicieli.

- Są tu tacy od okupów? - zdziwił się Dymitr.

- Wystarczy ich na trzy Bagniska - powiedział Zawisza. - Strzegą od napadów bandyckich. Według amerykańskiej metody: sami robią napady i sami strzegą, jak się wpłaci na ochronę. Towarzystwo Samopomocy Obywatelskiej, TSO, tak to się nazywa. Ładnie, prawda? I wszystko legalnie. Z głównymi figurami Bagnisk w zarządzie towarzystwa. Ale jak coś istnieje legalnie, to obok tego może sobie prowadzić życie coś całkiem nielegalnego. Widzę, że nie kapujesz. Ludzie, którzy zarządzają Towarzystwem, nie odpowiadają za to, że pod tą samą nazwą działa równolegle podziemny gang, ściągą forszę, rozdaje kary i tak dalej. Jak w Chicago. Teraz rozumiesz?

- Nie bardzo. A co na to Skorpion? Dlaczego się nie weźmie za nich?

- Trzeba mieć czym - mruknął Zawisza. - Za słaby.

- Skorpion - powiedział Zbrożek - pilnuje głównie polityki. To teraz najważniejsze. A gangi do polityki się nie wtrącają. To na razie władza musi czekać. Do chwili, tak się major wygraża, stale im się wygraża.

- A ty haracz płacisz? - spytał Dymitr.

- Płacę - odpowiedział Zawisza. - I każdego namawiam. Próbowałem się raz stawiać, to na drugi dzień przejechał obok Badenii samochód i postrzelał mi wszystkie szyby. O szkło dziś trudno. Jest tu jedna kobieta, dzielna, ryzykantka, ta uparła się nie płacić. Przyjechała? - zwrócił się Zawisza do Zbrozka.

- Kto?

- Fryzjerka, pytam, przyjechała?

Fryzjerka! Czy mówią o Ninie? Dymitr słuchał uważnie odpowiedzi Zbrozka:

- Przyjechała. Wczoraj nocnym pociągiem.

Ona, zrozumiał Dymitr.

- A co z wartą? - spytał Zawisza.

- Wysłałem - odpowiedział Zbrozek.

- Jaka fryzjerka? - zagadnął Dymitr siląc się na obojętność.

Zawisza mruknął:

- Damska.

Zbrozek za plecami Zawiszy wskazał na serce. „Miłość? - myślał Dymitr niespokojnie. - Miłość Zawiszy? Czyżbym mu wszedł w drogę? Nie wspomniała o istnieniu Zawiszy ani słowem. Dlaczego? Czy nie liczyło się w jej życiu uczucie jego dowódcy?” Spytał:

- Twoja kobieta?

- Nie wiadomo - odpowiedział Zawisza przebijając łyżeczką w cukiernicy.

- To znaczy, że dopiero będzie?

- Nie, chyba nie.

- Dlaczego? - dopytywał się natarczywie Dymitr.

- Dużo gadać. Zostaw mnie w spokoju! - rozgniewał się nagle Zawisza. - Tancerz, najdzielniejszy z dzielnych, mój Neyu niezastąpiony, nie dajesz rady z nalewaniem. - Zwrócił się do Dymitra, czerwony na twarzy, z pijackim oblędem w oczach: - Pamiętasz Myszkę? Pamiętasz? Czy zła była dziewczyna? Nie ma jej, prawda? Pozwoliliśmy jej zginąć, ty i ja, jej dowódca. Nie ma Myski! - Podniósł drżącą ręką szklaneczkę. - Co tam, ma się wszystko, co się w życiu należy. A do snu... do snu to rozbiera mnie Rózia, *meine schöne Rose*, Różycka z nadwiślańskiej rybackiej wsi. - Wypił i opadł na krzesło. - Ona

się droży, uważasz. - Dymitr zrozumiał, że Zawisza znów mówi o Ninie. - Ona chce kochać. Zawsze takie babskie pogaduszki o kochaniu. No, a ja się do żadnego tam kochania nie nadaję. Nie jestem Valentino, fakt.

„Ja też nie, a jednak... - pomyślał Dymitr. - Nie pozwoliła mi zgasić światła, przypomniał sobie. Miałem więcej szczęścia, czy też byłem bliższy tego, czego pragnęła? A może po prostu wzbudziłem ufność. Obcałowała mi dłoń - za dyskrecję. Za to, że pozbawiłem ją lęku i pozwoliłem wyzwolić się jej tajemnicom. Wiedziała, że zachowam je dla siebie. - Przyjrzał się Zawiszy. - Uważałem go zawsze za przystojnego, myślał. Pewnie dlatego, że chciałem być taki jak on. Och, teraz nie mógłbym tego pragnąć. Ta twarz z dna poniżenia, twarz z piętnem obłędu - ale kto ośmieli się powiedzieć, że jest to twarz człowieka nieuczciwego?”

- Nie mógłbyś się z tego wydostać? - spytał.

Zawisza nie zrozumiał.

- Z czego się wydostać?

- Z tego. Dom gry, podejrzane związki, odrobinę za dużo wódki.

- Po co się wydostać? - zdziwił się Zawisza. - Komu to potrzebne?

- A choćby - jej.

- Jej - nie jej. Rózia mnie chce i nie wydostanego - co, Róziu, może nie? - Dziewczyna w kelnerskim fartuchu zaśmiała się wstydliwie. - Niech tam będzie pijak, byle dawał... byle co dawał, Róziu? Nie odpowiada, krępuje się, no to ja wam powiem: byle na papu dawał, na buty i dach nad głową. A wyście co myśleli, panowie? Rózia jest mądrzejsza od was wszystkich. Od niej też, arystokratki z subtelną duszą. Wyrwać się z tego? Po co? Do czego ja się nadaję? Co ja umiem? Dowodzić szwadronem kawalerii? Kawalerię likwidują, a ja nic innego nie złapałem. Wszystko, co umiałem - nieważne. Wszystko, o co się biłem - nieważne. Wszystko, w co wierzyłem - anulowane, uchylone, zniesione. Mogę się pokłonić tylko nisko do ziemi Panu burmistrzowi i jego zastępcy, że mi się wystarali o Badenię. Dobrze mnie ulokowali, lepiej nie można.

Moja fryzjerka haruje jak klacz w zaprzęgu i co z tego ma? - a ja muszę tylko wytrzeźwieć do wieczora, a potem nałożyć smoking, więcej się ode mnie nie wymaga. O piątej zrobię sobie małą drzemkę i będę trzeźwy jak praocię Adam.

- Dobrze, Zawisza, rozumiem cię - powiedział Dymitr. - Ale czy nie za dużo w siebie lejesz?

- Widzę, że mnie nie zrozumiałeś. Beznadziejny jesteś. Klaruję ci, że właśnie o to chodzi. O to, żeby jej nie stracić. - Znowu gestem kabotyńskim przycisnął butelkę do piersi. - Dla niej to robię, dla mojej największej miłości. - Postawił butelkę na stole i dodał ponuro: - Resztę możecie sobie zabrać.

- Nie zalewaj - natarł ostro Dymitr. - Nie potrzebowałeś pić wtedy. Wtedy, kiedy byłeś Zawiszą.

- Dużo wiesz - mruknął dowódca.

- Wiem.

- Wtedy... - Zawisza westchnął. Przecierał oczy, które wydawały się osłupiałe. - Było co innego. Starzy chcieli, żebym robił karierę wojskową. Mogłem, Dymitr, może nie? A teraz... rzecz nie tylko w kawalerii, wiesz dobrze. Pan Bątkowski, to jest ten zastępca burmistrza, słusznie radził: siedź cicho i nie podskakuj. Nie pchaj nosa do spraw władzy.

- Jasne - zgodził się Dymitr.

- Za dawne zasługi można dostać koncesję na barek, kasyno, kiosk z papierosami.

- Ja bym wybrał papierosy - powiedział Dymitr. Wszystko było zrozumiałe. Tylko ta ruina ludzka, z tym nie można się było pogodzić. - Zawisza, nie skoczyłbyś z nami do Szwecji?

- Na zarobek? Gwiżdżę. Nie potrzebuję.

- Nie, na duży ubaw. Na wielką przygodę.

- Ciągnie cię do wielkiej przygody? Jeszcze masz mało?

- Mało. A wiesz, co ja nazywam przygodą? Święty spokój. Coś nowego, nie? Domek w lesie i pelargonie w oknie.

- Nie, można się urwać. Ja tu na miejscu mam święty spokój.

- Może byś tam był potrzebny? - zarzucił przynętę Dymitr.

- Komu?

- Kumplom. Jest ich na pęczki. Od konia i od rozpylacza.

- Batożę - mruknął Zawisza. Podniósł wzrok na Dymitra.

Usiłował przebić się przez mgłę odurzenia. - Czekaj, wiem, chcesz mnie ratować. Batożę. Nie potrzeba. Tylko tutaj mogą tolerować to wszystko - wskazał na stół z trzęsącymi się kieliszkami. - Wszędzie indziej dostanę kopniaka. Kopniaka w siedzenie. Zasłużonego. Pieski świat. Bez zrozumienia. I słusznie. Nie ratuj, nikt cię nie prosił. To wszystko? - spytał nieoczekiwanie i podniósł się z krzesła. - Audyencja skończona.

Dymitr nie ruszał się z miejsca.

- Zawisza, potrzebny nam kontakt.

- Batożyć kontakty.

- Z kutrem. Chcemy pryskać.

Zawisza chwiał się na nogach.

- Nie trzeba żadnych kontaktów. Jeden telefon do burmistrza Haworka. On tu jest od repatriacji najgłówniejszy z głównych.

- I co w tym telefonie?

- Haworek wybiera się do Szwecji po stęsknionych rodaków. Weźmie was ze sobą, pojedziecie legalnie, a tam zrobicie, co rozum każe.

- Legalnie? Stary, my jesteśmy wypuszczeni warunkowo!

- Haworek załatwi. Haworek burmistrz, pełnomocnik od repatriacji. Skorpion nawet nie piśnie. Dymitr, Tancerz - baczność! Pamiętajcie... pamiętajcie, wy w te i nazad, że drzwi Badenii są dla was otwarte. Zrozumiano?

- Tak, dziękuję.

- Będziesz dzisiaj u nas?

- Będę.

- Spocznij - szepnął Zawisza i powłókł się niepewnie ku drzwiom. Zatrzymał się przed nimi i zakomenderował: - W prawo zwrot, do sypialni marsz...

Rózia ujęła go za ramię i pomogła wydostać się z salonu.

## 8

„Pierwszy raz w życiu mieszkałem w hotelu, czy pan uwierzy?” - Były Dymitr uznał, że zbyt długo tkwiliśmy w mroku i nacisnął włącznik lampy stojącej. Nad fotelem

rozjarzył się duży, pomarańczowy abażur, wyglądający jak spuchnięty fez, i oblał miękkim światłem liście palmy i obraz van Gogha: zamyślonego listonosza z Prowansji. Zobaczyłem to wszystko i jeszcze podłużny cień w kącie saloniku - i coś prysło, rozwiało się, zupełnie jak w kinie, kiedy światło rozmaże dwuwymiarowych bohaterów i zetknie nas oko w oko z obcymi twarzami widzów, zimną salą, tandetną kopułą sufitu. Dopóki głos opowiadającego wydobywał się z mroku, ulegałem złudzeniu, że uczestniczę w tym wszystkim. Słyszałem chrapliwe „batożyć” Zawiszy, brzęk kieliszków, huk wystrzału, widziałem skradającego się Klimka, a potem gazetę na trupie Justyniana. Teraz znowu miałem przed sobą różową, trochę zbyt okrągłą twarz byłego Dymitra, wysokie czoło, przechodzące w rzadkie pasma jasnych włosów, wszystko lśniące w pomarańczowej poświacie jak pierwsza, nieostrożna opalenizna. „Pierwszy raz w hotelu - zwierzał się - i od razu bagniszczański Grand, słynny na całe Wybrzeże Bałtyku. Mieliśmy apartament z radiolą i łazienkę dużą jak pokój. Potok był zachwycony, szczególnie radiolą. Nastawił «Auf dem schönen blauen Donau» i ja tego musiałem wysłuchać.”

Udawał, że tańczy, Mongoł, Dżyngis-chan, Tancerz rozbrykany, raz-dwa-trzy, raz-dwa-trzy, hopaj-siupaj - wykrzykiwał i bardziej przypominało to oberka niż wiedeński walc.

- Żebyś mnie widział na „Wenecji”! - zasapał przerywając taniec.

- Wiem, wiem, pierwszy mazurzysta - sparafrazował Dymitr.

Też miał swoją heroiczną przeszłość, dzielny Potok, też miał swoje latyfundia i szyby naftowe, i sejfy pełne dolarów, wszystkie dziewczęta z „Wenecji” były jego, a jak która nie, to w mordę i nożem, a potem przyszła katastrofa i trzeba było się wziąć za wysadzanie pociągów, taka nuda, psiakrew.

- Ty, Dymitr, ten Strauss to nie był Żyd? - zapytał Potok.

- Nie, uczciwy katolik.

- Szkoda. Mieliby Niemcy pecha. Co by chcieli zawalcować - nie wolno, *verboten*, Jude.

- Tańczyliby konspiracyjnie. Jak Gershwin.

- Co za jeden?
- Od jazzu.
- Ty, Dymitr, ale ten od marsza weselnego to już na pewno nie katolik.
- Zależy który. Mendelssohn? Żyd.
- *Verboten!* - zawołał ucieszony Potok. - To co się grało na niemieckich weselach?
- Nie wiem, nigdy nie byłem na niemieckim weselu. Pewnie fragment „Nibelungów.”
- Wesole?
- Ponure. I patetyczne.
- Jak pogrzeb starej panny?
- Można i tak to nazwać.
- A jak wyglądał niemiecki ślub?
- Słyszałem, że ofiarowywano nowożeńcom „Mein Kampf” do wspólnej lektury.

Potok roześmiał się:

- Nowożeńcom? „Mein Kampf? Ja bym im dał co innego. „Pamiętnik Krystyny” - czytałeś to? Nie? Chłopie, to co ty wiesz? A jeszcze za inteligenta chcesz być!
  - Wyłącz - powiedział Dymitr.
  - Nie lubisz muzyki?
  - Wyłącz, trzeba pogadać.
- Dymitr leżał w ubraniu na szerokim małżeńskim łóżu.
- Tancerz - zagadnął - co o tym wszystkim myślisz?
  - Że daliśmy się wpędzić w głupią robotę. No, ale na razie się opłaciło. Leżysz sobie jak hrabia, na miękkiej poduszce, pedały wyciągnięte. Rozkosznie, nie?
  - A jak ci się spodobał Zawisza?
  - Jak gwóźdź w bucie. Znałem kiedyś innego chłopca. Na tym nie można polegać.
  - Tak powiadasz?
  - Nie ma czystych rąk.
  - Teraz, prawda - zgodził się Dymitr. - Ale wtedy, rok i dwa lata temu? Nie myślisz chyba, że Zawisza nas sypał?
  - Nie, ale... - Potok usiadł na krześle okrakiem jak na koniu.
  - Gdyby pił wtedy tak jak teraz, też nie można by było na nim

polegać.

- Nie widziałem go nigdy w takim stanie.

- Ani ja. Ale czyśmy z nim byli dzień i noc? Myszka by więcej umiała powiedzieć.

- To co myślisz?

- Stary, to nie jest najważniejsze, co my myślimy. Trzymajmy się faktów. Kto rąbnął Justyniana? Człowiek Zawiszy.

- I Skorpion - przypomniał Dymitr. - Słyszałeś, że Zbrozek sporządził jakiś tam protokół.

- Pracuje na dwa fronty, normalna rzecz. Zawisza musi mieć swoich ludzi dla pilnowania porządku, inaczej nie dałby rady. Skorpion tak samo.

- Wiesz co? Jeśli ten Batkowski dał Badenię Zawiszy, to dlatego, że liczy, że Zawisza nie dopuści do nadużyć. Że potrafi taki lokal mocno trzymać w garści. Wygląda na to, że z Justynianem naprawdę wydarzyło się coś pechowego. W takim razie gubiłby nam się trop. Zabójstwo Justyniana przestaje naprowadzać na Złowrogięgo.

- Wierzysz Zbrożkowi? - spytał Potok.

- A ty?

- Ja nikomu nie wierzę. - Potok mruknął po chwili: - Nawet Panu Bogu.

Justynianowi wierzę - pomyślał Dymitr. Ach, żeby powiedział słowo, małe słówko! Po raz któryś już z rzędu Dymitr przeglądał kalendarzyk Justyniana, czarny, ze srebrnymi literami „SS” na okładce. Na pierwszej stronie portret Himmlera, krótkowzrocznego hodowcy kur, z wykrzywioną gębą degenerata. Dalej cytat z jego przemówienia. Jak szybko padają bogowie, jak szybko ubóstwiane cytaty stają się śmieszne! Co myślał właściciel tej książeczki, wiejąc co sił w nogach, kiedy wokół waliła się tysiącletnia Rzesza? Nie ma śladu jego rozmyślań w tym kalendarzyku. Może bał się zapisywać? Cokolwiek odnotuje - ktoś to zawsze wykorzysta przeciw niemu. Kilka notatek ołówkiem w języku niemieckim, ostatnia z końca lutego 1945 roku, z miejscowości Neuhammer. Pewnie wtedy kalendarzyk



przeszedł w ręce Justyniana-zwycięzcy. Jego zapiski atramentem też są skąpe, żadnych nazwisk, tylko miejscowości i lokale. Tak, miejscowości, bo w tym potoku wydarzeń wszystkie zaczynają się plątać i gubić. Fraustadt, Neuhammer, Görlitz, Weisswasser. Rothenburg, Bautzen, Bischofswerda, Neustadt, Kamenz, Mielnik. Cały szlak bojowy. To nam nic nie da. Łódź: Fraszka, Pickwick, Savoy, Tivoli. To też nic nie wnosi. Jeszcze raz spojrzeć na notatki z Bagnisk. Strasznie tego mało. Znowu żadnych nazwisk. Raz Grand - w dniu przyjazdu. Dwa razy Badenia, dwa razy Alhambra. Jeden adres: Moniuszki 27, nagryzmołony w dwa dni po przybyciu do Bagnisk, a na trzy dni przed śmiercią.

- Tancerz, co myślisz o tym adresie?

Potok ziewnął.

- Zostaw mnie. Muszę się przespać.

- Może to stanowić jakąś wskazówkę. Ale jak się do tego dobrać? - zastanawiał się Dymitr. - A nuż to kamienica z czterdziestoma lokatorami? Przesłuchiwać wszystkich?

- Nie.

- A co zrobić?

- Spłynąć - mruknął Potok.

Więcej nie można było od niego wydobyć. Dymitr wszedł do łazienki. Oczyszczył spodnie, kurtkę, znalazł w szafeczce szczotkę do butów. Potem przejrzał się w lustrze. - Fatalnie - szepnął. Tancerz spał. Dymitr na palcach wyszedł na korytarz. Tancerz, jeśli się nie wyśpi, będzie do niczego. A kto wie, co ich dziś jeszcze czeka. Moniuszki 27, raz jeszcze sprawdził adres w kalendarzyku, zupełnie jakby nie dowierzał pamięci.

„Dopiero teraz, opowiadając to panu - mówił mężczyzna w pomarańczowej poświacie - zdaję sobie sprawę, że miałem się wcielić w detektywa. Powinienem był przypomnieć sobie wszystko, co w tym rodzaju czytałem, obrać jakąś wypróbowaną przez beletrystycznych geniuszy metodę. Ale wtedy w ogóle nie przyszło mi to na myśl. Działiałem - i to wszystko. Kiedy znalazłem się na ulicy, byłem ogarnięty tylko jednym pragnieniem: uratowania szczątków mojego szacunku dla Zawiszy. Wiedziałem, że to zależy od tego, co wytropił

Justynian. Postanowiłem iść jego śladem. Żadnej innej metody nie wymyśliłem.”

Ten dom, Moniuszki 27, nie miał, co prawda, czterdziestu lokatorów, jak się tego obawiał Dymitr, ale tych szesnastu, którzy go zamieszkiwali, też przedstawiało problem nie lada. Kogo z nich upatrzył sobie Justynian? Czyj adres zanotował - przyjaciela czy wroga? Można, rzecz prosta, kolejno wszystkich przesłuchać, pokazać każdemu zdjęcie Justyniana, Skorpion mógłby to przeprowadzić, myślał Dymitr stojąc w mrocznym korytarzu i przyglądając się tablicy z listą lokatorów. Ale do Skorpiona się nie zgłosi. Szesnaście nieodgadzionych nazwisk. Usłyszał śmiech i pisk. W głębi podwórza, do którego prowadził ciemny i długi jak tunel korytarz, bawiły się dzieci. Porozmawiać z nimi? Poczul, że ogarnia go oniesmielenie. Jeszcze chwila - i śmiech, i pisk oddaliły się, u wylotu tunelu widać było tylko szary i pusty kąt podwórza. Na pierwszym piętrze ktoś otworzył drzwi. Rozległy się kroki. Kobieta, domyślił się Dymitr. Najpierw zobaczył zgrabne łydki, potem brzeżek skórzanego palta. Zagapił się i nie zdążył odwrócić wzroku, kiedy pokazała mu się mleczna buzia i pukle jasnych włosów spod beretu. Ona, pomyślał, na pewno ona, mam szczęście, Justynian tu romansował, chodził do tej kobiety. Kiedy go mijiała, odwrócił się za nią dostatecznie głośno, by na to musiała zwrócić uwagę. Kobieta zatrzymała się i zagadnęła:

- Szuka pan tu kogoś?
- Tak - bąknął. - Właśnie. - Czul, że się czerwieni. - Ale nie widzę go na liście lokatorów.
- Może sublokator?
- Może. Czarnowłosa. Chudy. Prawnik z wykształcenia. Byliśmy razem we Francji - kłamał.
- Ach tak. - Kobieta usiłowała sobie przypomnieć. - Chyba nikt taki tu nie mieszka.
- Pokażę pani jego zdjęcie.

Wydobył z portfela fotografię Justyniana, kobieta przechyliła się przez jego ramię, żeby mogli razem obejrzeć zdjęcie, Dymitr poczuł lekki i przyjemny zapach perfum. Ona, myślał z uporem. Ona.

- Interesujący - powiedziała z uśmiechem. - Egzotyczny, prawda? To Francuz? Ale nie, taki tu nie mieszka. Zapamiętałabym. - Uśmiechnęła się widząc rozczarowanie Dymitra: - Niech pan zapyta w sklepie, tu obok jest spożywczy. Oni wiedzą wszystko.

- Dziękuję pani, to dobry pomysł.

Uśmiechnęła się raz jeszcze i odeszła. Nie, to nie mogła być ona. Za dużo i zbyt pogodnie się uśmiecha. Ona - jeśli jest jakaś ona - musiałaby już wiedzieć o śmierci Justyniana, a taka wiedza odbija się w oczach, zasnuwa je cieniem śmierci, znam to dobrze. A jednak w tym domu bywał Justynian i trzeba się dowiedzieć, dlaczego.

Stał znowu przed domem, usiłując przeniknąć jego tajemnicę. Zbudowano go na początku XX wieku, Dymitr odgadłby to nawet bez ozdobnego napisu „AD 1903”, kamienicznik oddał, co należne obowiązującym normom urody - kuta brama, kwieciste pilastry, wygięte kraty balkonów, chimery, maski, psie pyski na pociemniałej elewacji. Nie, fronton mi nic nie powie. Sklepek spożywczy Społem - to co innego, tu trzeba zająć, pomyślał, blondynka miała rację, należałoby spróbować. Ociągał się. „To było zwykłe onieśmienie - tłumaczył były Dymitr - niechęć przed zapustną grą, przebieranką, przyjmowaniem na siebie osobowości inspektora policji”. Po drugiej stronie bramy mieścił się w sposób symetryczny drugi sklep, prywatny, na szyldzie lakierowane zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny w okularach i napis „Heinrich Singer, optyk”. Wygląda jak reklama pasty do zębów, myślał Dymitr przyglądając się uśmiechniętej dziewczynie. Hitlerówka? Zdjęcie mogło być zrobione jeszcze przed dojściem Hitlera do władzy. Dziewczyna miała na sobie kostium kąpielowy, a nie mundur. Dziewczyna w okularach - nie, to nie był ideał nazistów, którzy wyznaczyli kobietom miejsce w kuchni, w sypialni i w kościele. Dziewczyna w okularach, powtórzył w myśli i nagle szepnął: „Jestem genialny.”

„Nagle zrozumiałem wszystko - słyszałem głos byłego Dymitra z pomarańczowej poświaty. - Wiedziałem, po co

Justynian zanotował ten adres. Szukał tu okularów! Czuł się bez nich zdecydowanie źle. Ale dlaczego ich nie miał? Zygmunt napomknął, że mógł się ich sam pozbyć, żeby uciec od swojego inteligentnego oblicza. Albo że zapomniał ich w domu. Pan Singer mógł mi być pomocny. Kiedy znalazłem się przed nim, miałem świadomość, że trzymam początek nici w ręku. Nareszcie jakieś zaczepienie. Singer mówił po polsku, prowadził pracownię w Bagniskach od czterdziestu lat. Kiedy ją zakładał, był zażywnym, beztróskim piwowodem, potem stopniowo chudł, ja miałem przed sobą siwowłosego, malutkiego, a może tylko przygarbionego pana w białym fartuchu z czarnymi zarękawkami.”

Postanowił nie wygadać się przedwcześnie, co go tu przyprowadziło.

- Czy mógłby mi pan dobrać okulary? - zapytał.

- Proszę usiąść - powiedział stary optyk wskazując krzesło. - Kiedy był pan po raz ostatni u okulisty?

- Przed wojną.

- To tak jakby nigdy. Jest pan krótkowidzem?

- Nie wiem.

- Zaraz się przekonamy.

Badanie trwało kilka minut. Potem Singer odłożył pałeczkę i wróciwszy za ladę powiedział:

- Honorarium należy się według taryfy. *Hier, bitte* - pokazał Dymitrowi wiszącą na ścianie tabelę. - Za sprawdzenie wzroku.

- Nie rozumiem.

- Pan ma zupełnie normalny wzrok.

- Tak myślałem - przyznał się Dymitr płacąc. Optyk przyjąwszy pieniądze poweselał.

- To po co panu okulary? - spytał.

- Żeby się wydać bardziej interesującym.

- Ach, *jawohl!* - Pan Singer zaśmiał się. - Jeśli pan chce, mogę zrobić panu okulary ze zwykłymi szklami. Nikt nie pozna, a będą o trzydzieści procent tańsze. Może pan przymierzy tę oprawę? Amerykańska. Mam ją jeszcze z dawnych beztróskich czasów.

Dymitr przymierzył. Optyk zaśmiał się znowu:

- Bardzo panu do twarzy.
- Wyglądam jak student z Harvardu.
- Nie, nie jak student. Jak profesor.
- Tak, wszyscy wyglądamy poważniej, niż myśleliśmy - mówił Dymitr rozglądając się po sklepie. Zobaczył na półce trzy białe koperty z okularami. Jedna z nich może należeć do Justyniana. Spytał:

- Kiedy będą do odebrania?
- Za pół godziny.
- Zapłacę z góry - powiedział Dymitr i wskazał na półkę z kopertami. - Nieodebrane zlecenia?
- Tak - potwierdził pan Singer. - W naszym fachu to normalne. Najpierw klient śpieszy się, nalega, a potem, kiedy już jest gotowe, tygodniami się nie zgłasza. Te nie są bardzo zaległe. Jedne na wczoraj, a dwie na dzisiaj.

Na wczoraj - pomyślał Dymitr czując, jak rośnie w nim trema. - Na wczoraj, kiedy już nie żył. Był u celu.

- Nie ma pan zbyt wielu zamówień - stwierdził.
- Skąpo, skąpo, drogi panie. Pan jest zorientowany?
- Jestem tu u pana od kwadransa i nikt nawet nie zajrzał.
- Sam pan widzi! Ledwie wiąże koniec z końcem. Wygląda na to, że ta wojna zdmuchnęła większość okularników. Nie przeżyli jej czy co?

- Mogli mieć trudności - zgodził się Dymitr. - Ruch jest tu niewielki i wolno mi przypuszczać, że pamięta pan swoich klientów.

- Och, na pewno.

Dymitr podsunął optykowi zdjęcie Justyniana:

- Pamięta pan tego?
- Tak, pamiętam. Miał się zgłosić wczoraj. Dziwię się, że nie przyszedł. Bardzo nalegał.
- Tu jest koperta z jego okularami?
- Owszem. Minus trzy. Nie chciał podać nazwiska. Zapisałem więc na kopercie dioptrię. Ale i tak pamiętałbym. To jest bardzo wykształcony człowiek. Mówi świetnie po niemiecku, chociaż z akcentem.
- Studiował w Szwajcarii.

- Teraz rozumiem. Pan jest jego przyjacielem, nieprawdaż?  
- Tak - potwierdził Dymitr. - Tak, przyjacielem. On nie żyje - dodał nagle.

- *Mein Gott!*

- Wezmę jego okulary i zapłacę za nie.

- Pan jest bardzo szlachetny.

- Nie chciałbym pana narażać na straty, panie Singer. Ile?

- Cena na kopercie.

- Tak, rzeczywiście. Grosze. - Dymitr zapłacił za okulary Justyniana. - Minus trzy, prawda? - spytał. - Czy z taką dioptrią, panie Singer, grając w karty bez okularów, można mieć pewne trudności?

- Na pewno! Nie radziłbym nikomu grać bez okularów. Można brzydko wpaść i samemu też zachowywać się nienaturalnie. On grał?

- Tak, w Badenii.

- Nie wyglądał na karciarza - zauważył optyk.

- Właśnie. A nie mówił panu, co się stało z jego starymi okularami?

- Powiedział, że mu ukradli. Ludzie często tak mówią. Sami gubią, ale zwykle czują się okradzeni.

- To nie był fantasta, ten mój przyjaciel. Nie mówił, gdzie mu ukradli?

- W hotelu.

- W restauracji? Przy wódce?

- Nie, w hotelu. Ukradli z pokoju, tak powiedział.

Przesłuchać portiera - postanowił Dymitr. - Przesłuchać pokojówkę.

- Jeszcze słowo, panie Singer. On był u pana w piątek?

- Tak, w piątek. Skąd pan wie?

- Niech pan nie zapomina, że jestem przyjacielem zmarłego. Był u pana w piątek, nalegał, żeby zrobić szybko, a pan zrobił mu dopiero na wczoraj, to jest na poniedziałek. Dlaczego?

Optyk zmieszał się.

- Widzi pan, to cała historia. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Nie miałem gotowych szkielec o takiej dioptrii, jakiej żądał pański czcigodny przyjaciel. Musiałem je sam doszlifować.

Obiecałem na sobotę. W sobotę rano zatelefonowano do mnie z magistratu, żebym stawił się w wydziale rzemiosł. Szło o wymianę karty rzemieślniczej.

- Pańska się zestarzała?

- Odnowiłem ją dwa miesiące temu! Ale wie pan, jak to jest: wciąż nowe zarządzenia, papierki i papierki.

- Czyli wezwanie to pana zaskoczyło?

- Może pan sobie wyobrazić. Trochę się nawet przestraszyłem. W magistracie kazano mi czekać. Nikt nie wiedział, czego ode mnie chcieli. Nie wiadomo nawet było, kto dzwonił.

- Trochę dziwne, nie?

- Ja też tak sądzę.

- Nie przyszło panu na myśl, że dzwoniło nie z magistratu?

- Myśli pan, że to był żart? - zdziwił się optyk. - Może, może.

Jakaś panienka wyszła wreszcie do mnie i powiedziała, że wezwanie jest na pewno pomyłką, że mogę sobie iść do domu. Poszedłem do domu i niech pan sobie wyobrazi... nie, pan nie zgadnie, co zastałem. Szyba! Szyba była rozbita, tu, w oknie.

- Czy pan słyszał o Towarzystwie Samopomocy Obywatelskiej?

- Słyszałem i nawet płaciłem, przysięgam panu. Zadzwoniłem do nich z miejsca z reklamacją. Muszę przyznać, że bardzo byli speszeni. Przysłali najpierw jakiegoś draba, żeby pilnował sklepu przed złodziejami, potem przybili tymczasowo dyktę, a przed zmierzchem wstawili nowiutką szybę, o tę. Ale tamta była z napisem, mój Boże, przetrzymała wszystkie bombardowania. Zmarnowałem przez te awantury cały dzień. Niech mi pan wierzy, drogi panie, że naprawdę nie byłem w stanie wziąć się do roboty.

- Nie mam wątpliwości. Niech mi pan tylko powie, czy to już się w Bagniskach komuś zdarzyło, żeby opłacał Towarzystwo, a mimo to rozbito mu szybę?

- Ja o czymś podobnym nie słyszałem. Mój wypadek był chyba pierwszy. Nie wiem, dlaczego mnie tak wyróżnili.

- Widocznie mieli swoje powody. Czy widział pan jeszcze potem mojego przyjaciela?

- Widziałem. Wieczorem wybrałem się specjalnie do hotelu. Warowałem u wyjścia, ale bez skutku, nie pokazywał się. Wszedłem więc do sali restauracyjnej. On tam był, jadł kolację. Pozwoliłem sobie podejść i przeszkodzić mu. Przeprosiłem go i powiedziałem, że jeśli sobie życzy, jestem gotów zrobić okulary na jutro, to jest w niedzielę. On był bardzo uprzejmy, mówił, że nie może się na to zgodzić, żebym przez niego tracił swój wypoczynek niedzielny. Umówiliśmy się na poniedziałek, przed samą przerwą obiadową.

- Szkoda, że się nie zgodził - powiedział Dymitr. - Za godzinę u pana będę, panie Singer. - Uśmiechnął się. - Jeśli i ze mną się coś stanie, niech się pan zgłosi do mojego przyjaciela w Grandzie, pokój 121, i wszystko opowie.

- Nie będzie tak źle, szanowny panie.

- Ja też tak myślę. *A propos*: czy ma pan zamiar nadal płacić na Towarzystwo?

Singer uśmiechnął się kwaśno.

- A jakże, będę płacić.

- Szlusznie, panie Singer. Za godzinę zgłaszam się.

## 9

„Tę godzinę spędziłem dość nieoczekiwanie w zakładzie fryzjerskim: »Janina«. - Opowiadając o tym, były Dymitr nie potrafił powstrzymać lekkiego uśmiechu. - Podejrzewam teraz, że jeszcze będąc u optyka wiedziałem, dokąd od niego skieruję swoje kroki. Wtedy jednak mógłbym przysiąc, że znalazłem się przed domem Niny nieoczekiwanie dla samego siebie. Jezuitów siedem - musiało to znajdować się niedaleko od ulicy Moniuszki, tak przypuszczam. Najpierw zobaczyłem słup, a na nim tablicę z namalowaną damską główką i strzałką w formie dłoni z wyciągniętym wskazującym palcem. Palec nakazywał iść wąskim, popękany trotuarem, między poplątanymi krzewami, a następnie w bok od dobrze mi znanych drzwi z niezliczoną ilością zamków. Zobaczyłem jeszcze jedne drzwi, pokryte matową szybą, a nad nimi ten duży szyld, o którym wspominała Nina w pociągu. Wahalem się, czy wejść, bo



przecież jeszcze dziś rano zaklinałem się, że nie wrócę. Głupio, nie? Wypłakaliśmy już swoje rozstanie, a teraz moje przybycie wszystko odwołuje. Całe wzruszenie nieważne. Miałem jednak powody, żeby się pokazać. Należało zadać Ninie kilka pytań. Na przykład: co ją łączy z Zawiszą? Albo: co to za niewidzialna warta przed domem? I jeszcze o Justyniana. Z powodu tych przyborów do golenia, których nie miał ze sobą. Oczywiście, wiadomo, że golił się u fryzjera w Grandzie, ale zakład Janina znajdował się tak blisko optyka, że nie można było wykluczyć pewnych kombinacji. Stałem niezdecydowany przed rozświetlonymi od wewnątrz drzwiami zakładu, znowu mnie paraliżowało onieśmienie, i wtedy przypomniałem sobie, jak mi z nią było dobrze, ogarnęła mnie chciwość, żeby to wszystko powtórzyć - i to zdecydowało. Wszedłem.”

- Golenie? - spytała dziewczyna w białym fartuchu.

Niny nie było. Aldona, domyślił się Dymitr, ta pomocnica, którą tak Nina chwaliła. Dwadzieścia dwa lata, określił, szczupła, miła, piegowata, brązowe włosy krótko ostrzyżone, szpiczasty nos, drobna pierś, ledwo zarysowująca się pod fartuchem, łydki cienkie, jakby za chwilę miały się załamać.

- Golenie, pani Aldono - potwierdził Dymitr.

- O, pan zna moje imię - wyraziła zdziwienie bez entuzjazmu. - Ale chyba pan jeszcze u nas nie był?

- Jestem znajomym pani Janiny. Myślałem, że ją zastanę.

- Zaraz zejdzie. Jest w mieszkaniu.

- Zanedbuje zakład?

- My tu mamy ruch tylko w drugiej połowie tygodnia, bliżej niedzieli. W inne dni mogę być sama. Kiedy przychodzi klientka, naciskam ten guzik - to dzwonek do mieszkania - i pani zaraz się zjawia. Nacisnąć?

- Jeszcze nie. Porozmawiajmy we dwoje.

- Jak pan woli.

Musi być przyzwyczajona do natarczywości mężczyzn, pomyślał. Znalazła sposób: przyjmuje wszystko z obojętną uprzejmością. Kazała mu usiąść, założyła mu wokół kołnierzyka czystą serwetę. Jej dłonie poruszały się szybko, rzeczowo, z tą samą obojętnością. Nina inaczej to robiła,

przypomniał sobie, spełniała przy nim obrzęd.

- Skropić włosy?

- Nie, dziękuję.

- Jakoś ani razu się pan nie odezwał - powiedziała z uśmiechem. - A tak pan groził.

- Nie potrafię mówić z brzytwą na gardle - tłumaczył wstając.

Wyjął z portfela zdjęcie Justyniana.

- Zna pani tego człowieka?

Dziewczyna przyglądała się uważnie zdjęciu.

- Przecież to... Nie, chwileczkę... W okularach?... Właściwie o co panu chodzi?

- Szukam go.

- Przeskrobał coś?

- Skądże. To uczciwy człowiek.

- Byłam pewna.

- Zna go pani?

- No pewnie, przecież to mój wielbiciel!

- Justynian - podpowiedział Dymitr.

- Jak pan mówi? Nie, krócej. Justyn, tak. Nie wiedziałam, że nosi okulary. Chociaż tak, załatwiał coś u optyka. Od dwóch dni nie przychodzi. Zdradza mnie pewnie z fryzjerką z Grandu.

- Lubiała go pani? - spytał Dymitr.

- Och, taki zabawny. Ale nie w moim typie. Wie pan, ja to lubię takich... - Spojrzała na Dymitra i zmieszła się. Może chciała powiedzieć, że lubi wysokich i wychudłych blondynów, i bała się, że ją źle zrozumie? - To miły człowiek, owszem, ale... Nerwowy jakiś. Czasem nie można zrozumieć, o co mu idzie. Trochę jak taki nauczyciel, filozof. Ale nie nosił okularów. Przez próżność czy jak? Wie pan, on mi proponował, że mnie ze sobą dokądś zabierze. Jednym słowem, oświadczył się. I obiecywał złote góry. Czego on tam nie może! I zagranica, i wielcy ludzie, i w ogóle. Za drugim goleniem, niech pan sobie wyobrazi, jaki trzpiot!

- Kiedy to było?

- W sobotę. A dlaczego pan pyta? Jeśli to pana przyjaciel, to pan zaraz polec i wszystko powtórzy.

- Nie powtórzę. - Odczekał chwilę i powiedział: - On nie żyje.

- Pan żartuje - szepnęła.  
- Nie. To nie żarty.  
- Szkoda człowieka - westchnęła.  
- Wierzę, że szkoda. Pani wierzę. Pani wie o nim więcej niż ja.

- O Boże - powiedziała załamując ręce. - Popatrz pan. Prawie, że mogę się uważać za wdowę. - Nagle zagryzła wargi. - Wie pan, ja się chyba rozpłaczę.

I rzeczywiście wybuchnęła szlochem. Ukryła twarz na piersi Dymitra i płacząc bębniła po niej pięściami, zupełnie jakby to on był winien, że Justynian nie żyje. Mała, miedzianowłosa historyczka. Gdyby tak Nina nadeszła - przeraził się - pomyślałaby, że dla odmiany uwodzę jej pomocnicę. Szepnęła:

- Zabili go.

- Zabili? - zapytała odrywając się od niego. Już nie płakała, teraz jej oczy gorzały oburzeniem. - Kto? Za co?

- W Badenii. Przy kartach.

- Co za ludzie! Po co on tam łąził?

- Szukał kogoś. Nie mówił pani?

Wytarła chusteczką oczy.

- Nie - powiedziała po chwili. - Nic takiego nie mówił.

- Na pewno? Niech pani sobie przypomni. To bardzo ważne. Kogo szukał? A zwłaszcza - czy kogoś znalazł?

- Nie wiem. Nic o tym nie wspominał. Myślałam, że to flirciarz, spódniczkarz. Wie pan, jak ja go nazywałam? Justysią. Bardzo go to złościło.

- Co jeszcze pani o nim wie? Proszę sobie przypomnieć.

- Że był samotny. Podczas wojny on bujał po świecie, chyba we Francji, był w tym „oporze”, w „ruchu”, mówił: „jestem z ruchu”, on się tam gdzie opierał, a tu rodzinę tymczasem Niemcy wymordowali. Wie pan co? - powiedziała nagle. - To dziwne, ale on ani trochę nie był ponury. Kipiał życiem. Taki temperament. Powiem panu coś poufnie: pozwoliłam mu się raz pocałować, nie żeby wymusił, to ja sama pozwoliłam... i chyba dobrze zrobiłam. Ale niech pan powie, jak może człowiek, który wszystkich stracił, zachować tyle radości życia?

„Nie umiałem jej wtedy odpowiedzieć. - Były Dymitr wstał

i wyszedł z kręgu pomarańczowej poświaty. Stamtąd, z mroku, który go wchłonił jak gąbka, doszedł mnie jego niepewny głos. - Chociaż później zdarzało mi się nad tym zastanawiać, ale nie umiałem znaleźć zadowalającej odpowiedzi. Nigdy nie straciłem wszystkich i nigdy nie straciłem wiary w to, że ziemia, na której mieszkam, jest moją gospodarką, że moje jest drzewo, woda i kamień nagrobny. I cokolwiek się ze mną stanie i cokolwiek na tej ziemi się stanie, ta wiara będzie ze mną, ponieważ jest naturalna. Dlatego moja rozpacz nigdy nie jest ostateczna. A Justynian... Spotkałem kilku takich Justynianów niedawno i nie zauważyłem w nich żadnej radości życia. Ten wielki krach, jakiego doznali podczas wojny, dopadł ich dopiero teraz. Gdybym był odrobinę mądrzejszy, rzuciłbym Aldonie to jedno słowo: nadzieja. Nadzieja, matka głupich, pocieszycielka pechowców, była prądnicą tej niewyczerpanej energii.”

- Nie mówił, w jakich okolicznościach wymordowano mu rodzinę?

- Nie, w ogóle chyba tylko raz się na ten temat odezwał - powiedziała dziewczyna w białym kitlu. Dymitr pokiwał głową. Żał mu się zrobiło Justyniana i żał Aldony, i żał samego siebie, i żał swojego rozoranego przez czołgi kraju. - A może i w ogóle o rodzinie nie mówił, tylko ja sama jakoś tak zrozumiałam. On to najwięcej mówił o tym, że chciałby ze mną pójść do kina. Grali „Zaginiony horyzont” i „Nieuchwytnego Smitha”, ja już to oglądałam, a poza tym to w sobotę nie mogłam, bo pracowałyśmy do późna, a w niedzielę on nie mógł. Nie wiem dlaczego.

- Bo wybierał się do Badenii.

- Wolał do Badenii?

- Miał tam coś ważnego do załatwienia. Był tu po raz pierwszy w piątek? - spytał Dymitr.

- Tak. Skąd pan wie?

- W piątek szedł do optyka. Po drodze zauważył wasz szyld i postanowił skorzystać z pani usług.

- W sobotę spędził u mnie godzinę.

- Bo u optyka było zamknięte.

- Pan wszystko wie! Pan jest detektywem?

- A detektywi są w pani typie? - Nie doczekał się odpowiedzi i poprosił: - To niech już pani naciśnie ten guzik.

Były Dymitr urwał na chwilę swoją opowieść. Tkwił znowu w pomarańczowej poświacie, rozlewającej się spoza palmy. Poczęstowałem go gitanem, odmówił, nie, nie pali, rzucił papierosy, kłopoty z krążeniem, jak zrozumiałem. Podczas gdy on namyślał się, jak ciągnąć swoją opowieść, ja, jego słuchacz, starałem się wyobrazić sobie spotkanie tych dwojga. „Pewnie pan myśli - podjął - że padliśmy sobie w ramiona? Albo że ona, zobaczywszy mnie, zbladła jak chusta i oparła się o kominek, bo nogi się pod nią ugięły? Nic podobnego. Żadnego kominka, rzecz prosta, nie było, a brak pewnych rekwizytów z góry przekreśla odegranie roli. Każdą epokę charakteryzują pewne uzewnętrznienia, na przykład ludzie ostatniej ćwierci osiemnastego wieku wylewali z łatwością łzy, sam Napoleon podobno płakał czytając «Pawła i Wirginię», łzy należały do dobrych obyczajów, a więc przychodziły z łatwością. Cechą charakterystyczną mojego pokolenia stała się obojętność. Za dużo nieszczęść, żeby można było każde kwitować łzami! Ale może pan podejrzewa, że mnie jest przykro z powodu obojętności, którą ta pani mi okazała, i dlatego chcę ją usprawiedliwić ogólnym stylem epoki? Nie, proszę pana, ja po prostu głośno myślę. Pan już trochę o niej wie, o tej kobiecie, i rozumie pan, że nie była bez serca. Przypuszczam nawet, że jednak na mój widok przybladła, tylko nie można tego było stwierdzić, bo zatrzymała się na progu, w miejscu słabo oświetlonym. Powiedziała: Ach, to pan - i tym odezwaniami się od razu mnie ustawiła, cały nasz stosunek. I wydało mi się, że zdążyłem już się stać dla niej panem, kimś obcym, z kim połączyła ją przelotna, nieobowiązująca przygoda. Była inna, powiadam panu, inna w tym białym kitlu niż nad ranem i inna niż w pociągu, nie była słabą, łagodną kobiecinką, tylko energiczną, pewną siebie szefową. Kobiety prawie wszystkie są aktorkami, proszę pana, i zmieniają osobowość zależnie od tego, co proponuje im grać życie. Mojej łagodnej, bezbronnej Janiny nie wahałbym się teraz mianować dyrektorem fabryki,

kapitanem wielkiej żeglugi, szefem działu zaopatrzenia. Znakomicie ją sobie wyobrażam przy biurku z pięcioma telefonami, wydającą ostrym głosem dyspozycje.” „Któraś z jej twarzy musiała mimo wszystko być bardziej zbliżona do prawdy” - zauważyłem ja, słuchacz. Były Dymitr spojrział na mnie z zastanowieniem. „Tak, chyba ma pan rację. Możliwe, że to wszystko, cała ta kameleonowość, stanowiło jakąś skomplikowaną samoobronę.”

Podeszła i podała mu rękę. Nie potrafił ukryć zmieszania.

- Przyszedłem... miałem sprawę do pani Aldony.

- Niech się pan nie tłumaczy. Miło mi, że pana widzę. Jak się spisała moja perła?

- Godna swojej szefowej.

- Mam nadzieję. Nie byłaby tu ani dnia, gdyby nie okazała się na poziomie.

- Bardzo pani surowa.

- Nie ja, tylko klienci. Aldona nie narzeka na mnie, prawda?

Miedzianowłosa uśmiechnęła się do niej zalotnie. Janina siadła przed lustrem.

- Popraw mi włosy - zadysponowała. Potem zwróciła się do Dymitra. - Właściwie, to pan młodzieniec powinien mi powiedzieć, jaką sprawę miał do personelu.

- Idzie o klienta, którego nie może pani znać.

- Dlaczego nie mogę?

- Odwiedził zakład w piątek i sobotę, kiedy pani podróżowała po kraju.

- Rzeczywiście. I co z tym klientem?

- Zabili go. W Badenii.

- W Badenii - powtórzyła. - Jednak to zbójcecka jaskinia.

Teraz, pomyślał. Teraz zadam to pytanie. Serce zabiło mocniej, ale tylko trochę, pocieszał się.

- Pani go dobrze zna... tego Zawiszę? - spytał.

- Kogo? - zdziwiła się.

- Kierownika Badenii.

- Ach, pana Zbyszka. Myśli pan, że on ma z tym coś wspólnego?

- Nie wiem.

Aldona skończyła ją czesać. Nina spoglądała w lustro kręcąc głową na prawo i lewo. Aldona pośpieszyła zapewnić:

- Jest bardzo dobrze.

Dymitr wtrącił:

- Rzeczywiście.

- No proszę - kpiła Nina. - Jeszcze udaje, że się na tym zna.

- Panu Zbyszkowi się spodoba.

Wstała. Sprawdziła guziki w swoim białym kitlu. Podeszła do Dymitra tak blisko, że dotykała go nieledwie ciałem.

- Proszę pana - powiedziała. - Proszę pana - powtórzyła dobitnie. - Czy mógłby pan mi oszczędzić swoich sugestii? Jeśli to jest pana przyjaciel, ten pan Zbyszek, to bardzo mi przykro, ale kiepskich dobiera pan sobie przyjaciół.

- Nie, to nie jest mój przyjaciel - odparł.

Wyparłem się go, pomyślał. Pierwszy raz w życiu.

- Pani coś o nim wie? - spytał. - Słyszała pani jakieś plotki?

- Wiem, że pije, tylko tyle. Wiem, że jest do wszystkiego zdolny.

- I że zamęcza panią umizgami?

- Nie bardzo - odparła z uśmiechem. - Raczej nieproszoną opieką.

- Ale on jednak kocha panią.

Uśmiechnęła się.

- Zaraz „kocha”. Jak sobie popije, to lubi o mnie pomarzyć. Te marzenia nie mają nic wspólnego z rzeczywistością. W tej speluncie, w tym brudzie, w którym się tarza, ja mu się wydaję czystym dziewczęciem ze szlacheckiego gniazda. Głuptas. Nie zrezygnowałby dla mnie z jednego kieliszka wódki! Aldona, strzeż się takich mężczyzn, którzy nie potrafią się niczego wyrzec. Niech pan powie, co jest warte uczucie, jeśli nie potrafi ono zmusić do minimalnego poświęcenia, maciupieńkiego, tyciego?

- Mówi pani jak kobieta, co i rozum, i doświadczenie ma. Ciocia Telimena.

- Przy panu i przy Aldonie - powiedziała po chwili milczenia - jestem starą ciotką.

- O, pani szefowo - zaprzeczyła Aldona żywo. - Pani szefowa

mówi o poświęceniach, a naprawdę to chodzi o to, że pan Zbyszek nie jest w pani typie. Jakiś kanciasty. Nie umie być miły dla niewiast. A pan co powie? - zwróciła się dziewczyna do Dymitra.

Palnął na odlew i uroczyście:

- Wiem, że jest zdolny do poświęceń.

Kobiety przyjęły to w milczeniu. Potem Nina spytała:

- Skąd panu przyszło coś takiego na myśl?

- Wiem. Wiem na pewno. Byłem świadkiem. - Nabrał tchu w płuca i dodał: - Niejeden raz.

Myślał z napięciem: co ona o nim wie? Czy potrafi powiedzieć więcej niż wszyscy dokoła?

- Gdyby można było... - powiedział cicho. - Chciałbym się z panią spotkać. Żeby pomówić o Zawiszy. Muszę wiedzieć.

- Kiedy? - spytała.

- Dzisiaj, koniecznie.

Opuściła wzrok. Obserwował ją w lustrze i wydawało mu się, że jej policzki powoli nabierają rumieńców. Nagle Aldona odezwała się:

- Dzisiaj szefowa nie może.

Nina drgnęła.

- Co się stało?

- Dzwonili z Alhambrzy. Prosilili, żeby tam dyżurować przy personelu. Sam Batkowski prosił.

- To trzeba koniecznie iść - zdecydowała Nina. - Zarobimy na masło, Aldonko.

- A więc będę w Alhambrze - zaofiarował się Dymitr.

- Niech pan nas szuka za kulisami.

- Liczę na waszą protekcję.

- Do dziewczynek? - sytała Aldona.

- Do pana Batkowskiego. - Spojrzał na zegarek. - Muszę wiać. Aha - przypomniał sobie. - Co to za warta, o której wspominał Zawisza? Nie widziałem nikogo na warcie!

- Pokażę panu - powiedziała Nina.

Zdjęła fartuch. Aldona podała jej krótki kożuszek. Kiedy wyszli, na dworze było już ciemno.

- Ja poprowadzę - szepnęła Nina i poszukała dłoni Dymitra.



- Za mną.

Tak przeszli, dłoń w dłoń, w dół po kamiennych schodkach, przekroczyli asfalt jezdni i stanęli naprzeciw rozświetlonej witryny kawiarni.

- Tam - powiedziała Nina zatrzymując się. - Ten z lewej strony.

Pod ścianą, w mdłym świetle przybrudzonego kinkietu, siedział zaspany szcurek z odstającymi uszami, w jakimś niekompletnym mundurze. Na stole leżała przed nim pepesza i stała nie dopita szklanka herbaty.

- Po co ta warta? - spytał Dymitr.

- Pilnuje, żeby mi nikt krzywdy nie zrobił.

- A co pani grozi?

- Wybicie szyb i stłuczenie luster. Może i więcej.

- Dlaczego?

- Bo uparłam się, że nie będę płacić na Towarzystwo. Tych, którzy płacą, Towarzystwo chroni.

- Może lepiej płacić?

- Nie. Za mało zarabiam.

- A co będzie, jak zdemolują gabinet?

- Wyniosę się stąd. Albo sprowadzę nowy. Można dostać za półdarmo. Zresztą, wiecznie ten Texas trwać nie będzie.

- Jesteś bardzo dzielna - szepnął.

Ścisnęła jego dłoń.

- Cieszę się, że tak myślisz.

- Wiesz, nie podoba mi się ten facet.

- Dlaczego? - spytała.

- Nie wiem. Ma w sobie coś... coś nieprzyjemnego. Jak ci, którzy zajmowali się szmalcownictwem.

- Tak ci się zdaje. Zbyszek mówił, że to jego najpewniejszy człowiek.

- Naprawdę?

- Tak. Możesz go zapytać. Nazywa się Sidorko. Co ci się stało? - spytała czując, jak dłoń Dymitra zaciska się kurczowo na jej dłoni.

- Nic takiego. To z tym człowiekiem muszę pogadać.

- Teraz?

- Nie. Teraz muszę cię pocałować.
- Jeśli musisz...

Westchnęła i podała mu usta. Pocałunek obiecujący, myślał czując pod wargą koniuszek jej języka. Jednak ją do mnie ciągnie. Dobrze, że dokoła ciemno, i dobrze, że pusto.

- Będę w Alhambrze - powiedział zduszonym głosem.

Przez chwilę odprowadzał spojrzeniem sylwetkę kobiety, rozmazującą się w ciemności, potem odwrócił się ku witrynie kawiarni. Sidorko sięgnął po szklankę i podniósł ją do ust. Dymitr długo nie odrywał od niego wzroku.

## 10

W portierni poprosił o klucz do pokoju. Tancerza znowu dokądś wywiało, pomyślał. Nie usiedzi spokojnie na miejscu, dyscyplina nie jest jego silną stroną. Może polazł do swojej młodocy...

- Sto dwadzieścia jeden? - spytał portier z ukłonem pełnym godności. Facet jak za najlepszych czasów, siwiejący brunet z wypomadowanymi włosami, marynarka szkarłatna ze srebrnym szamerunkiem i takimiż guzikami. Tak jest, panie generale - chciał powiedzieć Dymitr, ale się powstrzymał, uśmiechnął się tylko do przyglądającego mu się badawczo portiera.

- Wydaje mi się - bąknął portier. - Przepraszam, ale...
- Zajrzał do księgi gości. - To pan, prawda?
- Ja.
- Nie poznałem, przepraszam.
- Moja wina. Nie miałem szkieł, kiedyśmy się poznawali.
- Dymitr zdjął swoje oszukańcze okulary. - Teraz się zgadza?
- Tak, i jeszcze raz przepraszam. - Portier znów ukłonił się sztywno. Nagle spochmurniał. - To dziwne - mruknął.
- Co jest dziwne?
- Och, nic.
- Niech się pan nie wykręca, szefie - nalegał Dymitr. - Lubię wszystko, co dziwne.

Portier rozejrzał się niespokojnie. Potem, z wyraźną ulgą,

zwrócił się do Dymitra:

- Rozumie pan sam, nam tu nie wolno plotkować z gośćmi. Dyrekcja nie życzy sobie. Gdyby był tu przy mnie mój młodszy kolega, nie ośmieliłbym się... Ale te pańskie okulary. Mieliśmy dopiero co gościa, który też miał taki zwyczaj z okularami - raz nosił, raz nie nosił. A potem znaleziono go zabitego. - Uśmiechnął się po ojcowsku. - Oczywiście, nie powinien się pan z tego powodu bać, chyba że jest pan przesądny.

- Nie jestem. Więc pan tamtego gościa widywał w okularach?

- Jak najbardziej, do usług. Kiedy się zameldował, na pewno miał na nosie okulary.

- A kiedy przestał się nimi posługiwać?

- Myślę, że na trzeci dzień już ich nie nosił.

- Ciekawe.

- Jeśli pana to naprawdę ciekawi, to ja mam tu coś jeszcze. - Wyjął z szuflady tani, tekturowy futerał do okularów. Czarny marmurek był już porządnie zniszczony. - To jego.

- Skąd pan to ma?

- Od pokojówki. Przyniosła do przechowania. Trzymałem to razem z kluczami, ale pan wie, co się stało. Nie ma człowieka.

- Czy mógłby mi pan dać ten futerał?

- Nie ma pan własnego? - zdziwił się portier.

- Mam, ale... przez sentyment. Jesteśmy z tym zabitym z jednej wsi.

Portier wręczył Dymitrowi futerał, dodając do nieodmiennego ukłonu:

- O, on to na pewno nie był ze wsi.

- Ja też nie. Wszystko się zgadza. Pan dawno tu pracuje?

- Piętnaście lat, do usług.

- Czyli jest pan fachowcem.

- Naturalnie. Posiadam języki obce i półroczną praktykę w Monte Carlo.

- To mnie napawa zaufaniem - powiedział Dymitr. - Czy mogę porozmawiać z tą pokojówką, która znalazła futerał?

- To była Erna. Obsługuje drugie piętro. Jeśli pan szuka czegoś specjalnego... - Portier uśmiechnął się. - Nie jest

królową piękności.

- Ale umie mówić prawdę?

- Mówi tak dużo, że czasem jej się wymknie prawda. Pan, zdaje się, prowadzi śledztwo?

- Wie pan, raczej rozwiązuję krzyżówki. Ale tak czy owak, prosiłbym pana o dyskrecję.

- Szanowny pan może być spokojny. - Portier podniósł słuchawkę telefonu i wykreślił dwa numery w tarczy. - Erna? Zejdź do pokoju sto dwadzieścia jeden. Pan redaktor chciałby się o coś zapytać... „Redaktor”, czy taki tytuł panu odpowiada?

- Wyśmienicie. Dziękuję panu.

Prosta i łatwa jak doświadczona kocica - pomyślał Dymitr na widok Erny. Ciemne włosy upięte do góry, twarz zmęczona zmaganiem o zachowanie młodości, cienki nos, wąskie wargi, w oczach czujność i pobudliwość. Dymitr położył banknot na stole.

- To dla pani - powiedział.

Jego obcesowość jakby ją trochę zakłopotła. Usiłując dostroić się do narzuconego tonu, roześmiała się sztucznie, jak histeryczka, i zaraz urwała.

- Co mam robić? - spytała i zrobiła domyślną minę.

- Odpowiedzieć na kilka pytań.

Trzymała banknot niezdecydowana.

- No tak - bąknęła. - Tylko że ja nie sprzątam u pana. Gdyby się korytarzowa dowiedziała, mogłaby mieć pretensję. A w ogóle czy nie za dużo?

- Niech się pani nie martwi, ja na tym więcej zarobię.

- Rozumiem, pan redaktor napisze do gazety. - Westchnęła.

- Dobrze jest ludziom zdolnym. - Wsunęła banknot do kieszeni fartucha. - No, to proszę.

Usiadła i założyła nogę na nogę. Dymitr wyjął z kieszeni czarny futerał.

- Gdzie pani to znalazła?

- W pokoju u gościa.

- Znalazła pani i zanosła na dół, do portiera?

- Tak.

- Należało położyć po prostu na stole. Albo oddać gościowi

do rąk własnych.

Chwilę milczała.

- No pewnie, zrobiłam głupio - przyznała wreszcie. - Ale nie mogłam inaczej. Bałam się.

- Czego?

Uśmiechnęła się.

- Głupstwa, prawdę mówiąc. Gdybym wiedziała, że z tego może być aż śledztwo... Skąd mogłam wiedzieć?

- Więc czego pani się bała?

- Że gość powie, że to ja stłukłam. Bo widzi pan, jak u niego sprzątałam, to znalazłam na podłodze odłamki szkła i złamaną oprawkę. Pogniecioną strasznie. Wyglądało tak, jakby ktoś rozdeptał okulary ciężkimi butami. Przez złość.

- Chyba nie on sam.

- Ależ skąd! On się wtedy kąpał. Zrobiłam mu wannę w łazience na piętrze. Wprowadziłam go do łazienki i powiedziałam: „wanna gotowa”, i poszłam do niego do pokoju posprzątać. Nie od razu - przypomniała sobie nagle. - Najpierw poszłam do służbówki. Bo wtedy była u nas jakaś inspekcja sanitarna i brakło im niektórych kluczy. Wzięłam ze służbówki swoje klucze, ale tych panów już nie zastałam. Zbiegłam na dół, do portiera, był wtedy ten drugi, taki młody, zapytałam, gdzie oni są, to on na to, że ci panowie już wyszli i mówili, że wszystko u nas jest wzorowo i są bardzo zadowoleni, a najwięcej, że wszędzie są czyste ręczniki, więc nie będą się czepiać drobiazgów. Powinni by mi dać jakąś premię, nie myśli pan?

- Co dalej?

- To poszłam do pokoju tamtego pana, żeby skorzystać z tego, że gość się kąpie, bo wtedy można spokojnie posprzątać. No i jak sprzątałam, zobaczyłam na podłodze te odłamki. Niemożliwe, żebym to ja stłukła, niemożliwe! Przecież bym usłyszała, poczuła, taki tłumok to znowu nie jestem. Człowiek ma taką pracę, jaką ma, ale to nie znaczy, żeby nie miał aspiracji...

- Ale bała się pani, że gość pomyśli, że to pani wina?

- Tak to wygląda, widać, że pan pisuje, od razu pan zgadł, co

się w człowieku dzieje. Wyrzuciłam te odłamki i oprawkę do śmieci, a futerał po kilku dniach oddałam portierowi.

- A gość co? Zauważył?

- Zauważył, ale myślał, że gdzieś te okulary zgubił albo że mu ktoś ukradł z pokoju. Z pokoju, mówiłam, to niemożliwe. Ale było możliwe, bo przecież ktoś wszedł do numeru i te szkła mu rozdeptał. Strasznie ten gość narzekał. Ja panu mówię, że to musi mieć coś wspólnego z jego śmiercią.

Czyżby coś wiedziała? - pomyślał Dymitr zdziwiony.

- Ale co? - spytał.

- Stłuczone szkło - to nieszczęście, wiadoma rzecz. A pan w to nie wierzy?

- Może ma pani rację - powiedział. - A ci z inspekcji sanitarnej więcej się tu nie zjawiali?

- Nie.

- Ilu ich było?

- Trzech.

- Czy byli uzbrojeni?

Zdziwiła się.

- Dlaczego mieliby być uzbrojeni? Chociaż... - mrugnęła porozumiewawczo okiem. - Wie pan, pan ma rację, wyglądali, jakby byli uzbrojeni. Ten trzeci, co szedł z tyłu, na pewno miał coś pod kurtką. Zdaje się, że pan ich podejrzewa? O te okulary, tak?

- Ja też mam swoje przesady, pani Erno. Trzej panowie w ciemnym korytarzu, w tym jeden uzbrojony - to zawsze jakieś kłopoty. Ma pani bardzo ładne nogi. Czy ktoś już to pani mówił?

- Zdarzało się. - Wybuchnęła śmiechem.

- Bo ja na to zwracam pani uwagę celowo. Żeby się podliznąć i odwołać do pani honoru kobiecego. Kobieta o tak ładnych nogach powinna być dyskretna.

- Kamień w wodę, panie redaktorze.

Wstała i odeszła do drzwi. Przy drzwiach zatrzymała się i obdarzyła go uśmiechem.

- Dziękuję za zarobek - powiedziała wskazując na kieszonkę, w której ukryła banknot.

Stał potem długo przy oknie. Obrastała je omszałym, mocnym pniem brzoza. Kilka płatów bieli uchowało się na ciemnym pniu jak niedobitki straszliwego pogromu, połyskiwały one wśród ciemności i wzruszały. Nie umiał nazwać tego wzruszenia inaczej jak wzruszeniem, brakło słów i ciemność była tylko ciemnością. Były Dymitr wspominał: „Pamiętam, że od tego pnia brzozy, który przebiegał środkiem okna jak maszt główny, rozchodziły się nagie, guzowate gałęzie, tak że okno wyglądało jak okratowane. Te gałęzie na pewno były piękne i smutne, rozpościerała się za nimi szarość, a dalej ciemna chmura, na którą gapilem się długo i bezmyślnie. Kobiety czasem płaczą bez powodu. Chyba ja znajdowałem się wówczas w podobnym stanie. Ciemna chmura daleko za gałęziami - to było morze. Mimo postępów techniki, ma ono wciąż jeszcze magiczną moc, jest symbolem dali i dlatego wprowadza w stan neurotyczny. Przeraza. Wszystko za nim jest daleko. I wszystko jest inne i lepsze, i woła nas ku sobie. Człowiek nad brzegiem morza o zmierzchu to istota, która tęskni. Do czegoś nieokreślonego. Tęskniłem do tego, co miałem zamiar zostawić, czy też do tego, co chciałem zobaczyć? Któż to wie! Na pewno ogarniał mnie lęk. Jak każdego, który ma coś w życiu przekreślić, coś zakorzenionego, niechby nawet to było niezbyt urodziwe, ale znajome, jak rynsztok ulicy dzieciństwa - i zacząć coś nowego, przygodę luksusową, ale mało potrzebną i obcą. Taki lęk mógł odczuwać pierwszy człowiek, którego wystrzelono w kosmos. Przeraza nas nieznanne. Znajomy rynsztok najwyżej nas przyprawi o mdłości. Powie pan, że to nic zaskakującego i dawno już nazwano podobne uczucia spleenem, Weltschmerzem, neurastenią, zależnie od stopnia egotyzmu, jaki w nich jest zawarty. Gdyby nie moja sytuacja życiowa, mógłby pan podejrzewać, że było to wzruszenie estetyczne, rozterka nie wyklutego artysty na widok kilku białych plam na starej, pomarszczonej brzozie. Melancholia późnej jesieni. Przeczucie śmierci. Jednym

słowem - coś niemodnego i tysiąc razy splagiatowanego. Jako racjonalista, który nałykał się Freuda, jako Polak z teczką, który powinien być trzeźwy i nie dać się zwariować, skłonny jestem przypuszczać, że moje odrętwienie było rodzajem ucieczki od fatalnej rzeczywistości, w którą się wplątałem w dwudziestym piątym roku życia. Nie wiem, jak długo stałem przy oknie. Wiem, że mnie przez ten czas jakby nie było. Były powykęcane konary. Omszały pień brzożowy. Ciemna chmura morza. Był smutek”.

Zgrzytnęły drzwi. Wszedł Potok, Dżyngis-chan, Tancerz. Brzoza stała się na powrót starym drzewem, zmierzch - porą dnia, morze - kupą wody. W pokoju zrobiło się hałaśliwie. Mongoł przewiesił pepeszę przez krzesło, rzucił na stół paczkę.

- Przebieraj się - powiedział.

Teraz dopiero Dymitr zauważył, że Potok miał na sobie nowy, granatowy battle-dress.

- Zapisales się do pancernych? - spytał Dymitr.

- Kolor bardziej salonowy - wyjaśnił Potok. - Eleganckie, co? Made in England.

- Gdzieś to dostał?

- Za forszę dostaniesz wszystko. Jeśli masz zapotrzebowanie na angielską łódź podwodną, to można załatwić - kwestia ceny. To jest miasto, w którym ludzie mają głowę do interesów. Są sklepy i jest towar. Jak na Bielańskiej. Popatrz - zerwał sznur z paczki. - Czarny garnitur, możesz iść do ślubu z fryzjerką.

- Dla mnie? - Dymitr dotknął materiału. - Stary, przecież to może być nie na miarę.

- Musi być na miarę! - zawołał Potok i zatarł dłonie. - Czy ja cię nie znam? Właściciel sklepu dokładnie twojego wzrostu. Kazałem mu zmierzyć i cześć, górą nasi. W sklepie mi się do gatek rozbierał. Bul monetę, stary. Jesteś mi winien siedem patyków. Jest jeszcze koszula i krawat.

- Myślałem, że gdzieś pijesz - mówił Dymitr przebierając się.

- Ja? Jestem trzeźwy jak... Kto jest zawsze trzeźwy w tym parszywym świecie? Nie wiesz?

- Nie mam pojęcia. Przyjemna koszula. - Dymitr rozkoszował się chłodem, czystością i bielą popeliny. - To



dobrze, że jesteś trzeźwy.

- Służba, szefie! Albo poker, albo wódka. Nie mogę przepuścić za jedną razą całej kazonnej forsy. Głowa musi pracować. Wypałem się, a potem zadbałem o to, żebyśmy się stali piękni. A ty co robisz? Dowiedziałeś się czegoś?

Dymitr wiązał przed lustrem krawat. Powiedział niedbale:

- Wydaje mi się, że się czegoś dowiedziałem.

- Wydaje ci się... - powtórzył jego słowa Potok. - Co to za gadanie?

- Bo nie jestem pewny, czy to, czego się dowiedziałem, ma jakieś znaczenie. Popatrz na mnie.

Stał przed Potokiem smukły, czysty, czarno-biały, młody i staroświecki zarazem. „Nie mogłem się sobie nadziwić - wspominał mężczyzna oblany pomarańczową poświatą. - Usiłowałem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz byłem w takiej gali, i wydało, mi że nigdy. Oczywiście, na balu maturalnym. Ale to było sześć lat wcześniej, ten bal, to nie ja, tylko jakiś inny chłopak tańczył wówczas z koleżankami, beztroski, hałaśliwy, nieopierzony. Po sześciu latach zgrzebności ten lalusz z lustra wydał mi się całkowicie obcy. Ktoś zza morza, do kogo należało się dopiero przyzwycząić. Spoglądałem na swoje odbicie nieufnie. Dymitr spytał lakonicznie.

- Muszę?

- Koniecznie. Będziesz się obracał w eleganckim świecie.

- Batożę - Dymitr przypomniał sobie porzekadło Zawiszy.

- A ja przybijam.

Dymitr założył okulary. Znowu ktoś inny pomyślał. Potok był wyraźnie zafascynowany.

- Dymitr! - krzyknął. - Niech cię! Czyje to? Może...

Miał w ustach imię zabitego, ale zgasło, zanim zdołał je wymówić, bo Dymitr szybko wyjaśnił.

- Moje. Kazałem zrobić. Lipne - dodał.

- Pokaż.

Mongoł przez chwilę przymierzał przed lustrem okulary. Potem zwrócił je Dymitrowi.

- Mnie nie pasują - powiedział krzywiąc się. - Wyglądam jak

jeden stary szewc z sutereny na Karolkowej co od rana do wieczora wbija ćwieki w najgorsze zelówki świata. Pokaż się, stary. Zrobią oczy w Badenii, nno!

- Nie idziemy do Badenii.

- Myślałem, że sobie pogram - powiedział z żalem Potok.

- Sterujemy do Alhambry. Popatrzysz na dziewczyny, to też coś warte. Nie widziałeś jeszcze takich. Bez sukien, za to w pończochach i podwiązkach.

- Nieźle. Ale dlaczego tam idziemy?

Dymitr pomyślał z uznaniem: dobry Potok, jego nikt nie nabierze, wie, że wszystko musi mieć przyczynę. Dymitr rzucił na stół kalendarzyk „SS”-owca.

- O Alhambrze jest mowa w tym notesie.

- On tam bywał?

- Nie wiadomo. Ale jest notatka i to wystarcza, żebyśmy tam poszli.

- Stary, co ty wiesz? - spytał Potok. - Coś ci tam po mózgu chodzi, nie?

- Coś chodzi. Czekaj, niech to sobie zbiorę do kupy. - W takich wypadkach, myślał Dymitr, detektyw powinien usiąść wygodnie w fotelu, zapalić papierosa i długo w milczeniu zaciągać się dymem. Nie jest to tylko tania gierka autora, detektyw musi się skupić. Fotel jest, siadamy. Papierosy ma Potok. - „Magyara” - powiedział.

Wypuściwszy strumień dymu i przewyciężywszy kaszel, Dymitr powiedział:

- A teraz, mój dobry Watsonie, słuchaj.

- Mój dobry co? - nie zrozumiał Potok.

- Nie przerywaj, ciemniaku, bo gubię wątek. Uważaj dobrze: Justynian nie zapomniał okularów ani ich nie zgubił, ani nie miał zamiaru podszywać się pod człowieka z ludu. Okulary stłuczono mu. Rozmyślnie!

- Kto?

- Ludzie Złowrogiego.

- Żeby go osłepić? Mógł zamówić drugie.

- Tak też zrobił. Byłem nawet u jego optyka. Stłuczono mu okulary, żeby mu zagrozić! Albo wyniesiesz się stąd, albo

będzie źle. Zrobiło to trzech facetów, udających inspekcję sanitarną, a może i pracujących naprawdę w inspekcji, w tym bandyckim mieście wszystko jest możliwe. Kiedy Justynian znajdował się w łazience, weszli do pokoju i rozdeptali okulary buciorami. Ze złością.

- A co Justynian? Zlekceważył?

- Widzisz, trochę to wszystko chybiło celu, bo Justynian o tym ostrzeżeniu po prostu się nie dowiedział. Nie dotarło do niego. Głupia pokojówka zebrała odłamki szkła i wyrzuciła do śmieci, bo się bała, że Justynian ją zwymyśla, a Justynian przypuszczał, że albo okulary się zawieruszyły, albo ktoś mu je ukradł. Gdyby się dowiedział prawdy, miałby się może na baczości.

- Czyli pechowo.

- Właśnie. Optyk, do którego Justynian się zwrócił w piątek, został wezwany na sobotę do jakiegoś tam urzędu i przetrzymany parę godzin. Wezwanie było lipne. Kiedy optyk wrócił do sklepu, zastał rozbitą witrynę. Drugie ostrzeżenie!

- Tak, robi się nieładnie - przyznał Potok.

- Myślę, że ludzie Złowrogię wetknięci tu są gdzie się da, że kierowani są anonimowo, a jeśli w pewnych wypadkach bezpośrednio przez szefa, to też nie mają pojęcia, że człowiek, który nimi kieruje, jest czymś więcej niż gangsterem - że jest także Złowrogim.

- Justyniana sprzątnięto w niedzielę wieczorem - przypomniał Potok. - Dlaczego nie zlikwidowali go od razu? - zastanawiał się.

- Bo nie było potrzeby. Uderzyli, kiedy Justynian wpadł na właściwy trop. Dopiero wtedy. Po tym telefonie do Zygmunta. My ten trop powinniśmy z powrotem odnaleźć.

- Myślisz, że on się w końcu dowiedział?

- Na pewno.

- A co z nami? Nas nie rąbną?

- Nas nie podejrzewają. Mnie się coś wydaje, że Złowrogi, po sprzątnięciu Justyniana, czuje się bardzo pewny siebie. Myśli, że nitka się urwała. Nie może wiedzieć, że robotę przejął już ktoś inny, i to ktoś, kto zna Zawiszę i tamte sprawy. Złowrogi

może okazać się nieostrożny. To by była nasza wielka szansa.

- Dymitr, a przecież utłukł Justyniana człowiek Zawiszy.
- To mnie trochę gnębi.
- Tacy faceci mogą pracować na dwie zmiany - pocieszał go

Potok.

- Nawet na trzy.
- Na trzy? - zdziwił się Tancerz.
- Jeśli wyłączymy Skorpiona i Zawiszę, pozostaje ktoś trzeci, prawda?

- Niby tak. Tylko że... - Potok mruknął i urwał.

- Tylko że Zawiszy nie można wyłączać, to chciałeś powiedzieć? Tancerz, jestem pewny, że Zawisza nie ma z tym nic wspólnego.

- Daj Boże.

- Po to jesteśmy w Bagniskach, żeby to udowodnić, pamiętaj. Zawisza wplątał się tu w różne matactwa, ale nigdy nie sypał swoich.

Potok krążył po pokoju niespokojny jak jeź.

- Psiakrew - zaklął. - Gdzie te piękne czasy, kiedy człowiek sobie bez nerw wysadzał pociągi, nie myśląc o niczym, tylko żeby zrobić swoją robotę czysto i zwiąć! Raj na ziemi. Dymitr, mówię ci. Coś ty mówił o Zawiszy? Że nie sypał? Bardzo ładnie, zgadzam się. Ale teraz gadka jest o czymś innym: czy nie rąbnał tego w okularach? A skąd pewność, że ci trzej faceci z inspekcji wiedzieli, po co Justynian przyjechał? Może myśleli, że to ktoś, co ma się zabrać do tych wszystkich kantów, które tu się dzieją? Może myśleli, że jakaś kontrola? A czy z kanciarzami Zawisza nie idzie ręką w rękę, za to nie dałbym głowy.

Dymitr zamyślił się.

- Pewności nie ma żadnej, fakt, ale więcej przemawia za tym, że Justyniana usunął Złowrogi.

- W Badenii?

- Tak, w Badenii. U Zawiszy. Złowrogi ma na Badenię oko.

- A my idziemy do Alhambry.

- Będziemy wszędzie, gdzie chciał być Justyman.

- Może on był tylko pazerny na niewiasty?

Dymitr przypomniał sobie miedzianowłosą Aldonę.

- Niewykluczone - zgodził się. - Ale i Złowrogi może mieć na nie apetyt.

- Szefie - powiedział Potok wstając. - Szefie, podobasz mi się. Masz dzwonnice! Wiesz, co mi przyszło do głowy? Powiedziałeś u Zawiszy, że będziemy dziś grać w pokera, prawda?

- Zdaje się.

- No to ci, co nas śledzą, oczekują nas w Badenii. A my będziemy w Alhambrze! - zawołał z triumfem Potok.

- Tak jest, mój dobry Watsonie - pochwalił go Dymitr. - Właśnie to miałem na myśli.

„Nie była to prawda - wyznał mężczyzna wysuwając się z pomarańczowej poświaty. - W ogóle o tym nie myślałem, co sugerował mi Potok. Ale skoro mój podwładny chciał, żebym był genialny, potwierdziłem. Cóż miałem zrobić, niech pan sam powie.”

## 12

Wstąpili do kina. „Było trochę czasu - wspominał głos w pomarańczowej poświacie - i skusiło mnie, by znaleźć się przez chwilę w zaczarowanej ciemności, wśród anonimowego tłumu, karmiącego się zbiorowo jedną i tą samą bajką. Powie pan, że to dzieciństwo. Nie przeczę. Zresztą, któż mógł przewidzieć, czym to się skończy. Nie byłem w kinie całych sześć lat! Skusił mnie na dobitkę film, grano «Zaginiony horyzont», oglądałem to krótko przed wojną i teraz chyba już nie dziwi się pan, że zapragnąłem raz jeszcze to przeżyć, wskrzesić czas, który wydawał mi się beztroski, pomarzyć o krainie wiecznej młodości, bo o to chodzi w tym filmie, o Szangri-La, o które człowiek czasem w życiu zahacza, ale jeśli się zgapi i wypuści z rąk, nigdy go już nie może odnaleźć. Szangri-La.” Ostatnie słowo były Dymitr powtórzył z sarkazmem, uśmiechnął się gorzko i zamilkł. Zwiesił głowę i mogło się wydawać, że zapomniał o moim istnieniu. „Szangri-La - powtórzył po chwili, wciąż ze zwieszoną głową. Na jego wysokim czole żarzył się odbłask stojącej lampy. Zauważyłem, że prawa dłoń byłego Dymitra zacisnęła się w pięść. Nagle

otrząsnął się i spojrzął na mnie wzrokiem jasnym, prawie wesołym. - Dosyć o tym - powiedział z energią. - Wracajmy do rzeczy. Kino - przypomniał sobie - aha. Kosztowało nas drogo, to kino: kiedy zapalono światła i ruszyliśmy do wyjścia, Klimek, wie pan który, ten agent, co nas śledził, już czekał. Wyłuskał Potoka i mnie z tłumu wychodzących, otarł się o nas jakby i mruknął: no, dosyć zabawy, teraz za mną. Poszliśmy za nim posłusznie, a on zaprowadził nas do samego szefa.”

Dymitr rozejrzał się po gabinecie Skorpiona. Jakże inny od surowej kancelarii więziennej Zygmunta! Dywany, kotary, ciężkie gdańskie biurko z nogami w kształcie amorków napastowanych przez węże. Głębokie fotele. Trzydrzwiowa czarna szafa, także gdańska. Na biurku, wśród papierów, niemieckie pisma ilustrowane i puszka holenderskiego kakao. A na ścianie - piękny orzeł, w koronie, przedwojenny.

Wszedł major i widok jego zaskoczył Dymitra. Spodziewał się, nie wiadomo dlaczego, jakiejś kopii Zygmunta. Skorpion jednak był do niego zupełnie niepodobny, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. „Nie potrafił być uroczysty, skupiony - wspominał były Dymitr - nie potrafił narzucić atmosfery służbistości, rygoru. Średniego wzrostu, barczysty, z szeroką, osypaną piegami twarzą, krótkim płaskim nosem i czołem, które porośnięte było niskim runem kędzierzawych, złotych włosów. Lepiej powiedzieć, że był czerwonowłosy. Człowiek z temperamentem, jego małe, zielone oczy iskrzyły się. Na próżno usiłował grać ponuraka. Wiedziałem, że ma za sobą bujną przeszłość - więzienie w Polsce, Hiszpania, obóz pod Algierem, przerzut do Rosji, potem front na Białorusi, skok spadochronem do leśnych - dosyć jak na trzydziestolatka. Działalność kipiąca, ale zabrakło czasu na wykształcenie i obycie, polszczyzna Skorpiona szwankowała, w jego języku odzywały się pogłosy wędrówek po świecie, biwaków i zgrupowań pod różnymi długościami geograficznymi. Typowe kłopoty globtrottera mimo woli.”

- To ci? - spytał Skorpion jednego ze swoich ludzi.

- Ci.

Klimek położył na biurku pepeszę Potoka. Skorpion obejrzał

ją, jakby to miało jakieś znaczenie. Zdjął bębenek, zajrzał do lufy.

- Mać jego - zaklął. - Czyja to?
- Tego - Klimek wskazał na Potoka.
- A ten drugi? - szeptał major.
- Bez broni.
- Sprawdziłeś?

- Obmacałem mu kieszenie. - Klimek rzucił portfel na biurko. - Do cholery pieniędzy i chusteczka do nosa, nic więcej.

Skorpion siadł za biurkiem. Przerzucił machinalnie dwie strony pisma ilustrowanego. Uśmiechnął się zachęcająco do Dymitra:

- No co, panowie? Wpadliście? Takie jest życie. Śpiewajcie wszystko, będzie prościej. Po co dobrym ludziom psuć nerwy?

Dymitr wyciągnął z tylnej kieszeni spodni zaświadczenie i podał je majorowi. „To był gest desperacki - skomentował mężczyzna ukryty za liściem palmy. - I przełomowy, rozumie pan sam. Odtąd krąg wtajemniczonych rozszerzał się gwałtownie. Wiedziałem o tym i czułem się tak, jakbym zlatywał ze schodów na łeb i szyję.”

- Podpis Zygmunta - stwierdził Skorpion.
- Jego.

Zwrócił Dymitrowi zaświadczenie.

- Dlaczegoście się nie zgłosili do mnie? - spytał.
- A musieliśmy? - odpowiedział zaczepnie Dymitr.
- Powinniście. Jakby nie było, koledzy...

Dymitr nabrał tchu.

- Nie jesteście kolegami - sprostował.

„Zrobiło się cicho. Nie wiem, czy on zrozumiał sens tego, co chciałem wyrazić - zastanawiał się były Dymitr. - Miałem nadzieję, że zrozumiał. Przewrócił jeszcze kilka kartek pisma. Zobaczyłem dwa albo trzy zdjęcia tęgawych Niemek, reklamujących, jak się domyśliłem, bieliznę damską”.

- Kakao? - zagadnął Skorpion.

Dymitr zerknął na ścienny zegar.

- Chciałbym jeszcze dziś potańczyć.
- A ja nie? - Major zamknął pismo. - Ja też lubię tańczyć.

Więc nie jesteście kolegami... Myślisz, że mam ochotę iść płakać? Gdyby nie podpis Zygmunta, kazalbym was natychmiast zamknąć! Po coście tu przyjechali? - spytał ostro.

- Spowiadać się nam nie kazano - powiedział Dymitr.

- Mać jego - zaklął Skorpion. - To nie jest takie trudne do odgadnięcia. Przyjechaliście szukać Złowrogiego

- Powiedzmy.

- Nie wiem, jaki macie w tym interes, ale mogę się domyślać.

W Badenii byliście? - zapytał ironicznie major.

- Byliśmy, przecież pan wie.

- I co, nic nie zauważyliście? - dopytywał się ironicznie.

- Nic.

- Dziwne.

- A nie przyszło panu na myśl, że Złowrogi zwał? - zaatakowałem. - Byłby frajerem, gdyby tutaj siedział.

- On jest tutaj! - powiedział Skorpion.

- Ale dlaczego? Dlaczego nie uciekł.

- Co można wiedzieć? - Major wzruszył ramionami - Może właśnie za granicą na niego czekają z kajdankami? Może u nas jest bezbłędnie zakonspirowany, a wyjazd mógłby go zdekonspirować? Może dostał od swoich szefów zadanie, żeby tu jeszcze posiedzieć? Na mój rozum, to jest po prostu tak, że on tę zabawę lubi - wielką grę, awanturę, władzę, likwidowanie niewygodnych ludzi. Są tacy goście, którzy za tym przepadają. - Skorpion wstał i zdecydowanym gestem zwrócił Dymitrowi portfel. - Proszę pana - powiedział akcentując specjalnie słowo „pan”. - Proszę. Możecie iść.

Dymitr stał bez ruchu.

- Jeszcze coś? - spytał Skorpion zdziwiony.

- Tak, mały dowód zaufania.

- Zaufania? Dowód?

- Maleńki. Z bębenkiem na siedemdziesiąt dwa na boje.

Skorpion uśmiechnął się.

- Mać jego. Co wam po zaufaniu? Każdy tu robi swoje i koniec. Będą kłopoty, to zwróćcie się do nas. Dostaniecie pełną pomoc.

- Nie, my musimy działać sami.



- Skąd taki mus? - pytał wesoło Skorpion.
- Bo szukamy Złowrogiego.
- No, to jedziemy na jednym wózku.
- Nie - zaprzeczył Dymitr. - Nie na jednym.

Skorpion opuścił wzrok i przez chwilę ważył w ręku pepeszę Potoka.

- Na - powiedział wreszcie. - Zabierajcie to.

Potok przewiesił automat przez ramię.

- Będziecie mieli smak na kakao - powiedział major dobrodusznie - to wpadnijcie. Co jest w końcu, nie możemy się spotkać jak człowiek z człowiekiem?

- Możemy, ale w kalesonach - odparł Dymitr. Skorpion nie zrozumiał i Dymitr musiał wyjaśnić: - Bez munduru, zrównani w randze.

- Mać jego - zaklął Skorpion spochmurniawszy. Na twarz jego wystąpił lekki rumieniec. - Młody chłopak i taki bez poczucia humoru.

- Na razie nie mam się z czego śmiać - odpowiedział Dymitr. Spytał: - Można odejść?

Skinął dłonią na Potoka. Klimek wyprowadził ich na dwór.

### 13

Zadzwończyły czynele. Przyćmiono światła. Potok trącił Dymitra:

- popatrz. Na estradę weszła pieśniarka w srebrzystej sukni, wyciętej z prawej strony aż po biodro. - Nnoga! - mlasnął z zachwytem Potok. - A karoseria! - Wysoki obcas - zgasił go Dymitr z miną starego wyjadacza. Pieśniarka była chuda, miała zwiędłą szyję i lęk w oczach. Czynele zadzwończyły raz jeszcze, krąg purpurowego światła otoczył kobietę w srebrzystej sukni, odezwały się pojedyncze oklaski. „Trochę jak tutaj” - powiedział były Dymitr do żony. Siedząca obok córka kołysała się z boku na bok w takt muzyki. Znajdowaliśmy się na dansingu, jedynym w tej miejscowości. Przyszliśmy, bo paniom znudziła się telewizja. Zapragnęły atmosfery nocnego lokalu, muzyki i zgiełku, poplamionych obrusów, musujących barw,

właśnie tylko atmosfery, bo zamiast tańczyć, siedziały przy nas i słuchały opowieści. „Tak jak tu - powtórzył ojciec - albo i o stopień lepiej niż tu. Bo to jest właściwie nędzna, prowincjonalna buda, podczas gdy tam, w Alhambrze, Batkowski zdołał zorganizować coś, co mogło się wydać luksusowe. Nie do uwierzenia, proszę państwa, ale mieliśmy do dyspozycji najlepsze wina i wszystkie te zakąski, których brakło w karcie Grandu. Zadziwiające, kiedy się pomyśli, że nie minęło pół roku od zakończenia wojny - i w takim Paryżu, w całej Europie zresztą, brakowało jedzenia i światła! Coś w tym było nienormalnego, jakiś obłęd unosił się nad salą, przecież jeszcze nie wszystkie trupy były pochowane, może świadomość tego powodowała, że ludzie bawili się zachłannie, że stawali się tacy żarłaczni i podnieceni, że dostawali niezdrowych wypieków, gorączki w oczach, jakby nie wierzyli w pokój, jakby podejrzewali, że brak frontu to tylko chwilowe wytchnienie, nic więcej, a za minutę, dwie, wszystko się wokół zawali, zleci sufit z żyrandolem na czterdzieści żarówek, pękną filary, strzaskają się reflektory, opadną kinkiety, załamią się stoły, potłuką butelki. I wszystko pokryje się odłamkami szkła, tynku i tłuczką cegły. Tutaj, proszę się rozejrzeć, podryguje lekkomyślna młodzież, a z niejakim wysiłkiem i bez widocznego entuzjazmu naśladują ich osobnicy w naszym wieku. W Alhambrze było inaczej. Szaleli ci, którzy uznali, że przeżyli tajfun, że wyłowiono ich cudem z morskiej kipieli, by za chwilę uczynić z nich ofiary nowej apokaliptycznej katastrofy. Im starsi, tym skłonniejsi do opętańczego zapomnienia. Sześć lat wyrwano im z życia, sześć lat, które, gdyby nie ta wojna, spędziliby - tak przynajmniej im się wydawało - na samych rozkoszach. Nie zazdrościłem Skorpionowi. Utrzymać podczas takiego nastroju jako taki szacunek do prawa - nie należało do zadań łatwych.

Odśpiewała „Warszawę”, „Pozdrowienie z gór” i „Bluzkę zamszową”. Potem wzięła się do roboty siódemka jazzowa. „The Lucky Boys”. Parkiet zappełnił się tańczącymi.

- Posuwasz? - spytał Potok.
- Nie. Skoczę za kulisy.

- Ty masz zdrowie.  
- Wiesz, że idzie o Justyniana.  
- Pójdę zahaczyć tę ciocię pod ścianą  
- Nigdzie nie pójdziesz - powiedział ostro Dymitr. - Masz obserwować salę.

- Mogę przy cioci - upierał się Potok. - Popatrz, jaka ciepła. Na pewno dobrze gotuje.

- Ciocia czeka na marynarza, nie widzisz? Napij się wina, Tancerz, i w ogóle spróbuj być człowiekiem kulturalnym.

Dymitr nałożył okulary i przywołał kelnera. Podeszedł z butelką burgunda.

- Wytrawne? - spytał Dymitr.

- Tak, panie redaktorze.

Dobrze, tytuł się już utrwalił - pomyślał Dymitr i kopnął pod stołem Potoka, który wyraźnie miał ochotę parsknąć śmiechem.

- Nalej nam pan dwie lampki. Ta śpiewaczka to Rina...?

- Rina Conti.

- Nie słyszałem o niej jakoś.

Kelner wykrzywił pogardliwie usta. Szepnął konfidencyjalnie:

- To najpiękniejszy lokal jej życia.

- Domyślam się. Ciężki kawałek chleba. Chciałbym ją odwiedzić. - Dymitr położył na stole pięćsetkę. - Czy ma garderobę?

- Wspólną z girlaskami.

- Oho!

- Wystąpią po tańcach. Czy chce pan redaktor nabyć kwiatuszek?

- Przydałoby się.

Kelner rozejrzał się po sali i strzelił palcami. Podeszła jaskrawo umalowana dziewczyna w krakowskim stroju i z koszykiem róż w ręce. Ukłoniła się w milczeniu.

- Różyczkę - powiedział Dymitr. - Którą mi pani radzi?

Dziewczyna w krakowskim stroju uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała. Dymitr domyślił się, dlaczego.

- *Diese?* - spytał wskazując na czerwony, rozkwitający pąk.

- *Ja, bitte* - odpowiedziała dziewczyna.

- Ile? - spytał Dymitr.

Dziewczyna pokazała na palcach, ile. Dymitr zapłacił i poszedł za kelnerem. Znalazł się w słabo oświetlonym, odrapanym korytarzu. Muzyka, tak podniecająca na sali, przedostawała się tu jako bezładny, przytłumiony hałas. „Przesuwanie stołków i tłuczenie talerzy” - tak określił to były Dymitr. Nie było krzyczących barw, znikła sztuczna rzeczywistość, skonstruowana dla konsumpcji wina i seksu, wróciła szarzyzna powszedności, twarda i chropowata jak podmalowany zaciekami tynk korytarza - i tak było lepiej. Kelner pchnął drzwi, trysnęło światło odbite w popękanych lustrach i buchnął ciepły i kwaśny zapach spoconych ramion kobiecych. Dymitr bał się, że przygotowujące się do występu girsy skrzyczą go, ale dziewczęta nie zwróciły na niego uwagi. W kącie zobaczył tę, dla której tu przyszedł - śpiewaczkę, Rinę Conti. Siedziała na krześle, popijając gorącą kawę po turecku.

- Pani Conti! - zawołał kelner. - Pan redaktor do pani.

Piosenkarka skinęła głową. Kelner wepchnął Dymitra do garderoby i zamknął drzwi. Duszno, pomyślał Dymitr. Z różyczką w rękę przeciskał się między roznegliżowanymi dziewczętami. Przypinały sobie do kostiumów nad pośladkami ogony z pióropuszków. Usłyszał znajomy głos:

- Po wywiad?

Trwało chwilę, zanim uświadomił sobie, że to nie pyta piosenkarka. Nina, stojąc za fotelem, upinała włosy giralasce. Nie spoglądała na niego, lecz w lustro, w którym go prawdopodobnie zauważyła. Przy sąsiednim fotelu wykonywała podobną czynność Aldona.

- Dobry wieczór, paniom - powiedział. - Cieszę się, że znowu mam sposobność was widzieć.

- Nie możemy się rozstać - odparła Nina.

Dziewczyna w kusym kostiumie zerwała się z fotela.

- Pan jest redaktorem? - spytała.

Zaczerwienił się.

- Wszystkim, kim pani sobie tylko życzy - odparł kłaniając się.

- To proszę mi to przypiąć - powiedziała dziewczyna podając mu pióropusz i obracając się tyłem. Pochyliła się do przodu i dwa napięte pośladki podsunęły się do góry, pod same oczy. - Tam jest haftka, pod samą gumką. Nie tak, od wewnątrz.

Nogi miała zgrabne i muskularne. Dymitr szukał zapinki niezręcznymi palcami, myśląc o tym, że zadanie jest kłopotliwe, a dziewczyna albo zuchwała, albo w jakiś sposób niewinna. Znalazł wreszcie na wewnętrznym brzegu slipek miejsce, w które należało wpiąć haftkę. Poniżej tego miejsca, na muskulaturze pośladka, zauważył czarne znamię. Strużka potu stoczywszy się z pleców dziewczyny, od miejsca, z którego wyrastała brodawka, spłynęła wzdłuż kręgosłupa. Gorąco tu, pomyślał. Strzepnął dłonie, jakby otrząsał je z piasku.

- Już - oznajmił.

- Dziękuję - powiedziała girlaska odwracając się znów do niego i klując dla odmiany oczy obfитоścią nagiej piersi. - Na pewno przyniesie mi pan szczęście.

To dlatego, że jestem redaktorem - zrozumiał. Redaktor wieczorową porą lepszy od kominiarza, Cygana i garbusa. Z pewnością, może być pochlebna wzmianka. Pani Conti dopijała kawę. Dymitr z należnym ukłonem podał jej różę.

- Za pani śpiew - powiedział świadomy tego, że zachowuje się jak nędzny pochlebca. - Bardzo się wzruszyłem.

- To ta „Warszawa” - westchnęła. - Strasznie wyciska łyzy. Ja sama jestem czasami bliska łez. Straciłam w Warszawie dwóch braci. I mieszkanie. Jakie meble! To nie moje miasto zostało zniszczone, proszę pana, to ja sama. Nie mówię dlatego, żeby pan o tym napisał - zastrzegła się.

Dymitr spytał:

- Pani jest Włoszką?

- Ach, Boże, sam pan wie, jak to jest. Trudno dostać engagement z nazwiskiem Krawczyk. Przedtem byłam Renny Taylor, jeszcze przedtem Françoise Germain. Ale niech pan redaktor o tym nie pisze.

- Nie jestem redaktorem - wyznał nieoczekiwanie Dymitr.

- Nie? - Piosenkarka podniosła oczy. Lekki wytrzeszcz, neurastenia, lęk, pomyślał Dymitr. Jak się to wszystko skończy,

pójdę na medycynę. - Zdaje się, że kelner... - odezwała się niepewnie.

- On sam wymyślił tego redaktora. Nie wiem dlaczego. Przyszedłem tu w innej sprawie. Przepraszam za rozczarowanie.

Uśmiechnęła się gorzko.

- Co tam, mnie już o sławę nie chodzi. Ja muszę utrzymać siebie i dzieci. Myśli pan, że mnie to śpiewanie sprawia przyjemność? Wyrosłam z tego. Może znajdzie się jakaś dobra partia, to rzucę wszystko w diabły.

Dymitr wyjął z kieszeni fotografię Justyniana.

- Zna pani tego człowieka?

Rzuciła okiem.

- Nie.

- Przychodził do Alhambry - nalegał Dymitr. Zauważył, że miedzianowłosa Aldona zostawiła girlaskę w fotelu i podeszła do nich. - Usiłował się z panią skontaktować - zaryzykował.

- Ze mną? On?! Czekał pan. - Znowu przyglądała się zdjęciu.

- Ach, to ten, jak mu tam... - Najwidoczniej nie znała nazwiska.

- Był bez okularów - podpowiedział Dymitr.

- Właśnie. Przyniósł mi kwiaty. On też. Purpurową różę. Tak jak pan. A o co chodzi?

Dymitr nie odpowiedział, Aldona stała obok przysłuchując się rozmowie.

- To było w sobotę? - spytał.

- Tak, chyba w sobotę. Mieliśmy komplet.

Aldona zmierzyła panią Conti chłodnym spojrzeniem.

- Zalecał się do pani? - spytała.

- Trochę - pochwaliła się tamta.

- Obiecywał złote góry? Wspólny wyjazd za granicę?

- Nie, nie powiedziałabym.

- Myślałam. - Miedzianowłosa dziewczyna groźnie potrząsnęła grzebieniem, na którym płątały się pojedyncze jasne włosy.

- Chciał się czegoś dowiedzieć? - dopytywał się Dymitr.

- Chciał, żebym go przedstawiła właścicielowi. Żebym powiedziała panu Batkowskiemu, że dobry znajomy.

- Zrobiła pani to?  
- Próbowałam. Przez sekretarkę. Ale pan Batkowski nie miał akurat czasu.

- Czy on rozmawiał tu z kimś jeszcze?

- Całkiem możliwe. Dziewczęta! - zawołała pani Conti. - Chodźcie tu, przyjrzyjcie się młodemu człowiekowi na fotografii. Marta! - zwróciła się do dziewczyny, której Dymitr przypinał pióropusz. - Zdaje się, że ty...

Girlsasy otoczyły Dymitra cisnąc się do zdjęcia.

- Pamiętajcie, że on był bez okularów - podkreślał Dymitr.

Marta kiwnęła głową:

- Tak, poznaję. Rozmawiałam z nim. Pieskie nasienie, też bujał, że redaktor! Sami redaktorzy się po tej Polsce kręcą.

- On naprawdę pisywał - bronił Justymana Dymitr. - Pani Marto...

- Odwał się - warknęła rozgniewana. - Przez ciebie skręć dziś nogę, na pewno.

- Mogę odczepić z powrotem pióropusz.

- Zrobisz to? Ale musisz sam.

- Zrobię. Tylko najpierw powiedz, czego ten człowiek chciał od ciebie?

Aldona mruknęła:

- Wiadomo, czego mógł chcieć taki spódniczkarz.

- Nie, wyobraź sobie - zaprzeczyła Marta. - Wyjął wieczne pióro, kawałek papieru i udawał redaktora. Zapytał, czy w lokalu jest spokój. Czy były jakieś ciekawsze draki. Wyliczyłam mu kilka małych drak, dla zamydlenia oczu, ale nie bardzo go zainteresowały.

- Jest spokój czy nie? - spytał Dymitr.

- Draki są wszędzie. Ale takich jak w Badenii, to u nas nie ma.

- I co on na to?

- Zanotował.

- Gdzie?

- Na takim kawałku papieru. (Nie ma tego kawałka papieru wśród jego rzeczy, pomyślał Dymitr. Wyrzucił go zapewne). Potem spytał, czy słyszałam o Towarzystwie Samopomocy

Obywatelskiej.

- I co pani na to?

- Że słyszałam. Mówią, że coś takiego jest i bardzo o nas dba.

Wpadł zziębnięty starszy pan we fraku, okrągły na twarzy z falującym brzuchem.

- Dziewczęta, *avanti!* - zasapał. - Marta, Klara, Sonia, - *andate!* I pamiętajcie: *uno, due, tre* - i na *quattro* przytup. *Uno, due, tre* - bęc! - wołał za wybiegającymi dziewczętami. - Żeby estrada mi się rozleciała!

Chwilę jeszcze stał próbując uspokoić oddech, potem wybiegł z garderoby kołyszając siwą, gęstą czupryną. Znam go, pomyślał Dymitr, znam na pewno. I nagle sobie skojarzył: gość, który dzisiaj rano mu się kłaniał! Gość z niemieckiego lokalu! Spokojnie, pomyślał, ukryj wzburzenie, przecież tamten nie zapierał się znajomości, przeciwnie, podkreślał ją.

Zostali w garderobie we czworo. Nina, Aldona, Dymitr - i w kącie milcząca, nieobecna jakby śpiewaczka, wciąż ze szklanką nie dopitej kawy w ręku. Nina zwróciła ku niemu badawcze spojrzenie. Po chwili rozświetlił je łagodny uśmiech.

- Boże, jaki elegancki. Powinieneś się wkręcić do dyplomacji.

- Dziękuję, ale chyba się nie nadaję. To prawdziwy Włoch, ten grubasek z lwią grzywą, czy też taki jak obecna tu pani Conti?

- Pan Dorado? Włoch. Spolszczony dokumentnie, to inna sprawa. Ten zespół girls jest jego. Wędruje z nim po Polsce. - Uśmiechnęła się. - Ma niełatwe życie, żona go pilnuje. Girlsy - to jego konik i misja życiowa. Chce nas, Azjatów, zeuropeizować. Podciągnąć wzwyż przy pomocy zgrabnych nóg. Słowo daję, że on to traktuje jako powołanie. Rytm, rytm, *uno, due, tre* - cała jego filozofia. Cóż za pusta głowa!

- On to zawsze robił? - spytał Dymitr. - Przed wojną też?

- Zdaje się, że zaczął podczas okupacji - odezwała się Conti.

- W Bodedze - wtrąciła Aldona.

- Nie, w Tivoli.

- W Tivoli i w Bodedze - powiedział Nina. - Najlepsze lokale, *nur für Deutsche*. Słyszałam, jak się chwalił.

Nie, za głupi na Złowrogiego, pomyślał Dymitr. Ale po chwili



- albo udaje głupiego.

- A ty wciąż szukasz? - spytała Nina.

- Taki mam chleb.

- Podejrzewasz pana Dorado?

- Nie - odparł zdecydowanie. - Można panie prosić do stolika? Jestem z kolegą - kusił Aldonę. - Ma pepeszę, skośne oczy i dobrze tańczy.

Miedzianowłosa dziewczyna wycierała czystą ściereczką marmurowy blat pod lustrem. Świetnie wyszkolona, pomyślał Dymitr z podziwem.

- Jedna z nas musi tu zostać - powiedziała. - Niech szefowa idzie, ja podyzuruję, niech pani posłucha trochę muzyki, odpocznie pani sobie.

„Nina i Potok przywitani się jak starzy znajomi” - opowiadał były Dymitr. „Idź, idź, potańcz sobie” - zwrócił się do córki. Żona już krążyła po parkiecie z pewnym starszym panem z pensjonatu. Przyćmione światła. Tango. „To Potok był naszym rajfurem i na widok jego nieodstępnej pepeszy Nina uśmiechnęła się do jakiegoś swojego wspomnienia. A na estradzie pociły się dziewczęta pana Dorado. *Uno, due, tre* - przytup. Dziewczęta w zgodnym rytmie europeizowały gości. Im wyżej podnosiły nogi, tym bardziej, czułem to, stawaliśmy się europejscy. Pan Dorado, stojąc obok fortepianu, przypatrywał im się z wyrazem uduchowienia na twarzy. - Były Dymitr pozwolił sobie na sarkastyczny uśmiech. - Swoją drogą, są ludzie, którzy przez całe życie przemkną się bezkonfliktowo. Ich ideałem jest blichtr. Lampion to dla nich coś fajniejszego niż półmrok, jedwab niż bawełna, zdjęcie kolorowe niż czarno-białe. Naturalnie, mogę się zgodzić, że wszyscy dążymy do komfortu, wszyscy jesteśmy sybarytami, mówię o tych, którzy są w tym pensjonacie, na tej sali - rzecz jednak w tym, co kto uważa za komfort. I jaką cenę jest gotów zapłacić. Czy płaci z własnej kieszeni, czy też opłaca swoje wygody cudzym kosztem. Groźny jest człowiek, który nagle sobie mówi: mam czterdzieści lat, a nic jeszcze nie osiągnąłem. Liczba lat jest wymienna, zależy od usposobienia. Jeśli tak sobie powie człowiek o wrażliwym sumieniu, człowiek głęboko czujący,

może pan być spokojny, że nic w jego życiu się nie zmieni, powiększy się tylko rozterka i niezadowolenie z siebie. Próba konformizmu nie da rezultatu, bo nie zostanie doprowadzona do końca. Gdzieś w momencie szczytowym, kiedy trzeba się będzie zdobyć na bezwzględność, człowiek wrażliwy się załamie i powie: nie. I być może, odzyska spokój ducha. No to nie, pomyśli, taki już jestem i z tym mi lepiej. Co innego ten, który lubi szczyrzyć zęby do własnego odbicia w lustrze. Zrobi każdą podłość bez zastanowienia się. W chwili wątpliwości chwyci się pierwszej z brzegu podsunętej sobie wersji, mogącej posłużyć za wymówkę i usprawiedliwienie. Pozwoli mu ona żyć w spokoju ducha, mało tego, być dumnym z siebie - ze swojej zręczności, prawości, lojalności. Taki szczydzi się każdym orderem i każdym wyróżnieniem, niezależnie od tego, za co i od kogo je dostał. Skoro dostał, to znaczy, że ten, który mu wyróżnienie dał, zna się na rzeczy. Skoro go wyróżniono, to znaczy, że jest lepszy od innych. Przypatrywałem się rozjaśnionemu obliczu pana Dorado, który doszukiwał się rozwiązania naszych problemów w zgodnym tupaniu siedmiu par zdrowych i zgrabnych nóg, i myślałem sobie: czemu nie on? Niezbyt lotny, owszem - ale niby dlaczego zbrodniarz ma być mądry? Występował w niemieckich lokalach, mógł mieć kontakty. Co więcej, był i teraz bardzo na linii, karmił nas ersatz-kulturą, ogłupiał, a przecież do tego właśnie dążył okupant: do ogłupienia. Dlaczego nie on? - myślałem. W notesie Justyniana była mowa o Alhambrze. Mogła to być notatka bez znaczenia, ale mogła też świadczyć, że ktoś w tym lokalu jest podejrzanym”.

- Widzisz tego grubasa? - zwrócił się Dymitr do Potoka. - Tam za fortepianem?

- Aha.

- To ten, który mi się dziś rano kłaniał. Nie przypominasz go sobie?

- Nie. Gdzie go mogłem spotkać?

- W Bodedze. Albo w Tivoli.

- Nie bywałem.

- Ja czasami. A koło nas się nie kręcił? - spytał Dymitr.

- Coś mi się nie widzi.

Dziewczęta odtupały swoje i „Szczęśliwi chłopcy” zaczęli grać do tańca. Nina spojrzała na Dymitra z ukosa. Potok mruknął:

- Dobra, dobra, jazda, pokręćcie się, ja posiedzę.

Przyćmione światła, tango. Sunęli w tłoku. Nina westchnęła i położyła głowę na ramieniu Dymitra.

- Ninka - szepnął.

- Tak, kochanie.

- Może byś rozejrzała się po sali?

- Po co?

- Poobserwować. W tańcu można to robić bezszmerowo. Zrobisz?

- Tak, naturalnie - szepnęła. Przez chwilę muskała jeszcze wargami jego szyję. Potem zauważyła z wyrzutem: - Myślisz tylko o jednym.

- Pomóż mi. To bardzo ważne.

- Dla chleba?

- Nie. Dla spokoju duszy. Powiedz: widzisz tu kogoś ciekawego?

Nina rozglądała się tańcząc.

- Nikogo. W tym mieście nie ma nikogo ciekawego.

- Czy jest Batkowski?

- Właściciel? Powinien być. - Chwilę wypatrywała, obracając się wokół Dymitra. - Jest. To ten łysy, z taką dużą, czerwoną twarzą, z tym podbródkiem, co mu opada jak u indyka. Siedzi z kimś ważnym. Tak, z samym Haworkiem.

- Z burmistrzem.

- Tak. A poza tym pan Haworek jest kierownikiem kina i właścicielem sali imprezowej. Dorado dał w niej dwa koncerty na repatriantów. Haworek pasjonuje się sprawami kultury.

- Zawisza obiecał mi do niego kontakt.

Przyjrzał się Haworkowi: pięćdziesiątka jak obszył, szpakowate, jasne włosy z głębokimi zatokami po obu stronach czoła, rozlazłość w grubych wargach i miękkim, spłaszczonym nosie, trochę mocniejszego wyrazu nadają mu wąsiki, wystrzyżone cienko jak u czarnych charakterów filmowych pochodzenia meksykańskiego.

- Haworek jest w Bagniskach bożyszczem - powiedziała.  
- Naprawdę?  
- W każdym numerze „Głosu” musi być coś o nim. Że gospodarzy, że dźwignął.

- Zajmuje się także repatriacją, prawda?

- O tak. Za to go najbardziej chwala.

Sposobność do wyjazdów zagranicznych, pomyślał Dymitr. I łatwość w organizowaniu przerzutów. Zapytał:

- Co jeszcze widzisz?

- Mojego strażnika.

- Kogo? - zdumiał się Dymitr.

- Tego, który dziś mnie pilnował. Siedzi pod ścianą, sam jeden. Tam!

Dymitr spojrział. Szczurek z odstającymi uszami. Sidorko, sprawca śmierci Justyniana! Znowu on. Ale dlaczego tutaj? Powinien być w Badenii. Przy sąsiednim stoliku ktoś uśmiechnął się do Dymitra. Czerwonowłosa mężczyzna w sportowej, kraciastej marynarce, na pewno przyciasnej, bo gesty mężczyzny były wyraźnie skrepowane.

- Mogę ci się odwdziżyć informacją - powiedział Dymitr. - Ten rudzielec to Skorpion, szef najgroźniejszego urzędu.

- Dziwne masz znajomości - powiedziała. - Czy teraz możesz mnie już przytulić?

Przycisnął ją do siebie. Szepnęła:

- Dymitr, chciałabym, żeby był chłopak. Zwariowany i zawzięty. Taki szalony jak ty.

- To dopiero szaleństwo.

- Myślisz, że się udało?

- Można powtórzyć.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Odprowadził ją do stolika.

- Tancerz, zaopiekuj się dziewczyną - powiedział. - Ja idę na pogaduszkę z Sidorką.

Potok bez słowa zdjął z oparcia krzesła automat i położył go na stole.

- Uważaj, miej na muszce całą salę - zadysponował Dymitr. - Ty, Ninko, uważaj na tę część sali, w której siedzi ten wasz cholerny burmistrz. Gdybyś zauważyła, że ktoś sięga do

kieszeni, pokaż go Potokowi.

Nina wstała i ścisnęła jego ramię.

- Dymitr - powiedziała patrząc na niego błagalnie. - Dymitr, proszę cię.

- Bez nerwów.

- Lubisz awantury, tak?

- Nie - zaprzeczył. - Lubię spokój duszy.

Sidorko samotnie sączył piwo. Dymitr zapytał:

- Ten drugi kufel dla mnie?

Sidorko podniósł szare, przymglone trochę oczy. Splunął samym powietrzem na rozczapierzoną dłoń, jak chłop, który ma się jąć cepa, i mruknął:

- Zmiataj.

- Bo siedzisz taki sam. Zawsze sam, jak potępieniec.

- Ty się ta o mnie nie troskaj. Ja sobie w życiu poradzę. -

Sidorko znowu splunął powietrzem. - Przyjdzie tu taka dziewczucha. Widziałeś, jak fikały nogami? Jedna z tych.

- Szczęściarz z ciebie.

- Takie już wzięcie. - Sidorko dmuchnął znowu. - Ty z czym do chałupy?

- Od pani Niny. Co z jej domem? Kto pilnuje?

- Jest tam jeden z rozpylaczem.

- Zbrożek.

Sidorko spojrzał zezem.

- Widzę, żeś oblatany. Ale nie, nie Zbrożek. Rudzielec by nie pozwolił. Wiesz już wszystko? No to zmiataj.

Zez szarych oczu Sidorki nie wróżył nic dobrego.

- Jestem przyjacielem Zawiszy - spróbował wyjaśnić Sidorce.

- Wiem, Dymitr.

- Skąd wiesz?

Sidorko zawahał się, nawet lekko poczerwieniał. Po chwili odpowiedział:

- Wie się wszystko.

- I po co przyjechałem też?

- Jakże, babrać się w gnoju.

- Jeśli mi pomożesz, dostaniesz dużo forsy - zaatakował znieścacka Dymitr.

Sidorko milczał.

- Ta dziewczyna jest przecież droga, może nie? - napierał Dymitr.

- Co dobre, to kosztuje - mruknął tamten.

- Artystka!

- Po ciemku to ona nie jest artystka.

- Nie chcesz zarobić?

- Spierdalaj. Ale już!

- Boisz się.

- Ja?

- Uważaj - ostrzegł Dymitr. - Jesteś na muszce.

- Kurtka! - zaklął Sidorko. Znowu dmuchnął na dłoń. Szczęśliwszy byłbyś z cepem w dłoni, w otwartej na przestrzał stodole, biedny wykolejeńcze, pomyślał Dymitr. - Czego chcesz? - warknął Sidorko.

- Chcę wiedzieć, dlaczego tu teraz siedzisz.

- Mówiłem: mam tu dziewczynę.

- Ale pracujesz w Badenii. U Zawiszy! Przyszedełś tutaj, bo myślałeś, że mnie tu nie będzie. Kazano ci mnie unikać, prawda?

- Może i prawda. To co z tego?

- Kto kazał?

- Pięć patyków - mruknął Sidorko.

- Dostaniesz je jutro.

- Nie, zaraz.

- Myślisz, że to takie ważne? Wiem, kto kazał. Jeden tylko człowiek mógł ci kazać. Ten, który wiedział, że mam być w Badenii.

- No to kto? - spytał Sidorko.

- Zawisza.

- Bystry jesteś.

- Bardziej, niż się spodziewasz - powiedział Dymitr. - Rozmawiałem z Matyniakiem. Znam z najlepszego źródła historię zamordowania tamtego faceta.

- Którego?

- Nie udawaj głupka. Tego przy kartach.

- Masz się o kogo martwić.

- To ty krzyknąłeś „strzelaj.”
- Zgadza się.
- Dlaczego krzyknąłeś?
- Miałem się dać zabić? Jak tamten wyciąga spluwę!
- Kłamiesz!

Sidorko znieruchomiał.

- Co znowu? - bąknął. - Czy sierżant nie mówił, jak było?
- Sierżant nie zna prawdy. Sierżant zna to, co mu podsunął Zbrożek, a Zbrożek zna to, co mu podsunąłeś ty.
- Jest tylko jedna prawda - upierał się Sidorko. - Wyciągnął spluwę...

- Nie.
- Wyciągnął!
- Nie. Znalaziono ją u niego w kieszeni.

Sidorko milczał. Podniósł głowę rozglądając się dokoła, jakby szukał pomocy. Już nie dmuchał na dłoń, już nie łąpał się jak za cep. Dymitr przypomniał:

- Pamiętaj, że jesteś na muszce.
- Myślisz, że ty nie?
- Przypuszczam.
- Kto ci naopowiadał tych głupstw o pistolecie w kieszeni? - spytał zadziornie Sidorko. - Baby w maglu?
- Zawisza.
- Kłamał.
- Niemożliwe! On by cię nie obciążał. Po co?
- On sam dobry. On... - Sidorko urwał.
- Dokończ.
- Idą do nas.

Zbliżył się kelner.

- Pan burmistrz prosi pana redaktora do stolika - powiedział kłaniając się.
- To ślicznie - Dymitr uśmiechnął się. - Proszę powiedzieć, że jestem w towarzystwie.

- Pani Nina już jest z panem burmistrzem.

Dymitr spojrział: Haworek nakładał Ninie sałatkę na talerz.

- Mam na myśli kolegę - powiedział wskazując na Sidorkę.
- Kolega też jest proszony.

„Znalazłem się w towarzystwie najgrubszych ryb w Bagniskach - wspominał były Dymitr i uśmiechnął się złośliwie. - Bo wkrótce dołączył do nas Skorpion. Biedny Potok siedział samotnie i toczył smętnym spojrzeniem po sali. Był bezrobotny, nikt nie sięgał do kieszeni po broń. Miałem jednak niejasne uczucie, że gdyby tak kropnąć z rozpylacza po stolikach, któryś z trafionych byłby tym, kogo trafić należało. Ci dwaj, burmistrz i jego zastępca, okazali się niezwykle serdeczni, hojni, częstowali przedwojennym gdańskim gold-wasserem. Skorpion nie odmawiał. Miał tęgą głowę, ja nie mogłem się pochwalić podobną. Piłem więc powściągliwie, mimo kąśliwych uwag dygnitarzy. Sidorko siedział ponury i jakby onieśmielony, czemu się zresztą nie dziwiłem. Rozmawiano o sprawach mało dla nas zrozumiałych: jakieś dokumenty podróży, które miał wystawić Skorpion. Nie wypadało mi pytać, skoro sami nie uważali za stosowne wyjaśnić. Dokumenty były już gotowe, jutro do odebrania. Szwecja, repatrianci. Powoli zacząłem kojarzyć.”

Dymitr wyznał szczerze:

- Chętnie bym się wybrał do Szwecji. Chciałbym zobaczyć wreszcie miasto, w którym nie ma ruin.

- To jest do zrobienia, na pewno do zrobienia - zapewniał Haworek.

- Dokumenty wystawiłem dla obydwu panów - poinformował Skorpion. - Uzgodnijcie wreszcie, który z was pojedzie.

- Obawiam się - rzekł burmistrz - obawiam się, że w najbliższych dniach nie będę mógł. Przyjeżdża delegat rządu, trzeba go przyjąć.

Batkowski zaśmiał się dobrodusznie:

- Bardzo sprytnie, panie prezydencie. Na przyjazd delegata rządu usuwa mnie pan do Szwecji. Dobrze, dobrze, pojedę, ale najpierw wygłoszę przemówienie.

Burmistrz zarumienił się, oczy mu błysnęły.

- Och, panie magistrze, bez przemówień proszę. Wystarczy przybić tabliczkę. A w ogóle nie wiem, czy wypada. Doprawdy, trochę to mnie żenuje - krygował się pan Haworek.



Dymitr wyraźnie nic nie rozumiał, więc pan Batkowski czuł się w obowiązku wyjaśnić:

- Nazwaliśmy dawny plac Ratuszowy placem Ignacego Haworka.

- Nie wiem, czy wypada - bąkał zaczerwieniony burmistrz. - Żeby tak za życia...

- A kiedy? Po śmierci? - Magister Batkowski stuknął się z nim, a potem z pozostałymi uczestnikami kolacji. - Za jutrzejszą uroczystość. Pan prezydent Haworek zrobił dla tego miasta więcej w ciągu kilku miesięcy, niż uczyniły to przedtem całe dziesięciolecia! Wróciło tu normalne życie i to, czym miasto to zawsze się szczyliło: wesołość, emocja, a przy tym porządek, opieka nad mieszkańcami. O tym właśnie będę mówił. Jego ojcowskie, gospodarskie oko... Jego samozaparcie... - Wypiwszy dokończył: - Zresztą, panie prezydencie, pan tu nie ma nic do gadania, jest uchwała rady miejskiej i kropka.

- No, to zdrowie pięknej pani - wznosił toast Haworek spocony ze szczęścia.

- Zdrowie! - odkrzyknęli chórem.

- Czy pan uwierzy - zwrócił się wiceburmistrz Batkowski do Dymitra - że ta piękna pani jest osobą, z którą władze mają najwięcej kłopotu?

- Niby dlaczego? - obruszyła się Nina.

- Dlatego, że uparcie odmawia wspomagania Towarzystwa, które, ostatecznie, jest dobrem wszystkich obywateli. Tak, że musimy panią Ninę ochraniać na własną rękę.

- Nie proszę o żadną ochronę! - zawołała Nina. - Zresztą, co to za liczba mnoga? Pan do tej ochrony ręki nie przykładą.

- Chętnie bym tu i ówdzie rękę przyłożył - powiedział Batkowski z galanterią. - Kierownik Badenii jednak mnie ubiegł.

- Jego również o nic nie proszę.

- Ale ja znam serce mojego przyjaciela, pana Zbigniewa. Padnie trupem, a nie pozwoli pani zrobić krzywdy. Dlaczego właściwie pani się upiera?

- Bo jestem za biedna. Poza tym... nie podoba mi się to

Towarzystwo.

- Ma pani rację - przyznał Batkowski. - Mnie też się coś tam nie podoba. Ale płacić trzeba, wymaga tego nasz wspólny interes. Pani daje zły przykład, zły, pani Nino, wyłamuje się pani z norm postępowania. Chociaż... Na moje wyczucie - powiedział wznosząc kielich - na moje wyczucie, coś tam jest ciemnego. Wygląda na to, jakby gangi miały powiązania z zarządem. Co pan o tym sądzi, majorze?

Skorpion, który cały czas uważnie słuchał, przerwał milczenie:

- Chyba jest pan na właściwym tropie.

- W takim razie zakład pani znajduje się w niebezpieczeństwie. - Batkowski zwrócił się do Sidorki: - Jest tam ktoś teraz?

- Jest Woźniak.

- Może posłać Zbrożka? - spytał Dymitr zwracając się do Skorpiona.

- Można - zgodził się Skorpion.

- To dzielny chłopak, majorze, prawda? - spytał burmistrz.

- Owszem, do strzelania z tyłu - wtrącił Dymitr.

Skorpion rozłożył ręce.

- W takim razie, panie Sidorko - powiedział Batkowski - powinno się tam bezwzględnie wzmocnić ochronę.

- Tak jest - odpowiedział Sidorko.

- Dzisiejsza noc wymaga szczególnej czujności.

- Dlaczego? - spytał Dymitr.

- Dlatego, że pani Nina jest z nami. Już ją tu zauważyli, jestem przekonany. Gangi mogą skorzystać z jej nieobecności, żeby bez ryzyka zdemolować zakład.

Nina wstała:

- Tak pan myśli?

- To jest prawdopodobne - odpowiedział wiceburmistrz.

- Wracam do domu.

- Po co? Niech pani siedzi z nami. Panowie, wyrównamy pani ewentualne szkody, prawda?

- Nie, to pan powinien! Pan jeden. Pan mnie tu poprosił. I jeżeli poniosę jakieś straty...

- Oczywiście - przerwał jej Batkowski. - Poczuję się całkowicie. Ale, skoro mam płacić, to wołałbym, żeby ktoś sprytny pilnował pani zakładu. Może pan, panie Sidorko?

- Mogę, czemu nie.

- Pan Sidorko ma tu dziewczynę - ujął się Dymitr.

- Nie ucieknie mu - zaśmiał się wiceburmistrz klepiąc Sidorkę po ramieniu. - Będzie na jutro jak znalazł. Może nie?

- Tak jest.

Sidorko dźwignął się z miejsca.

- A broń? - spytał Dymitr. - Gdzie broń?

- W bufecie.

- Dobry schowek - Dymitr zaśmiał się. - Aha, chwileczkę, Sidorko, niech pan nie ucieka. Mieliliśmy akurat ciekawą rozmowę, kiedy pan burmistrz zaprosił nas do siebie. Przerwaliście nam panowie w najciekawszym miejscu.

- No proszę - powiedział Batkowski. - Przerwaliśmy. O co chodziło?

- O zabójstwo w Badeni.

- Interesujące - ożywił się Batkowski. - Opowiedz pan, panie Sidorko, jak to naprawdę było, tylko nie pan nie kręć, bo coś się panu nie klei.

- Znamy to - mruknął Skorpion. - Justynian miał nieszczęście wyciągnąć pistolet. A ci chłopcy są szybcy do wykańczania.

Burmistrz kiwnął głową:

- Sprawa jasna jak słońce. Przedstawiciel władzy działał w obronie własnej.

- Nie, panie burmistrzu - powiedział Dymitr przypatrując mu się uważnie. - Justynian w ogóle nie wyciągnął pistoletu.

- Nie? - zdziwił się Haworek. - Ciekawe.

Świetnie udaje, pomyślał Dymitr. Nie udawał Skorpion: nie umiał ukryć zdenerwowania, skręcał papierową serwetkę w sznurek.

- To coś nowego - wycedził. - Skąd pan wie?

- Od Zawiszy. Pistolet leżał spokojnie w kieszeni Justyniana.

Skorpion przez chwilę mocował się ze sznurkiem. Zerwał go poczerwieniawszy na twarzy.

- Co? - zająknął się. - Co... co to znaczy? Że Justynian został zamordowany?

- Tak - powiedział Batkowski. - I to pod pierwszym lepszym pretekstem. A morderca chodzi na wolności.

Sidorko zmierzył go spojrzeniem i dmuchnął na dłoń. Zaraz chwyci za cep.

- Ja nie strzelałem - oświadczył ponuro. - Ja tylko krzyknąłem.

- To się wie, panie Sidorko - przytaknął Batkowski. - Ale ktoś musiał panu powiedzieć, że ten gość niewart, żeby go ziemia nosiła. Tak czy nie?

- Tak jest.

- Co panu powiedziano?

- Że to kapuś.

Skorpion obruszył się:

- Jak to kapuś? Justynian? Czyj kapuś?

- Gestapo.

- Ach tak, pięknie.

- Niemiecki sługus, jakże. Szuler i w ogóle. Taka była mowa. Jak będzie szurał - to w czapę.

- Coś takiego. - Skorpion zdumiony pokręcił głową. - I to o Justynianie! A kto ci tak mówił?

Sidorko przez chwilę milczał. Bawi się naszym podnieceniem, łobuz - pomyślał Dymitr.

- Kto? - nalegał Batkowski. - Gadaj pan.

- Pan Zbyszek.

- Zawisza?

- Zawisza.

Zrobiło się cicho. Słysząc było, jak Batkowski wysysa coś spomiędzy zębów. Burmistrz posapywał. Nina trąciła kieliszek, ale zdążyła go wyprostować, zanim się przewrócił. Była przerażająco biała.

- Mój Boże - westchnął burmistrz.

Skorpion zwrócił się do Dymitra:

- Co pan na to?

- Powinien pan porozmawiać z Zawiszą - odparł sucho Dymitr.

Sidorko przyłożył dwa palce do czoła.

- Mogę się odmeldować?

- Idź pan - powiedział burmistrz Haworek. - I szczęście Boże.

„The Lucky Boys pracowali uczciwie - powiedział były Dymitr i słowa jego zabrzmiały nieoczekiwanie głośno, bo w naszej sali, tej, w której słuchaliśmy jego opowieści, orkiestra przestała nagle grać i ludzie szurając przeciskali się z powrotem do stolików. - Nie tak, jak te tutaj muzykusy, które robią sobie ni stąd, ni zowąd półgodzinne przerwy. Alhambra była prowadzona ręką mocną i fachową. Jej właściciel zaprosił panią Ninę do walca angielskiego. Kołysali się w takim fioletowym półmroku i pamiętam, że pan Batkowski prowadził Ninę ze staroświecką galanterią, zmuszając do różnych zawitych przegieć i odgieć. Kolorowe pasma światła wędrowały po sali, kładły się na naszym stoliku, przyglądałem się z zainteresowaniem tęczy rozbitej na graniastej butelce gdańskiej wódki - jednym słowem, rachunek za prąd musiał być w tym lokalu nielichy, ale mnie się zdawało, że błędzę w ciemnościach. Wróg znajdował się obok. Kto nim był? Zawisza, powtarzali wszyscy dokoła, rozpięty i zdemoralizowany Zawisza. Odrzucałem tę konkluzję z rozpaczliwym uporem. Nie i nie. Miałem nawet coś niecoś na jego obronę. Bo dlaczego właśnie Zawisza podał mi prawdziwą wersję wydarzenia w Badenii? Dlaczego poinformował mnie, że Justynian miał pistolet w kieszeni? Mógł to przecież ukryć! Czyżby był aż tak nierozgarnięty, że uważał, że ten fakt jest bez znaczenia? Trzeba przycisnąć Sidorkę raz jeszcze do muru, zdecydowałem. Batkowski próbował coś z niego wydusić, Sidorko zwałł wszystko na Zawiszę, kto wie, czy po prostu im się nie wymknął. Batkowski to spryciarz i bezczelny wazeliniarz. Prawdziwą potęgą jest tu Haworek. Próbował forsować wersję, że Sidorko krzyknął „strzelaj” w obronie własnej, to go obciąża, tego pana burmistrza. Załatwia sprawy repatriacji, ma dostęp do kutrów. Ciepło, pomyślałem, ciepło: Haworek, Batkowski. A Dorado? Notatka Justyniana o Alhambrze mogła właśnie odnosić się do niego. Bodega podczas okupacji nie cieszyła się dobrą opinią. Haworek, Batkowski, Dorado. Gangi,

Towarzystwo Samopomocy Obywatelskiej, plac Ignacego Haworka. Skorpion. A może ja? Krążyłem jak po ciemnym pokoju, raz po raz uderzałem o wystający kant jakiegoś mebla, ale miałem krzepiącą pewność, że to, czego szukam, znajduje się właśnie tu, w tych ciemnościach”.

Burmistrz zapytał:

- Pan dla jakiej prasy pisuje, panie redaktorze?

Dymitr pomyślał i po chwili odpowiedział:

- Dla opozycyjnej.

Nina i Batkowski wrócili. Nina rozgrzana była tańcem, oczy jej błyszczały za lekką mgiełką alkoholu. Dymitr szepnął:

- Uważaj, nie pij.

- Tak, panie - powiedziała dygając. - Pan dyrektor świetnie utrzymuje rytm.

- Następny taniec dla mnie - zastrzegł się Skorpion.

- A pan co tańczy? - zapytała Nina.

- Kozaka - odparł Skorpion. Zwrócił się do Batkowskiego: - Kiedy przyjdzie Marta?

Batkowski dźwignął ciężką dłoń z zegarkiem.

- Jeszcze raz potupią i będzie wolna - powiedział.

Dymitr przyglądał się jego dłoni porośniętej siwiejącym włosom. Zegarek był marki Schaffhausen. Łańcuch szeroki, srebrny. Forsiasty gość, pomyślał. Solidny. Pomyślał tak z ciężkim sercem: każde skreślenie podejrzanego z listy przybliżało Dymitra do Zawiszy. Poczuł czyjąś ciepłą rękę pod ramieniem. Haworek wpatrywał się weń z całą odgórną życzliwością, na jaką stać dygnitarza.

- Napijemy się? - spytał mrugając przyjaźnie. - Proszę do barku.

Przy barku burmistrz rozpoczął monolog:

- Prasę szanujemy i doceniamy. Opozycyjna czy prorządowa - z całym szacunkiem, panie redaktorze, bądźmy ludzcy. Jak nazwisko, bo nie dosłyszałem? Ach, używa pan pseudonimu! Dymitr? Oryginalnie. Słyszałem, obilo mi się o uszy. Cytowali pana w jakimś komentarzu. Liteauer, zdaje się. U mnie pan nic nie traci, bądźmy ludzcy, opozycja jest potrzebna, na przykład Anglicy, chytry naród, mają opozycję Jego Królewskiej Mości.

Zresztą polityka, prawdę mówiąc, mnie nie interesuje, to nie jest moja dziedzina, ja jestem administrator, gospodarz, wszyscy o tym wiedzą, „plac Haworka”, słyszał pan, „plac Haworka” - kto to miał za życia? Nurmi i ktoś tam jeszcze. Za darmo się takich rzeczy nie dostaje. Jestem za podejściem konstruktywnym, za wysiłkiem gospodarczym i o tym właśnie będę mówił z delegatem rządu. Zdrowie prasy, panie redaktorze! Tak pan może napisać, proszę bardzo: burmistrz Haworek wznosił toast za prasę jako taką.

- Dziękuję w imieniu kolegów - powiedział Dymitr. - Ale ja, panie prezydencie, mam swoje własne małe pasje. I gdyby można było skorzystać z cennej znajomości...

- Oczywiście. Śmiało. Bądźmy ludzcy. O co chodzi?

- Chciałbym podróżować.

- Piękna myśl. Pochwalam. - Haworek zwrócił się do barmana: - Jeszcze raz to samo. Podróżować - powtórzył. - Popracuj pan trochę z nami, konstruktywnie, a potem coś się zrobi.

- Chciałbym pojechać z panem Batkowskim do Szwecji.

- A papiery? Potrzebne jest zezwolenie Skorpiona.

- Mogę na lewo.

Haworek przez chwilę oglądał kieliszek.

- Po co na lewo? - spytał uśmiechając się. - Grunt się pali?

- Jeszcze nie. Ale wolę nie czekać, aż się zapali. Panie prezydencie, Zawisza obiecał, że pan to załatwi.

- Zawisza gada byle co - mruknął Haworek. I dodał: - Bądźmy ludzcy.

- O Boże, czy ja go nie znam? Jest nas dwóch. Niech pan spojrzy, panie burmistrzu, ten z pepeszą pod ścianą - to mój.

Haworek popatrzył we wskazanym kierunku i skinął głową.

- Pogadamy - powiedział znacząco.

- Kiedy.

- Noc jest długa. A burmistrz też człowiek.

- Dziękuję. - Dymitr uznał, że należy przyjąć to za dobrą monetę. - A pan burmistrz się nie wybiera? - zapytał niewinnie.

- Ja?

- No tak, pan. Do Szwecji. A potem gdzieś dalej. Moglibyśmy

jednym kutrem.

- Nie rozumiem - powtórzył Haworek. - Mam przyjąć delegata rządu.

- No właśnie, delegat rządu. Początek końca, panie prezydencie! - bił bezlitośnie Dymitr. - Domy gry, Towarzystwa Samopomocy, plac Haworka, aleja Batkowskiego - przecież ta zabawa musi się kiedyś skończyć. Mały Texas.

- Jaki Texas? Wszystko legalnie i konstruktywnie. Major Skorpion jest poinformowany.

- Major Skorpion patrzy przez palce. Do czasu.

- O co panu chodzi, panie redaktorze? - spytał gniewnie Haworek. - Chce mnie pan wciągnąć w wasze opozycyjne rozgrywki? Ja się do polityki nie wtrącam. Mnie nic nie zrobią. Mam zasługi, wyłącznie zasługi.

- A co będzie, jak delegat rządu zapyta o wydział inspekcji sanitarnej?

- Nie ma u nas takiego wydziału - powiedział Haworek stanowczo. - Nie wszystko da się zorganizować od razu.

- Na pewno nie ma? - spytał Dymitr.

- Na pewno. Chyba ja musiałbym wiedzieć?

- Tak myślałem. Co prawda, gdyby był taki wydział, to też by sprawy nie zmieniło.

Barman nachylił się ku nim:

- Panie prezydencie, cocktail stygnie.

- Aha, dziękuję - odpowiedział z roztargnieniem Haworek.

- Dorzucić lodu?

- Lodu? Nie. To znaczy... daj pan. - Podniósł pucharek z cocktailem. - Pan jest obcesowy, panie redaktorze.

- Cecha zawodowa - tłumaczył niedbale Dymitr.

- I chodzi za panem taki drab z pepeszą.

- Wszystko legalnie i konstruktywnie.

- No, to co tam, bądźmy ludzcy, zdrowie prasy raz jeszcze.

- Za plac Haworka. - Dymitr nadpił zimnego cocktailu. - Polecam się pamięci, panie prezydencie. W wiadomej sprawie.

- Nie zapomnę.

Dymitr wyjął z kieszeni zdjęcie Justyniana. Przetarł serwetką wilgotne miejsce na ladzie i położył fotografię. Justynian



spoglądał ciemnymi oczyma w stronę burmistrza Bagnisk.

- Kto to? - spytał Haworek.

- Nie wie pan?

- Nie.

- Szkoda. Myślałem, że pan wie. Nigdy pan z tym człowiekiem nie rozmawiał?

- Nie. W każdym razie nie przypominam sobie. Choć wydaje mi się znajomy. Mógł mi gdzieś mignąć przed oczyma. Tutejszy?

- To ten, którego zabito w Badenii.

Haworek przyglądał się chmurnym oczom Justyniana. Okulary, pomyślał Dymitr. Okulary go niepokoją.

- Co pan tu właściwie robi? - spytał nagle burmistrz. - W czyim imieniu pan działa?

- Ja? We własnym - odpowiedział Dymitr czując, że jest szczerzy. - Tylko we własnym.

- To był pański przyjaciel? - zapytał Haworek po chwili wahania.

- Nie, on nie. Są inne względy. Trochę skomplikowane. Ale w gruncie rzeczy proste.

Haworek uśmiechnął się wyrozumiale:

- No, zaplątał się pan. Na mnie czas, trzeba wracać do towarzystwa.

- Ja zostaję. Mam słówko do barmana.

- Na imię mu Leon - szepnął Haworek, zsuwając się z taboretu. - Lubi, jak mu się mówi po imieniu. Niech się pan z tym pośpieszy, to skoczmy jeszcze na pokerka do Badenii.

Uścisnął ramię Dymitra, serdecznie i ukradkiem, jak spiskowiec. Boi się, pomyślał Dymitr. Zwrócił się do barmana:

- Panie Leonie, jeden sok grapefruitowy.

- Na rachunek?

- Nie, ja płacę. Popatrz pan na to zdjęcie. Ten człowiek był w Alhambrze.

Barman przyjrawszy się zdjęciu pokręcił głową.

- Nie widziałem go.

- Był bez okularów.

- Wiem. Znam tę historię z Badenii. Ale do mnie nie

zaglądał. Otworzę panu świeżą puszkę. Duży sok?

- Duży! - rozległ się głos obok. Dorado, szef girlasek, król życia! Pijany, ledwie trzyma się na stołku. - Dla mnie też - mówił Dorado - czyli dwa duże soki. - Uśmiechnął się do Dymitra twarzą lśniącą jak księżyc. - I żadnego płacenia, wszystko na rachunek, szef pokryje.

- Tak jest, panie Antosiu. - Barman zakręcił się jak fryga. Jego ruchy nabrały od razu płynności i wdzięku. - Dwa duże soki. Po kropelce koniaku do środka?

- Po kropelce, panie Leonie.

- Po kropelce, szef płaci - powtórzył jak automat barman. - Proszę panów!

- Nauczyłem go - powiedział Dorado przymrużywszy oko. - Nauczyłem szczerze warszawskie *bambino* obsługiwać po włosku. Jak w kawiarni Peru na via Barberini. Nauczyłem go. Umie sypać cukier - *così, guarda qui!*

Dorado usiłował pokazać, jak się sypie łąkiem cukier do szklanki, ale zręczność go zawiodła, łyżeczka przekrzywiła się w rękę i ziarenka cukru obsypały twarz Justyniana. Dymitr odmuchał zdjęcie. Dorado zerknął:

- Można?

- Po co? To nie girlsa.

- Wiem, kto to jest - mówił z trudem Dorado. - I wiem, kto pan jest. Ja wiem wszystko.

- Nie napije się pan czegoś mocniejszego? - spytał Dymitr.

- Nie, kochany, nie trzeba ze mnie robić *un pazzo*. *Allora...* cześć, Dymitr, stary, cześć, Dorado jestem. Ręka!

Dymitr uścisnął miękką dłoń choreografa.

- Pan mnie zna? - spytał zdziwiony.

- Znam. Kontaktowaliśmy się.

- Nie przypominam sobie.

- Nie bezpośrednio. Przez innych. Ale ja znam.

Boże, jaki bliski byłem wsypy, pomyślał ze strachem Dymitr.

- Przekazywałem ci informacje - mówił Dorado. - W sprawie SS Sturmbahnführera von Manetschek - ja, nikt inny, tylko ja. Przez Halinę. I kiedyście robili pułkownika Stoberga - też ja. Przez Myszkę.

- Akcja „N”? - spytał Dymitr.
- Ja. Pracowałem dla Tadeusza. Po to byłem w Bodedze. A potem w Tivoli.
- A w Alhambrze po co?
- Trzeba z czegoś żyć. To mój zawód, zgrabne nóżki.
- Dorado, rozmawiał pan z Justynianem?
- Dwie minuty.
- Czy on coś wiedział?
- Nie, nic.
- A pan coś wie?
- Nie, nic - powtórzył jak automat choreograf.
- Co pan powiedział Justynianowi?
- Żeby porozmawiał z babcią klozetową.
- Dlaczego?
- Do niej jednej można tu mieć zaufanie.
- A czego Justynian chciał od Alhambrzy?
- Szukał.
- Czegoś konkretnego?
- Nie. Zresztą może. Ja tu nic takiego nie widzę. Lokal raczej spokojny. Awanturników załatwia się szybko. Wszystko wzorowe. Szef hojny. Rachunki prowadzi pan Bednarczyk, czterdzieści lat w księgowości. Szatniarz ma dwa metry wzrostu, były zapaśnik zawodowy.
- Skąd się pan tu wziął?
- Zawisza! Polecił mnie Batkowskiemu. Znałem go trochę, Batkowskiego, poszło gładko.
- Myszka nie żyje - powiedział nagle Dymitr.
- Co? Co? - Dorado wyglądał jak obudzony z głębokiego snu.
- No tak, nie żyje - przyznał z rezygnacją.
- Zginęła w tej akcji z dokumentami pułkownika Stoberga.
- Tak, tak, pamiętam.
- Było podejrzenie, że wyspa wyszła z Tivoli.
- Tak, to możliwe. Któreś ogniwo łańcuszka musiało być pęknięte. To była jego dziewczyna, Zawiszy, ta Myszka? Opijaliśmy z nim niedawno spokój jej duszy, do białego rana, Dymitr. A co z Haliną i Tadeuszem?
- W porządku.

Chwilę milczeli. „Czułem, że zapytał o Halinę i Tadeusza specjalnie - opowiadał były Dymitr. - Zapytał, bo nie chciał, nie wypadało mu bronić się wprost. Chciał, żebym sam doszedł do wniosku, że był niewinny, skoro tamci dwoje, ważniejsi od Myszkii, wyszli ze wszystkiego cało. Przychodzi mi na myśl, że wzmianka o wspólnej pijatyce z Zawiszą też miała na celu rozwianie moich wątpliwości. Bo skoro sam Zawisza go nie podejrzewa... Ale tak już jest, że im więcej szczegółów gromadzi człowiek na swoją obronę, tym bardziej staje się podejrzany. Ten Dorado, ten lekkomyślny pajac, specjalista od poklepywania dziewczęcych pośladków - i nagle akcja «N», skrzętna konspiracja, zaciekle walka z wrogiem w samym centrum hitleryzmu. Nie, to mi do niego nie pasowało, myślałem raczej o wyspach, które stamtąd wyszły. Ten mięksisz, ten baletmistrz z falującym brzuszkiem mógł być na usługach gestapo - z samego strachu. Mógł być Złowrogim. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że jestem u mety, że dobroduszny choreograf jest tym, którego poszukuję. Wróciłem do stolika.”

- O, nabieracz! - zawołała Marta, kiedy Dymitr usiadł.

- Przez pana o mało nie skręciłem nogi. Wiesz, Adam - zwróciła się do Skorpiona - ten facet przypinał mi dziś pióropusz...

- Mać jego - zaklął Skorpion. - Z tym skurkopuszem! Tak się zaczęło ze mną...

- Żałujesz? - spytała dziewczyna. W niebieskiej sukience wydawała się mniejsza i miłsza.

- Jeszcze nie, ale niedługo będę żałował. Nie gadaj przy stole o interesach. Prosiłem.

- Kiedy on mówił, że jest redaktorem, i pytał...

- Marta! - Skorpion uderzył pięścią w stół.

- Wiecie, państwo - zwróciła się do zebranych przy stole - naprawdę to on jest łagodny jak baranek...

Dymitr ratował sytuację zdjęciem.

- Pani Marto, pytałem panią o tego pana, prawda? Nic sobie pani nie przypomniała?

- Nic.

- Pokaż pan - Batkowski wyciągnął rękę po fotografię. -

Może ja coś będę mógł powiedzieć. - Przyjrzał się zdjęciu. - Inteligentna twarz.

- Nie przypomina pan sobie?

- Nie. To ten, którego zabito w Badenii?

- Ten sam.

- Nie interesowałem się nim, bo mówiono, że chodzi o jakiegoś kapusia czy szulera.

- Bywał w Alhambrze. Ale bez okularów - zastrzegł się Dymitr. - Okulary zmieniają człowieka. - Wyjął swoje i nałożył.

- Jak się państwu podobam? - spytał zerkając na Batkowskiego.

- Pan też wygląda interesująco - powiedział właściciel Alhambry. - Całkiem możliwe, że nie poznałbym pana, gdybym przedtem raz tylko go zobaczył.

- Ten „szuler” chciał się do pana dostać - mówił Dymitr. - Miał jakiś interes.

- Do mnie? Na pewno nie chciałem go przyjąć. Można mieć pokaźne dochody, prowadząc porządny lokal bez konszachtów z szulerami. Czy meldował się przez sekretarkę?

- Tak, pani Conti go przyprowadziła.

- I co?

- Nie miał pan czasu.

- Aha. No, to chyba tak było. Ale może ktoś go jeszcze tu widział? - Batkowski zawołał kelnera. - Panie Stefku, popatrz pan na tego gościa. Pamięta go pan? Był bez okularów.

Kelner odpowiedział:

- Pamiętam. Goście często do obiadu zdejmują okulary, na przykład kiedy jedzą gorącą zupę, szkła im za chodzą mgłą, a kelner widzi: był gość w okularach i już jest jak każdy inny przeciętny klient. Ja do takich zmian jestem przyzwyczajony. Był ten gość w sobotę wieczór i różyczkę zaniósł do pani Conti. I był w niedzielę, na obiadku.

- Z kim jeszcze rozmawiał?

- Nie wiem, panie szefie. Może z babcią, bo zszedł na dół do męskiej ubikacji, za przeproszeniem pań.

- Zejdzie pan na dół? - spytał Batkowski.

Haworek roześmiał się.

- Co ta idiotuńcia może panu powiedzieć? A zresztą nie ma

pośpiechu, babcia nie zając. Czuję, że major miałby ochotę na pokerka. Ja też.

- A ja zagram w ruletę - powiedziała Nina. - Co się tak gapisz? Zdejm te okulary, bo cię postarzają. Chciałabym coś wygrać, przydałoby się. Wiesz co? Będę grała za twoje pieniądze. Wygrana na połowę!

- Już czuję, że się wzbogacę - powiedział Dymitr wstając.

Dał znak Potokowi, żeby za nim szedł.

- Nie będę nigdzie chodził bez obstawy - mruknął do Niny. - Nigdzie. - Szepnął: - Za dużo wiem.

- Tyle co Justynian? - spytała trwożnie.

- Chyba nie. Ale jest tu ktoś, kto myśli, że wiem tyle albo i więcej.

„Kim jest ten ktoś, nie wiedziałem - mówił były Dymitr. - Ale to musiał być jeden z nich: Dorado albo Haworek. Albo Batkowski. Albo kelner. A może barman. Pozostawał jeszcze Zawisza - i on jeden był nie do przyjęcia.” Mężczyzna przerwał opowieść i przymknął oczy. „Zawisza - powtórzył nie otwierając powiek. - Zawisza.”

## 14

Był inny. Miał na sobie czarny smoking z błyszczącymi klapami, twarz wygoloną i odświeżoną, jakby ją ktoś zdążył od rana naprostować. Był uprzejmy, nawet ugrzeczniony, co Dymitrowi wydało się przykre. Wolał to jego „batożę”, wolał kawaleryjską wylewność i brutalność. Pachniał dość natrętnie wodą kolońską. Przeprowadził gości przez amfiladę zadymionych pokoi, ażeby u jej końca otworzyć przed nimi drzwi tego samego salonu, w którym zginął Justynian. Czerwone fotele, czerwone obicia na ścianach. Tylko stolik do gry i stół ruletowy były pokryte obowiązującym zielonym sukmem. Zawisza położył na stole dwie nowiutkie talie kart. Burmistrz, Batkowski i Skorpion zgłosili się do pokera.

- A ty? - spytał Zawisza Dymitra.

- Ruletka - zdecydował Dymitr. Pomyślał, że poker wymaga zbyt wiele uwagi, podczas gdy ruletka kręci się sama.

O wygranej zawiadomi go krupier.

- Stawiasz na kobiety - mruknął Zawisza. - Jak zwykle - dodał.

Dymitr nie odpowiedział. Kiedy, pomyślał, kiedy, do diabła, stawiałem na kobiety? Tak się tworzą legendy. Jedno słowo, jedno fałszywe skojarzenie. I nie ma siły, żeby to zmienić. Stał pochylony nad stołem ruletkowym w otoczeniu trzech kobiet, to prawda. Po prawej stronie Nina, po lewej Aldona, naprzeciw Marta.

- A ty, Tancerz? - zwrócił się Zawisza do Potoka.

- Ja pokibicuję - odparł Mongoł i cofnął się pod ścianę. Siadł, rozkraczył nogi, położył pepeszę na kolanach. Pod przeciwległą ścianą, też z automatem na kolanach, siedział na wpół umundurowany Zbrozek.

- Ja z panami - powiedział Zawisza. - Koniaczek? - spytał majora.

Skorpion skinął przyzwalająco głową. Obejrzał uważnie karty, a potem przekazał je Batkowskiemu.

- Zdaje się, że karty w porządku - zawyrokował.

- W porządku - potwierdził Batkowski.

- Jestem na procencie od banku - objaśnił uprzejmie i z odrobiną ironii Zawisza. - Nie muszę naciągać. Chyba że krupier. - Zawołał: - Ej, ty, Dymitr, uważaj! To nie jest gra dla frajerów!

„Usiłował mnie zranić” - wspominał były Dymitr. Siedzieliśmy na opustoszałym, pogrążonym w mroku moło, opatuleni w płaszcze. Wilgotny, ciepły wiatr owiewał nam głowy. Nasze panie poszły już spać i tylko my dwaj, narrator i ja, jego słuchacz, siedzieliśmy tutaj, pośród bulgoczącego morza. Kazano nam się dotleniać. Cóż, panowie w pewnym wieku mają obowiązki wobec siebie samych. W półmroku, rozświetlanym rytmicznie błyskami dalekiej latarni, w ciszy, w której dochodziło półgłosem mlaskanie fal o filary mostu, dobrze się słuchało długiej i egzotycznej opowieści. Były Dymitr zapatrzył się w daleką latarnię morską, zupełnie jakby chciał obliczyć jej tętno, rytm rozbłysków i zagaśnień, ale kiedy lekki wiatr przywiał strzępy uderzeń w bęben (gdzieś jeszcze się

bawiono, gdzieś jeszcze ktoś nie miał dosyć), były Dymitr ocknął się ze swojego zapatrzenia i podjął opowieść. „Usiłował mnie obrazić. Był wrogo nastawiony. Nie od razu zrozumiałem, dlaczego. Nagle mnie olśniło: Nina! Przyszedłem z kobietą, którą chciał zdobyć, którą może kochał. Widział, jak wyjąłem z kieszeni nie mniej niż dwadzieścia tysięcy złotych, wręczyłem je Ninie i powiedziałem: masz, przegraj. Tak właśnie powiedziałem. Odwrócił się chmurny. Dotknąłem dłoni, w której Nina ścisnęła moje pieniądze, i czułem, że ogarnia mnie podniecenie. Erotyczna symbolika prezentów odkryła się przede mną z całą siłą. Zrozumiałem, co oznacza biżuteria, futro, kwiat. Wiadomo, że kobiety lubią dostawać kwiaty i dużo jest powodów, dla których uwielbiają właśnie kwiaty, niektóre z tych powodów mają zapewne podłoże biologiczne, jakies pozarozumowe związki z barwą, zapachem, kwitnieniem, ale mogą być też powody inne, taktyczne, może otrzymując kwiat czują się obdarowane, a jednocześnie nie zobowiązane do niczego. Nina dotknęła mojej dłoni i jestem pewny, że odczuła to samo, co ja. Zawisza, chmurny, zasiadł do zielonego stolika. Zaczął tasować karty.”

Siedziało ich czterech przy tym stoliku, czterech pokerzystów. Haworek. Skorpion. Batkowski. Zawisza. Któryś z nich mógł być Złowrogim. Dymitr mało zajmował się kołem ruletki, obserwował tamtych. W pokerze najwięcej szans ma ten, kto umie bluffować. Nie wolno zdradzać się niczym. Trzeba pokazywać zimną, obojętną twarz. Nieodgadnioną twarz człowieka o podwójnym myśleniu. Haworek: spokojny, zawsze równie życzliwy, dygnitarski, odgórny. „Bądźmy ludzcy” - powiedział sobie i przybrał określoną minę raz na zawsze. Uśmiechnięta maska. Pod tą maską może kryć się wszystko. A na zewnątrz - automat. Zaczerwienił się tylko w restauracji, kiedy mowa była o placu Ignacego Haworka. Tutaj, przy pokerze, nie czerwieni się. Zbiera pieniądze i wypłaca pieniądze z jednakową, życzliwą obojętnością. Czyżby on? Bo nie Skorpion, nie, to nie pokerzysta, podnieca się, denerwuje, wykrzykuje: mać jego. Kiedy bluffuje, robi to z tak chytrą miną, że wiadomo, iż bluffuje. Skorpion, który kwaterował



w niejednej celi więziennej, bił się w Hiszpanii, prowadził kompanię do ataku na bagnety, skakał ze spadochronem do leśnych, a teraz był szefem urzędu - tutaj, przy tych wygach, był jak nowicjusz wobec wytrawnych dyplomatów, namiętny, spontaniczny, cały na wierzchu. Zresztą, nie ulegało wątpliwości, że tego rodzaju hazard był mu obcy, zasiadał do stolika dlatego, żeby nawiązać „kontakt”, dla łatwiejszej penetracji. Batkowski, ten przynajmniej się grą nie przejmował. Nie dbał nawet o zachowanie pozorów. Interesował się głównie koniakiem i z ukosa zerkał na ruletę. Przegrywał z ojcowską wyrozumiałością dla zwycięzców. Grał jakby z nudów, nie demaskował się specjalnie, ale też nie usiłował bluffować, nie przyciskał do muru przeciwników. Rzucił karty i jęczał: „panowie, poddaję się.” Raz przegrał plik banknotów nawet do Skorpiona. Nie stracił humoru. Mruknął do Zawiszy: „Majorowi leci dziś karta.” Zawisza milczał. Tasował karty. Z tych czterech on, Zawisza, pokazywał oblicze najbardziej kamienne. Wystarczyło, że wziął karty do ręki, a spojrzenie jego stawało się zimne i twarde. Odkrywał kartę po karcie z twarzą niewzruszoną. Nikt się nie domyśli, co czuje i co zamierza. Zawisza! Nawet Haworek mu w tym nie dorównał. On jeden, Zawisza, był naprawdę nieodgadniony. „On jeden był *poker-face* - słyszałem głos mężczyzny na molo. - Przyglądałem mu się i czułem, że krew, jak to się mówi, ścieka mi do serca. Musiałem być szatańsko błady. Aldona, to dziewczę o ludzkich odruchach, podsunęła mi koniak. Wypiłem. Popatrzyłem na Zawiszę - oglądał właśnie nową kartę, oczy miał zimne, nieprzeniknione - i nagle przypomniałem sobie, skąd znam takie właśnie jego oczy. Było to przed jakimś zadaniem. Posyłał mnie i Myszkę. Siedzieliśmy w kawiarni, otaczali nas ludzie, którym mogło się wydawać, że mówiliśmy o pogodzie. Pójdziecie tu i tu, powiedział do mnie i do Myszki, którą kochał, staniecie tam i tam, zajedzie dorożka numer taki i taki, wsiądziecie do niej i pojedziecie, dokąd was zawiezie, tam będzie czekał listonosz - jeszcze trochę tak mówił, a potem: zameldujecie o wykonaniu - jeśli przeżyjecie. Mówiąc popijał zbożową kawę i zajadał pączek. Przypomniałem sobie teraz

jego oczy, sposób, w jaki spojrział wówczas na mnie i na Myszkę. Zimne oczy urodzonego konspiratora.”

- Dymitr - odezwał się Zawisza - możesz na słóweczko?

Upychał po kieszeniach banknoty. Zebrał ich sporo, pokerzysta zwycięski, trochę też zgarnął ich Skorpion. Batkowski i burmistrz przeszli do rulety i kobiety na ich widok ożywiły się, nie lubiły gry bez udziału mężczyzn.

- Pójdziemy do mnie - powiedział Zawisza. - Zobaczysz, jak mieszkam.

Boczne drzwi prowadziły do jego prywatnej sypialni. Była duża, zagracona starymi, ciemnymi meblami. Usiedli na ozdobnym łóżku z mosiężnymi okuciami. Różia, jak zwykle w czarnym fartuchu z białą zapaską, wniosła tacę z wódką i zakąskami. Zawisza wskazującym palcem dotknął pełnego kieliszka.

- Ten twój. Nasze, Dymitr. Niech cię diabli.

Dymitr wypił.

- No i jak? - spytał Zawisza mrużąc jedno oko.

- Mam dosyć - odpowiedział Dymitr.

- Przegryź. Ogórkiem. Zapij wodą. To borżomi, z sowieckiej komendy. Najlepsze na kaca. No jak?

- Lepiej.

- Trącimy jeszcze po jednym?

- Nie.

- To ja sam.

- Ty też nie.

Zawisza uśmiechnął się.

- Masz rację, jestem na służbie. Cholerna praca. - Przeszył Dymitra złym spojrzeniem. - Dobrałeś się do mojej kobiety, Dymitr.

- Nie wiedziałem, że to twoja - powiedział Dymitr. Ogarniało go odrętwienie. To wódka, myślał, wódka i to wszystko, w co się wplątałem. Zawinił, niewątpliwie. Zawinił wobec Zawiszy, swojego dowódcy, nauczyciela. Usprawiedliwiał się przed nim jak uczeń przyłapany na ściąganiu. Czuł, że zachowuje się jak szczeniak, mężczyzna powinien stawić czoła rywalowi, bronić swojej zdobyczy, tymczasem, on, Dymitr, w niektórych kręgach

bardziej legendarny od samego Zawiszy, tłumaczy się, wykręca, błaga o przebaczenie.

- Teraz wiesz - mruknął Zawisza.
  - Teraz tak.
  - No to co zrobisz?
  - Jeszcze nie pomyślałem.
- Zawisza chwilę milczał.
- Spłyniesz stąd? - spytał wreszcie.
  - Tak.
  - Rozmawiałeś z burmistrzem?
  - Rozmawiałem. Obiecał załatwić.
  - Ona zostaje?
  - Zostaje, tak.
  - Nie mówiła ci nic o mnie?
  - Nie, nic - skłamał Dymitr.

Zawisza dźwignął się z łóżka, chwiejnym krokiem przeszedł pod przeciwległą ścianę. Stał tam nieruchomo i mogło się wydawać, że chce, aby Dymitr myślał, że przygląda się obrazowi Matki Boskiej Ostrobramskiej. Ale Dymitr wyobrażał sobie, że Zawisza stoi z przymkniętymi oczyma, a spod powiek ciekną mu łzy.

- Przy niej - powiedział cicho Zawisza - przy niej mógłbym zapomnieć.

Serce tłukło niemiłosiernie. Zapomnieć - o czym chciał zapomnieć? O Myszce, zrozumiał Dymitr. Doszedł go znowu cichy głos Zawiszy:

- Ale czy wolno zapomnieć? Wolno? Odpowiadaj!

Dymitr westchnął.

- Czego ode mnie chcesz? Rok ma trzysta sześćdziesiąt pięć dni. Wystarczy pamiętać przez jeden dzień w roku... Reszta należy się żywym.

- Toteż ja żyję, Dymitr. Żyję - jeszcze jak. Ma się krew, podniebienie, jądra, wszystko, co człowiekowi dane. No, to chce się robić to wszystko, do czego człowieka pcha życie. - Odwrócił się nagle od ściany, oczy miał suche i bezwzględne. - Nie powinniśmy byli pozwalać na to naszym kobietom. Żadnych bohaterstw. Powinniśmy je byli chronić. Posadzić

przy kołowrotku i niech przędą len.

- Mówisz jak kawalerzysta.

- Dobrze mówię! Dymitr, to nieprawda, że nie mogę o niej zapomnieć. I to jest najgorsze. Nie męczy mnie wspomnienie żadnej rozkoszy, żadnego szaleństwa. Była ze mną nieporadna, bierna, cicha, nie potrafię sobie nic przypomnieć.

- Była dzielna - wstawił się Dymitr.

- Tak, dzielna. Dlatego posłałem ją na śmierć. Gdyby kochała kogoś innego, jakiegoś kupczyka na przykład, byłaby przeżyła. Dymitr, a jaka jest Nina? Ogień, prawda? - Chwyił Dymitra za rękę. - Ty przecież wiesz! Nie ukrywaj! Powiedz: jaka jest?

Dymitr poczuł, że na czoło występują mu krople potu.

- Jest kobietą - powiedział odtrącając dłoń Zawiszy. Otarł pot z czoła. - Kobietą - powtórzył. - I ma prawo do swoich tajemnic - zakończył.

Zawisza milczał. Dymitr krążył po sypialni między obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej na jednej ścianie, a pociemniałym portretem kobiety w czerwieni, w owalnych, złoconych ramach, nad łóżkiem. Zatrzymał się przy stole.

- Posłuchaj - zaczął Dymitr. - Dowiedziałem się kilku rzeczy, które może są nie bez znaczenia. Dowiedziałem się, że nieznani sprawcy pozbawili Justyniana okularów. Podali się w hotelu za pracowników wydziału inspekcji sanitarnej, ale nie ma w Bagniskach takiego wydziału.

- Ty wciąż wężysz?

- Masz coś przeciwko temu?

- Tak! Mam!

- Czy dlatego ukrywałeś przede mną Sidorkę?

- Tak, dlatego.

- Zbyszek, ta historia z Sidorką stawia cię w dwuznacznym świetle.

- Batożę - warknął Zawisza. - Nie lubię wężenia. Słuchaj, stary, to jest gnojówka, te nasze Bagniska, perfumowane szambo, ale nasze, własne, miejscowe - i nie pchaj do niego nosa, bo nie zniesiesz zapachu.

- Kazałeś Sidorce iść do Alhambry?

- Kazałem. On tam zresztą ma dziewczynę.
- Bądźmy ludzcy, jak mówi Haworek.
- Właśnie.
- A ja byłem w Alhambrze i rozmawiałem z Sidorką.
- Nie ma tragedii - zlekceważył to oświadczenie Zawisza. -

Pozwolisz, że się jednak napiję?

„Nie wydawał mi się zaniepokojony” - wspominał pan na molo. Opatulił szalikiem szyję. Gdzieś daleko zabrzmiała syrena statku. Morze po staremu belkotało wokół nas, poza tym było cicho, nie donosiły się już żadne strzępy muzyki. „Był spokojny jak przedtem, podczas gry w pokera. Jego oczy nie były już co prawda zimne, twarde, skupione, gra Zawiszy wydawała mi się teraz bardziej mistrzowska, migotało w jego oczach coś wesołego, błyski rozluźnienia. Czy miałem mu powtórzyć zeznanie Sidorki? Czy miałem dodać, że złożył je na domiar przy świadkach? Postanowiłem zamilczeć. Czekać, powiedziałem sobie, trzeba czekać”.

Zapukano. Weszła Nina. Twarz miała jakby zsiniałą, przenosiła roztargnione spojrzenie z Zawiszy na Dymitra, nagle zauważyła tackę, spytała, czy można, i spróbowała nalać sobie wódki, ale ręka jej dygotała. Zawisza napełnił jej kieliszek. Podniosła go do ust i nagle odstawiła.

- Dymitr - powiedziała. - Dymitr, kochanie, wybaczysz mi?
- Co się stało?
- Przegrałam wszystko - jęknęła i rozplakała się.

Usadowił ją na krześle, szepnął:

- Może jednak wypijesz - gładził po włosach, ale nie mogła się uspokoić, płacząc tuliła do siebie jego dłoń i obsypywała ją pocałunkami.

- Wybaczysz mi? - szlochała. - Wybaczysz mi?
- Przecież po to ci dałem te papierki, żebyś je przepuściła.
- Tak, ale ja wiem, wiem dobrze, że to nie twoje pieniądze.

Podał jej chusteczkę.

- Wytrzymaj buźkę - powiedział. - Wszystko będzie dobrze.

Pomyślał: będzie dobrze - pod warunkiem, że chwyć Złowrogiego. Przeraziło go przypuszczenie, że jest może bliższy odkrycia zbrodniarza, niżby się zdawało. Zawisza odezwał się:

- Dymitr, ona ma rację.
- Ma czy nie ma, najważniejsze, żeby nam nie beczła.
- Nie beczę - powiedziała - widzisz przecież.

Zawisza podsunął jej szklaneczkę borżomi.

- Pij, to cuchnie, ale dobrze ci zrobi. Dymitr, kobieta ma rację, przegrała nie twoją forszę. Ale to nic, zwrócę ci ją do kasy.

- Nie musisz się wylizywać?

- Batożę.

- Ja też - odparł Dymitr. - Złapię Złowrogiego i gotówka jest moja.

- Nie złapiesz żadnego Złowrogiego - powiedział stanowczo Zawisza. - Jutro odpłyniesz do Szwecji. A ja odeślę tamtym forszę.

- A co ze Złowrogim?

- Zdaj to na mnie! Przekażesz mi wszystko i ja poprowadzę dalej robotę.

Wszystko, pomyślał Dymitr. Także Ninę. Siedziała w ponurym zamyśleniu. Nigdy cię nie zechce, nigdy, myślał Dymitr, ona chce zdrowego, młodego człowieka, nie rewolwerowca, nie alkoholika, na to jest za mało romantyczna, za mało egzaltowana, potrafi być żoną, matką, kochanką, ale nie chce być pielęgniarzką. Widziała go pewnie kiedyś w okropnym stanie, domyślał się Dymitr, musiała się przerazić piekła, które ją z nim czeka. Może wzbudził w niej wstręt...

O tym myślał przesuając się przez zadymione pokoje Badenii do telefonu, do którego zawołał go Potok. Wzbudził w niej wstręt, Zawisza, mój dowódca, myślał ze współczuciem. Musi mnie nienawidzić, zraniłem go, ze mną było jej dobrze, on o tym wie, domyśla się, to go doprowadza do rozpacz, dlatego chciał się wedrzeć w intymne szczegóły naszego życia. „Co miałem robić? - pytał na molo pan otulony szalikiem. - Już raz mi dał po mordzie, zaraz na wstępie. Mógł dać drugi raz. Był moim dowódcą i bożyszczem, zdradziłem go, miał prawo. Ale nie mogłem rozkazać kobiecie: kochaj mego dowódcę. Szedłem do telefonu, myśląc o tym, że przecież zostawiłem ich sam na sam, mogli sobie coś niecoś wyjaśnić. Dopiero znalazłszy się w holu i zobaczywszy odłożoną słuchawkę,

pomyślałem zaintrygowany o samym telefonie. Kto, u diabła, mógł dzwonić? Wszyscy, których w tym mieście znałem, znajdowali się ze mną w Badenii”.

Dzwonił Dorado.

- Dymitr? *Sono io* - mówił choreograf usiłując opanować czkawkę. - Stało się coś. Powiadam: stało się. Dużo szyb trzasnęło.

- Czy pan jest trzeźwy?

- Najzup... Mniej więcej. - Mówienie sprawiało mu trudność. Starał się nadać swoim słowom rzeczową zwięzłość. - Dzwoniła do nas matka pani Niny. Był napad.

- Napad?

- Klasyczny. Na ich zakład. Stara nieprzytomna. Gdzie córka?

- Jest z nami.

- Tak jej powiedziałem. Poszły szyby i lustra. I jakiś człowiek leży na podłodze.

- Trup?

- Tak mówi stara. Niech pan tam leci.

- Lecę. Dziękuję panu.

Dorado, pomyślał Dymitr z wdzięcznością. Skreślony z listy. Odwrócił się: zobaczył Skorpiona w rozmowie z milicjantem. Obok stał milczący Potok, z przewieszoną przez ramię pepeszą.

- Majorze! - zawołał Dymitr. - Słyszał pan?

- Tak, już wiem - odpowiedział Skorpion. - Jadę willysem.

- Mogę się z panem zabrać?

- Proszę. Zaleszczak, ściągnij doktora. - Skorpion powiedział do Dymitra: - Podobno jest trup.

- Właśnie. A trupy lubią mówić.

Dymitr rozejrzał się. Zbrożek znajdował się obok gotów do wykonania jego poleceń.

- Panie Zbrożek!

- Tak jest.

- Zawiesz jest u siebie z panią Niną - powiedział cicho Dymitr. - Zawiadomcie burmistrza i pana Batkowskiego. My suniemy przodem.

Brodzili pośród odłamków szyb i luster. „Nie należało to do przyjemności - wspominał opatulony szalikiem pan. - Pod nogami chrzęściło szkło, a ja, jak pan sobie zapewne przypomina, mimo swojego wizytowego garnituru obuty byłem w gumowe tenisówki”. Mój sąsiad ożywił się, na chwilę rozchylił nawet szalik. Srebrny rogalik księżycy wysunął się spoza chmury i wydobył z mroku fragment twarzy byłego Dymitra. Był to zapewne skutek ułożenia się cieni, że twarz jego utraciła swoją krągłość i fałdzistość, zaostrzyła się i odmłodziła, i mogłem nareszcie uwierzyć, że należała do tamtego Dymitra, z legendy i opowieści. Zobaczyłem ją. Nareszcie. „Pamiętam - opowiadał, a głos jego też wydał mi się jaśniejszy i młodszy - pamiętam dobrze, że Skorpion depcząc po szkle mruknął: - Robota jakiegoś szklarza, Dymitr, tylko szklarz może na tym coś zarobić. - Przez rozbite okna zawiewał do gabinetu zimny i wilgotny wiatr. Na górze nad nami ktoś niepewnie człapał. Stara pani, domyśliłem się, stara, przerażona kobieta, matka Niny. Poprosiłem Skorpiona, żeby posłał Zbrozka na górę, by się nią zaopiekować. Tancerz z automatem ubezpieczał nas od ulicy.”

- Mać jego - zaklął Skorpion oświetliwszy elektryczną latarką zdemolowany gabinet.

Trup leżał na brzuchu, pomiędzy wywróconymi fotelami. Dłonie miał rozcapierzone na odłamkach szkła. Dymitr nachylił się, zobaczył znajome odstające uszy.

- Sidorko? - spytał.

Skorpion uniósł głowę zmarłego.

- Sidorko - potwierdził.

- Wygląda, jakby padł w biegu.

- Tak, te ręce - zgodził się Skorpion. - Albo jakby go ktoś popchnął z tyłu.

- Dosyć dziwne.

- Mało tu dziwnych rzeczy? - mówił Skorpion. Oglądał zwłoki Sidorki. - Strzelano do niego z tyłu.

- Znowu!



- Spokojnie - pohamował Dymitra Skorpion. - Zbrożek był z nami. Słyszysz pan? - spytał.

Od ulicy zbliżały się głosy i kroki. Skorpion zgasił latarkę. Nagle ciszę rozdarły strzały. Ktoś krzyknął. Skorpion pchnął Dymitra na ścianę, chwilę odczekał i wyskoczył do ogródka. Znowu rozległy się strzały. Potem znów krzyk, ten sam, przerażony kobiecy głos:

- Nina, na pewno ona! - Strzelanina na ulicy była rzadka i bezładna. Mężczyźni nawoływali się. Zagdakała pepesza. Potok na stanowisku, pomyślał Dymitr. Nad uchem boleśnie gwizdnęło, rozleciały się resztki lustra. Dymitr przywarł plecami do ściany. Gwizdnęło jeszcze raz i drugi - i szkło szczęknęło. To we mnie, zrozumiał i odruchowo sięgnął ręką do kieszeni. Ale nie miał pistoletu, sam z niego zrezygnował. Był bezbronny.

W ciemności rozległy się kroki. Po chwili Dymitr usłyszał głos Zawiszy:

- Hej, kto tam jest?

- Ja - odezwał się Dymitr i wyszedł z ukrycia. Zawisza stał na progu z pistoletem w dłoni. Dyszał ciężko.

- Uciekł mi - wykrztusił.

- Kto?

- Jakiś facet, który strzelał z sąsiedniego ogrodu.

- Kto strzelał? Po co? - pytał nerwowo Dymitr. Myślał: ty strzelałeś, to pewne.

- Nie wiem - powiedział Zawisza. Zawołał: - Panie Batkowski!

- Idziemy, idziemy - usłyszeli głos właściciela Alhambry.

Po chwili w gabinecie zrobiło się tłoczno. Była Nina, był Skorpion, Haworek, Batkowski, Zaleski i kilku milicjantów. Potok pozostał na czatach. Skorpion oświetlił latarką wnętrze gabinetu.

- Proszę - powiedział. - Czysta robota. - Snop światła snuł się po pustych ramach lusterek, po rozsypanych odłamkach szkła, aż dopełznął do odstających uszu Sidorki. - A to trup.

Nina krzyknęła. Dymitr objął ją i szepnął:

- Odprowadzę cię do mieszkania.

- Nie.  
- Musisz odejść. Musisz iść do mamy.  
- Tak, do mamy, tak - zgodziła się. - Nie! - zawołała nagle i wyrwała mu się. Podeszła do Batkowskiego. - Pan mi za to wszystko zapłaci! Pan obiecał!  
- Nie myślałem... - próbował się bronić Batkowski.  
- To nieważne, co pan myślał. Niech pan popatrzy, co mnie spotkało. Niech pan spojrzy! Gdybym siedziała w domu, nie ośmieliliby się... Oczy bym im wydrapała!...  
- Trzeba było dawać na Towarzystwo.  
- Pan się teraz wykrecą! Pan nie jest dżentelmenem!  
- Pani się myli, jestem... jestem... zapłacę, naturalnie. Proszę się do mnie zgłosić, dam kwit do kasy, proszę bardzo.  
- Kiedy? - pytała nieustępliwie.  
- Jutro w południe. Słowo się rzekło - powiedział pan Batkowski.

Dymitr odciągnął Ninę.

- Idź na górę - szepnął. Zawołał Potoka: - Zaprowadź panią do mamy. I zwolnij Zbrożka. - Ścisnął jej dłoń. - Ja zaraz przyjdę.

Po jej odejściu Skorpion przywołał doktora. Był to starszy człowiek, niski i chudziutki. Podczas gdy lekarz oglądał zwłoki, a potem, przy pomocy latarki, badał miejsce wokół zwłok, Dymitr wyszedł ze Skorpionem do ogrodu.

- Strzelano do mnie - szepnął.  
- Kto?  
- Nie wiem. Ktoś skorzystał z zamieszania, żeby oddać do mnie trzy strzały.

- Podejrzewa pan kogoś?

Dymitr nie odpowiedział.

- Mać jego - zaklął Skorpion.

Wrócili do gabinetu.

- Panowie - oznajmił głośno major - do tego młodego człowieka strzelano z ulicy. Mógł to zrobić ktoś nieznany, mógł to być ktoś z nas, kto brał udział w strzelaninie. Ja też strzelałem. Zacznę od siebie. Mam pistolet „TT”, oddałem cztery strzały. Czy zechcą panowie obejrzeć moje „TT”?

- Ależ co tam, panie majorze - obruszył się burmistrz.  
- Nie ma „co tam” - powiedział Skorpion. - Każdy z nas mógł strzelić.

- Racja - rzekł Zawisza. - Dawaj, Skorpion, pistolet. Ja obejrzę. - Wyjął magazynek. Przeliczył na boje. - Zgadza się - powiedział. - Brak trzech plus jeden w lufie, razem cztery.

- Dobrze, teraz ty - powiedział Skorpion chowając swoje „TT” do marynarki. - Strzelałeś?

- Strzelałem. Trzy razy - powiedział Zawisza.

- Tyle, ile wymierzono w Dymitra. A z jakiej broni?

- Parabellum.

- Poszukamy kul w tym gabinecie i porównamy. Pan Batkowski ma pistolet?

- Tak, parabellum - powiedział właściciel Alhambry dobywając ciężkiej sploty.

- Strzelał pan?

- Sporo. Myślę, że oddałem cztery albo pięć strzałów.

- Niech pan policzy.

Batkowski wyjął magazynek z pistoletu. Przeliczywszy naboje powiedział:

- Pięć.

Skorpion wziął od niego pistolet i sprawdził.

- Pięć - potwierdził i zwrócił się do Haworka:

- Obywatel burmistrz strzelał?

- Nie, nie mam pistoletu.

W drzwiach stanął Zbrożek.

- Obywatelu majorze - zameldował - popatrzcie, co znalazłem w ogródku.

Haworek był bliżej niż major.

- Co takiego? - zapytał wyrывая Zbrożkowi z rąk czarny przedmiot. - Piękna historia! - Pokazał zebrany pistolet systemu parabellum. - Piękna historia. Ktoś rzucił pistolet, tak?

- Musi tak - potwierdził Zbrożek. - Leżał pod krzaczkiem, nawet nie całkiem płasko, tylko nieco stojący, pewnie padając zaczepił o gałązki.

- Mać - zaklął Skorpion. Szepnął do Zawiszy: - Teraz to już muszą być na nim ślady palców burmistrza, straciliśmy dowód.

- Spytał głośno: - To nie pański pistolet, obywatelu burmistrzu?
- Nie, ja nie mam żadnej broni, mówiłem już.
- Skorpion przejął z jego rąk znalezione parabellum. Obejrzał je dokładnie.
- Wystrzelono trzy razy - powiedział. - Tylko że pistolet jest zimny. Być może, należy do mordercy Sidorki.
- Mógł zdążyć ostygnąć - wtrącił Batkowski. - Mój już jest prawie zimny, a ten na dodatek leżał w ogródku. Noc jest chłodna, panie majorze.
- Tak, panowie - powiedział Skorpion - wszyscy jesteście podejrzani o usiłowanie zabicia Dymitra. Chyba że ktoś strzelał z ulicy.
- Nikt mu nie odpowiedział. Mały lekarz odchrząknął.
- Jazda - zachęcił go Skorpion. - Co pan tam ma?
- Strzał z tyłu, w rzeń pacierzowy - informował lekarz. - Oddany z odległości dwóch do trzech metrów. Denat najwidoczniej się nie spodziewał. Niech pan popatrzy, majorze, gdzie znajduje się jego pepesza. - Lekarz skierował snop światła na fotel, na którym leżał pistolet automatyczny. - Spoczywa sobie spokojnie. Zmarły musiał go sam położyć. Tu nie było walki, panie majorze.
- Skorpion wszedł w snop światła i ostrożnie uniósł pepeszę. Na kolbie zabłysły mikroskopijne ziarenka. Major pokazał kolbę Dymitrowi.
- Widzi pan?
- Szyba? - domyślił się Dymitr.
- Skorpion spojrział na niego z uznaniem.
- Tak, szyba - potwierdził. - I co jeszcze, panie doktorze?
- Sporo krwi - powiedział mały lekarz. - Niech pan popatrzy na te odłamki, jaki kolosalny na nich rozbryzg. Krew z tętnicy.
- Dziękuję - przerwał mu raptownie Skorpion. - Dziękuję panom. Możemy się rozejść. Zostaną tylko ci, których sprawa ta dotyczy służbowo.
- Najwyższy czas - powiedział burmistrz. - Jutro czeka nas uroczystość.
- Jeśli jednak przydałaby się moja pomoc... - zaofiarował się Batkowski.

- Dziękuję. Dobranoc. Kończmy to, obywatele, bo już niedługo będzie dzień dobry.

Dymitr przypomniał półgłosem Haworkowi:

- Koniec długiej nocy, panie burmistrzu. Więc co z nami?

- Kuter Mieszko - odpowiedział burmistrz. - Ten sam, którym popłynie mój zastępca. Szyper będzie uprzedzony, zajmie się wami. W porządku?

- Dziękuję - powiedział Dymitr i pomyślał: mam coś w zapasie.

Kiedy obaj burmistrzowie i Zawisza odeszli, Skorpion zwrócił się do lekarza:

- Teraz słucham. Pan doktor chciał coś powiedzieć o tej krwi.

- Tak, panie majorze. Coś bardzo ważnego. To nie jest krew zamordowanego.

- Na pewno nie?

- Na pewno. To jest krew z tętnicy, a zabity krwawił tylko z żył. To może być krew mordercy.

- Mać jego. Mógłby pan określić grupę krwi na takim odłamku?

- Myślę, że da się zrobić. Wezmę sobie takie szkiełko do pudełeczka od zapalek.

Mały lekarz wysypał zapalki na fotel i ostrożnie włożył do pustego pudełka kilka odłamków lustra. Potem uklonił się i nałożywszy pomietę kapelusz wyszedł do ogrodu. Skorpion spoglądając za nim rozkazał:

- Zbrożek, odprowadź pana doktora. - Dodał cicho: - Te szkiełka są droższe niż brylanty.

„Szkiełka droższe niż brylanty, rozumie pan chyba sam, że Skorpioną znęciła metafora. - Były Dymitr zakaszłał. Rogalik księżycy przesłonięty został chmurą i głos mężczyzny w szaliku dochodził teraz do mnie z ciemności. - Cóż mogło być w tej krwi takiego ważnego? Nawet jej ustalenie niewiele nam dawało. Trzeba jeszcze było znaleźć tego, kto tę krew przelał, i ustalić, w czyim interesie przelał. Jeśli kogoś należało szybko zidentyfikować, to tego, który strzelał do mnie. To mógł być Złowrogi, tylko on.”

- Krew mordercy - powiedział Skorpion. Siedział bokiem na

siedzeniu willysa. Zaleski i dwaj milicjanci, postępując, złożyli w jeepie zwłoki zamordowanego.

- Tego, który strzelał do mnie? - spytał Dymitr.

- W każdym razie strzelał do Sidorki. Widzę wszystko, co się tam działo, jakbym był przy tym.

- Sidorko rozbił kolbą szybę - powiedział Dymitr.

- Tak, rozbił szybę i wszedł do środka. Nie po to przylazł, żeby pilnować zakładu pani Janiny, ale po to, żeby go zniszczyć. On sam przynajmniej tak myślał. Nie wiedział, że chciano skorzystać z okazji, żeby z nim skończyć. Musiało być jeszcze co najmniej dwóch bandziorów i oni weszli do zakładu za nim. Kiedy Sidorko odłożył pepeszę i rozglądał się, co by tu jeszcze zrobić, któryś z koleżków do niego strzelił. Może z tej porzuconej parabellki, kto wie. A potem morderca sam kończył rozbijanie luster, w nerwach uderzył pięścią i rozciął sobie tętnicę. W ogóle to sprytnie zaplanowali, bo przecież my powinniśmy przypuszczać, że Sidorko padł broniąc zakładu przed bliżej nieznanymi sprawcami! Dymitr, to wszystko jest jeden cholerny gang. Sidorko za dużo wiedział i myśmy o nim za dużo wiedzieli, i trzeba go było sprzątnąć.

- Trochę za późno się zdecydowali. Kiedy on zdążył już wszystko powiedzieć...

- Widocznie nie zdążył.

- Kiedy go zapytaliśmy, kto mu powiedział, że Justynian jest kapuś, zeznał, że to Zawisza.

- Słyszałem.

- I Zawisza kazał mu tu stać i strzec zakładu - przypomniał Dymitr.

- Czy ja mówię, że nie?

I jeszcze dzisiaj, myślał Dymitr, z tym strzelaniem do mnie. To Zawisza wyłonił się nagle przede mną z pistoletem w ręku. Usłyszał westchnienie Skorpiona:

- Ach, gdyby ten znaleziony pistolet okazał się zgubą burmistrza, sprawa potoczyłaby się jak po maśle. Możemy go wtedy brać w ciemno, ja odpowiadam.

Oho, zmieniłeś koncepcję, pomyślał Dymitr i wyraził wątpliwość:

- Haworek? Nie. Strzelić i rzucić pistolet - to za głupie jak na Złowrogięgo.

- A skąd ja wiem, czy on jest mędrzec, mać jego? Może właśnie jest głupi i bezczelny?

Dymitr zamyślił się.

- Trzej tylko ludzie wchodzą w rachubę - powiedział.

- Kto?

Dymitr liczył na palcach:

- Batkowski. Haworek. Zawisza.

- I Dorado - powiedział Skorpion.

- Nie. Dorado nie - zaprzeczył Dymitr.

- Dlaczego nie?

- To on zawiadomił mnie o napadzie na ten zakład.

- Żeby pana tu sprowadzić i zabić.

Z powrotem na listę, pomyślał Dymitr. Spytał przygnębiony:

- Czy to wszyscy?

- Nie - odpowiedział Skorpion. - Są jeszcze ci, których nie znamy. Ktoś w cieniu. Może kasjer Bednarczyk. Może barman Leon. Ktokolwiek z boku.

- To by było najgorsze - rzekł Dymitr.

„Poszedłem potem na górę, do niej. Poszedłem z mocnym postanowieniem, że jutro wyjadę. Czy pan wie - zwrócił się do mnie mężczyzna na molo - czy pan wie, że ja nie mogłem się uwolnić od myśli, że to jednak Zawisza? Wskazówki były zbyt wyraźne i jednoznaczne. Ninę zastałem siedzącą przy stole w milczeniu i smutku. Podniosła na mnie swoje zbolące oczy i próbowała się uśmiechnąć. - Jaka noc! - szepnęła. - Te lustra. I ten człowiek na dole. I jeszcze tyle twoich pieniędzy przegrałam. - Czy będziesz spać? - spytałem. - Muszę. Zażyję coś na sen. - Mama już spała, podobno Potok podział na nią uspokajająco. Mówiła, że znała rodzinę Potoków, mieli ogromne dobra w Łańcucie; twierdziła, że widać po nim znakomite pochodzenie. Tej nocy nie rozbierałem się. Nina spała niespokojnie, krzyczała przez sen, a ja drzemałem obok okna na rozkładanym fotelu, a kiedy budziły mnie jej westchnienia i pojękiwania, wyciągałem rękę szukając jej dłoni. To jej przynosiło chwilową ulgę i spokój”.

Jakiś pan do ciebie - powiedziała stara pani.

Otworzył oczy. Łóżko Niny było puste. Pomyślał sobie, że zeszła na dół, do gabinetu, usunąć zniszczenia po tej okropnej nocy. Rzucił okiem na wskazówki budzika: piętnaście po dziewiątej. Nieźle spałem, zdziwił się, to dobrze, będę w formie.

- Jaki pan? - spytał.

- Czy ja wiem? Wojskowy. Czerwone włosy.

Skorpion, domyślił się. Po co przyszedł? Czego szuka. Ogarnął go lęk, że może to już koniec wolności, Skorpion przyszedł ich aresztować.

- Czy jest sam? - spytał.

- Sam jak palec. Pan Potok go bawi, uprzejmy, dobrze wychowany człowiek.

Dymitr wyjrzał przez okno. W dole, za połamanym ogrodzeniem, u stóp kamiennych schodów, stał na chodniku samotny jeep. Wokół nie było żywej duszy. Ale dalej, za rogiem ulicy, czatowało dwóch milicjantów, a z nimi Klimek - ten, który ich śledził. Koniec, zrozumiał Dymitr. Gdyby przynajmniej Potok znajdował się w pobliżu z automatem, może byśmy się przebili. Ale nie, jest w jadalni, bawi Skorpiona rozmową, naiwniak, sam się wpakował do pułapki. „Pomyślałem sobie nagle - wspominał były Dymitr - że nie ma co się szarpać, i tak przecież byśmy do nich nie strzelali. Trzeba po prostu się dowiedzieć, o co chodzi czerwonołosemu.” Zszedł na dół do jadalni. Skorpion na jego widok dźwignął się ze skórzanej kanapy, na której siedział gawędząc przyjaźnie z Potokiem. Był blady, wymęczony.

- Z czym Bóg prowadzi? - spytał Dymitr.

Usłyszał w odpowiedzi dwa słowa, wyrzucone niedbale, przez zęby, jakby od niechcienia: - Aresztowano Zygmunta. - Nie od razu też uświadomił sobie, co ten fakt oznacza dla nich dwóch. No to co, chciał powiedzieć, niech sobie aresztują, kogo chcą. Chwila ciszy, jaka zaraz po słowach Skorpiona nastąpiła, ponure spojrzenie majora, który wyglądał, jakby był



współwiny w przestępstwie, wszystko to sprawiło, że wiadomość zaczęła rosnać, pęcznieć, nabierać wagi. Zaareztowano Zygmunta, no to co - błąkało się jeszcze po mózgu w chwili, kiedy Potok już zrywał się z kanapy, wyrzucał dramatycznym gestem ręce, zupełnie jakby miał zamiar chwycić się za głowę, i krzyczał:

- Że jak?! Kogo capnęli?!
- Zygmunta, majora - wyjaśnił Skorpion.
- Kuternogę! - wykrzyknął Potok. - Koniec świata!
- Dopiero początek - poprawił Skorpion.
- I za co go tak? - pytał Potok.
- Za to, że nas wypuścił - domyślił się Dymitr. Dachówka na głowę, pomyślał. Wszystko się cholernie komplikuje. - Konszachty z reakcyjnym podziemiem, tak to się nazywa. Może się teraz gęsto tłumaczyć, że obiecaliśmy mu dostarczyć Złowrogiego. Nikt nie uwierzy.

- Chyba, że dostarczymy - mruknął Potok.
- A macie Złowrogiego? - spytał Skorpion.
- Skąd go wziąć?
- To szkoda gadać. - Skorpion zdjął z poręczy krzesła pepeszę Potoka. - Rozumiecie sami - powiedział - że wasze zaświadczenie przestało być ważne.

- Jasne. - Dymitr podszedł do okna. - Za rogiem czekają pańscy ludzie.

- Czekają - potwierdził Skorpion.
- Wiedzą, po co tu przyjechali?
- Domyślają się.
- Kazano panu nas areztować? - spytał Dymitr.
- Jeszcze nie. Ale czy ja muszę czekać, aż każą? Ja sam wiem, co mam robić.

Zapadło milczenie. „Odniosłem wrażenie, że Skorpion się waha - opowiadał były Dymitr. - Wbrew temu, co mówił, wcale nie był pewny, co ma robić. Wolałby czekać na jakieś wyraźne zalecenie. Postanowiłem z tego skorzystać.”

- Niech pan da nam szansę - odezwał się Dymitr.
- Mać jego. Jaką szansę?
- Dwadzieścia cztery godziny wolności. Jedną dobę.

Złapiemy Złowrogięgo.

- A jak nie?
- Stawimy się sami. Wtedy zrobi pan, co uzna za stosowne.
- Mam wam wierzyć?
- Jak pan chce - mruknął Dymitr.
- Mać jego - zaklął Skorpion.

Podszedł do okna. Zniecierpliwiony Klimek zdążył wgramolić się do jeepa i rozwalić się na tylnym siedzeniu. Zawsze lezie w oczy.

- Mać - mruknął Skorpion. - Dobrze. Dwadzieścia cztery godziny. Broń potrzebna?

- Zdałaby się - powiedział niedbale Potok.
- Masz.

Potok znowu miał na ramieniu pepeszę.

- Kochaniutka - bąknęła - wróciła do pana jak wierny piesek.

Skorpion zmrużył znowu jedno oko.

- Nie robię tego dla was - odezwał się ze złością. - Ani dla Złowrogięgo, mać jego była. Robię to dla Zygmunta. Skakaliśmy z jednego samolotu! Posadzili go przez was, *dos hijos de putas como voso tros!* Przez jego cielecą naiwność. Gdzie on miał głowę? - Skorpion stuknęła się palcem w czerwonowłose łeb.

- Nie uciekliśmy przecież! Pracujemy!

- No to co? Pracujecie, taki rok na was! - Skorpion uderzył pięścią w stół. - Dobrze mu tak, nauczy się na drugi raz dobierać sobie współników. *Bon* - sapnęła. - Zobaczymy. Jutro o dziewiątej macie się stawić. Nie myślcie, że mi uciekniecie. Nie myślcie!

„Odszedł wściekając się, jakby to wszystko była nasza wina - opowiadał były Dymitr. - Ale może dlatego wściekał się, bo wiedział, że wina leży gdzie indziej, poza nami i, być może, nawet poza nimi dwoma, Zygmuntem i Skorpionem. Po jego odejściu Potok spytał: - No i co teraz zrobimy? - Wiadomo co - odpowiedziałem - skok na Mieszka i chodu. Skinął głową na znak zgody. Ale ja wcale nie byłem taki pewny swego. Rozterka rosła. Oczywiście, uciekniemy, nie ma się co roztkliwiać, Zygmunt posiedzi wiele lat w więzieniu, no i czort z nim.

Trudno, pomyślałem, ani mi on brat, ani swat, za to trzymał mnie w ulu i zarzucał niestworzone, obraźliwe rzeczy. Przeliczyłem pieniądze, które dostałem od Zygmunta - opowiadał zmęczonym głosem były Dymitr. - Ta druga paczka, ta na wydatki nadzwyczajne, stopniała o dwadzieścia tysięcy, które przegrała wczoraj Nina. Ale wciąż jeszcze było tego sporo, było tyle, że pieniądze rozpieły portfel i kieszenie i uwierały, tak, uwierały, najdosłowniej. Powie pan: przeczulenie. Człowiek przez kilka lat wciąż ryzykował życiem, wydostał się wreszcie na wolność, miał szansę zrzucić kajdanki raz na zawsze - i narażanie tej wolności dla kogoś obcego nie miało sensu. Obaj z Potokiem myśleliśmy podobnie i obaj milczeliśmy. Zobowiązania! - przypomni pan. Umowa, podpis, zaliczka! Jezus, Maria, widzieliśmy, jak wielcy tego świata traktują najświętsze zobowiązania. Ostatecznie, i my potrafilibyśmy wymyślić jakiś wykręt, który zwolniłby nas ze wszelkich zobowiązań, prawdziwych czy urojonych. I może nawet, wzorem wszystkich propagandzistów, uwierzylibyśmy po pewnym czasie we własne kłamstwa. Przyjmując od Niny bułkę z masłem, przyglądałem się Potokowi: siedział nachmurzony, dziobał jajecznicę bez apetytu. Wiedziałem, co on sobie myśli: Dymitr, ty wiesz, tylko udajesz. Bo ja wiedziałem. Ten widok, który zataiłem przed Skorpionem, widok Zawiszy stojącego w drzwiach zakładu Niny, z pistoletem w dłoni, miałem wciąż przed oczyma.”

Śniadanie miało w ponurym milczeniu. Nina smarowała bułeczki masłem i podsuwała je mężczyznom bez słowa. Stara pani dolewała mleka do kawy. Potok długo i głośno mieszał łyżeczką cukier. Nagle odezwał się:

- Na mój frajerski rozum...
- Co? - obruszył się Dymitr.
- Z tym Zygmuntem...
- Zamilcz!

Starej pani zatrzęsła się ręka. Odstawiła dzbanuszek z mlekiem zgorszona i pokręciła głową jak w tik. Nina przyglądała się badawczo zadrapaniom na dłoni, których nabawiła się podczas uprzątnięcia szkła. Stara pani zaskrzeczała:

- Jacyś nienormalni ludzie. Dziękuję nawet nie umieją powiedzieć. - Zwróciła się do Potoka: - Nie smakuje paniczowi?

- Smakuje. Dziękuję. - Potok westchnął. - Mam kaca. Nie wolno Polakowi? Mam kaca i tyle.

„Wyjedziemy w daleki świat, a kuternoga posiedzi, tak sobie rozmyślałem nad resztkami jajecznicy - opowiadał były Dymitr. - Będzie miał dosyć czasu, żeby sobie to wszystko porozwazać. Będzie mógł sobie od rana do wieczora powtarzać: zawierzyłem swoim przeciwnikom, dlaczego? Bo słyszałem o ich niezwykle rozwiniętym poczuciu honoru. Poczuciu nierozumnym i tragicznym. Niektórzy im to nawet mieli za złe. Honor, który naraża samo istnienie narodu, który prowadzi do klęski - argumentowali przeciwnicy - nie zasługuje na to, by go podziwiano. Ale właśnie on, Zygmunt, w głębi duszy nas podziwiał. Powiedział, że jesteśmy przejrzyści i że to lepiej. Teraz, w celi, do której go zamknęli jego koledzy, pod pozornie całkiem uzasadnionym oskarżeniem, teraz będzie mógł nam napluć w twarz. Nam wszystkim. Po hańbie ze Złowrogim - małoduszna dezercja Dymitra. Skok do szalupy, kiedy statek jeszcze nie tonął. Skorpion to rozrobi, pomyślałem sobie, Skorpion jakby na to czekał. Po raz drugi w tej krótkiej historii stanąłem przed dylematem. Tylko przed tym szło o Zawiszę, mojego dowódcę, a teraz szło o mało mi znanego Zygmunta, człowieka, który mi zaufał i dał pieniądze i to wszystko. Ale w gruncie rzeczy szło o to samo.”

Dymitr odsunął talerz i wstał.

- Zbieraj się, Tancerz - powiedział. - Bierz pepeszę i odmaszerować.

- Dokąd? - spytał Potok.

- Zaaresztujemy Złowrogiego.

Zawiszę zastali w sypialni, już obudzonego, kończył sznurowanie trzewików.

- Cześć, chłopcy - przywitał ich. - Kto rano wstaje... Śniadanie chcecie?

Spojrzeni po sobie i wzruszyli ramionami.

- Batożysz? - mruknął Zawisza zapinając guziki koszuli. - Kto karmi? - spytał. - Fryzjerka?

Wciągał właśnie przez głowę czarny sweter. Kiedy wynurzył się z dekoltu, zobaczył skierowaną ku niemu lufę pepeszy. Zobaczył zmrużone, skośne oczy Mongoła, jego stwardniałe w zawziętości rysy. Zobaczył twarz Dymitra, działającego jakby w natchnieniu. Zrozumiał. Wykrzywił lekko usta. Przeciągnął dłonie przez rękawy swetra.

- No? - warknął. - Czego stoicie? Strzelać, panowie. Pif paf. No, co za wygłupy?

Pierwszy odezwał się Potok:

- Spokojnie, Zbyszek, spokojnie, bo nacisnę spust.

- Co z twoją obstawą? - spytał Dymitr kpiąco. - Puścili mnie jak swojego.

Zawisza zrobił krok do przodu.

- Stój - ostrzegł Potok.

- Nie tak nerwowo, Tancerz. Powiedziałem obstawie, że jesteście swoi. Moja wina! Zapomniałem, że mam do czynienia ze stukniętymi.

- Cofnij się - rozkazał Dymitr.

Zawisza cofnął się i powiedział:

- Wyglądasz, jakbyś był nawiedzony przez diabła.

- Siadaj - rozkazał Dymitr. - Na łóżku. - Zawisza siadł blisko poduszki. - Nie przy poduszce. Bliżej szafy. - Zawisza westchnął beznadziejnie i przesunął się w drugą stronę. Dymitr zwrócił się do Potoka: - Jakby co, wal po nogach, Tancerz, zostanie kaleką na te kilka miesięcy życia.

Dymitr podszedł do poduszki i wyciągnął spod niej pistolet. Włożył go sobie do kieszeni, przeszedł na drugą stronę pokoju i przekręcił klucz w drzwiach. Potem, jakby się tym zmęczył, usiadł okrakiem na krześle i powiedział:

- Teraz porozmawiamy.

- Batożę - odparł Zawisza. - W szufladzie pod lustrem masz klucze, w trzeciej szufladzie komody są pieniądze. Bierzcie je i niech was diabli wezmą.

- Odstawiasz dziewczicę, panie poruczniku? - spytał Dymitr. Chciał zachować spokój, ale nie udało mu się to, zerwał się z miejsca i stanął przed Zawiszą. Pamiętał, że trzeba ustawić się trochę z boku, żeby nie być na linii ognia pepeszy. Dopiero

teraz drżącym głosem wyrecytował: - W imieniu wszystkich, którzy padli, w imieniu Myszk, w imieniu tych, których wydałeś, w imieniu własnym, z upoważnienia majora Zygmunta - aresztuje cię, Złowrogi.

Zawisza pochylił głowę. Wydawało się, że obserwuje niedowiązane sznurowadło trzewika. Spytał nie podnosząc wzroku:

- Mam wstać?

- Możesz siedzieć - zezwolił Dymitr.

- Mogę zawiązać sznurowadło?

- Wiąż. - Dymitr rzucił porozumiewawczo w stronę Potoka: - Uważaj.

Obaj obserwowali, jak Zawisza niezręcznie, drżącymi palcami, wiązał sznurowadło w kokardę.

- Oszalałeś - mruknął Zawisza. Podniósł głowę: - Oszalałeś. Nigdy nie miałaś wszystkich klepek w po rządku.

- Zamilcz! - krzyknął Dymitr. - Tak, masz rację, nie miałem, bo wierzyłem tobie! Wierzyłem bardziej niż rodzonemu ojcu. Bardziej niż... Tak, tobie. Tylko tobie. Byłeś dla mnie uosobieniem prawości, odwagi, oddania ojczyźnie. I ja głupi... Ale najwyższy czas zacząć już myśleć. Tak, panie poruczniku kawalerii, nie przyniosłeś chluby naszym sztandarom. Zbzcześciłeś je. Splugawiłeś. Podeptałeś.

- Mów do rzeczy - przerwał mu Zawisza.

- Mówię, mówię!

- Wciąż o jakichś sztandarach. Przestań batożyć. O co ci chodzi?

- O to, żebyś przestał udawać. Wyłóż wszystko dokumentnie. Przyznaj się do winy.

Zawisza spytał, mrużąc oko:

- Nie za wcześnie?

- Nie masz żadnych szans.

- Kto wie? Sąd, śledztwo - drwił Zawisza. - Ty też się jakoś wykaraskałeś. Myślisz, że ja nie mogę? Mam więcej doświadczenia niż ty. - Zakończył jadownicę: - Mnie lepiej zapłacać.

- Ja nie sypałem swoich.

- Dymitr - powiedział dobitnie Zawisza. - Obiecuję ci, że jak się z tego wyłubudam, spiorę cię po pysku.

Dymitr kiwnął kilkakrotnie głową. Mówił nie patrząc na niego, do siebie, do swoich myśli, wylewał cały swój żal:

- Nieskazitelnny Zawisza, oficer kawalerii, mój dowódca - i proszę: Badenia, zwykła spelunka. (Zawiniłem, fakt - wtrącił Zawisza). I co się tu dzieje? To tu właśnie oficer gestapo ma otrzymać kontakt ze Złowrogim. I tu mordują Justyniana - uważasz, Tancerz - Justyniana, który już znajdował się na tropie. Taki sobie przypadek. A dwaj mordercy, Zbrożek i Sidorko, są nadal pieścuchami pana porucznika. Zabili szulera i kapusia, kapusia gestapo, tak przypuszczali. A kto powiedział Sidorce, że niewygodny Justynian powinien zostać usunięty i że to zostanie policzone w poczet zasług? Pan porucznik Zawisza, onże Złowrogi. (Wymyślasz! - zawołał Zawisza.) Mam dowody. Ale oto zjawiają się dwaj nieproszeni goście, dawni współpracownicy. Węszą w tej gnojówce, chociaż uprzedziło się ich, żeby tego nie robili, bo mogą odpaść nosy. Trzeba teraz trzymać Sidorę daleko od Dymitra. Posyła się go więc na wartę, potem do Alhambry, bo Dymitr zapowiadał, że będzie w Badenii, a potem się tego Sidorę ostatecznie wykańcza. Ale wygląda na to, że i tak już jest za późno, Dymitr za dużo wie. Trzeba wysłać Dymitra z kraju. Namówić go, żeby zwiął, i będzie spokój. Ale nie, może pewniej jest jednak go zabić? I kiedy wywiązuje się ogólna strzelanina, Zawisza-Złowrogi strzela trzykrotnie do Dymitra. Nie trafiłeś, wzrok ci zepsiał, i bojąc się, że cię nakryją, pojawiaasz się przede mną z parabellką i powiadasz: uciekł mi. Nie powiedziałeś kto. Ale ja wiem. To ja ci uciekłem. Ale nie myśl, że dopiero wtedy zrozumiałem, co z ciebie za ptaszek. Zrozumiałem to wcześniej.

- Kiedy? - spytał zaciekawiony Zawisza.

- Przy pokerze. Zobaczyłem nagle twoją twarz. Zimną, nieodgadnioną twarz zbira.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Ty jeden ze wszystkich grających umiałeś ukrywać swoje uczucia. Ty jeden byłeś nie do przeniknięcia. Grałeś tak przez całą okupację. Wszyscy daliśmy się nabrać.

Wszyscy. A najbardziej ja. Nigdy ci tego nie wybaczę. Nigdy.

Dymitr zamilkł. Przyglądał się Zawiszy: ta sama nieodgadniona, zimna twarz. „Tak sobie to określiłem, tak właśnie - mówił mój sąsiad na molo. - Ta twarz miała potwierdzić cały wywód. Zbliżałem się do finiszu. Wystarczyło, żeby Złowrogi załamał się i zaczął się wywnętrzać. Nie chciałem dostrzec w oczach Zawiszy z trudem ukrywanego osłupienia, nie chciałem dostrzec lekkiego drżenia rąk. To drżenie to mogły być skutki pijaństwa. To osłupienie - cóż, gra, aktorstwo.”

- Oszalałeś - mruknął Zawisza.

Dymitr nie odpowiedział.

- Powiedziałeś: nigdy - mówił Zawisza. - „Nigdy” to takie słowo, tak Churchill powiedział, które powinno być wykreślone ze słownika politycznego. - Dodał po chwili: - Z każdego słownika. Słyszycie?

Pukano do drzwi. Dymitr wyjął pistolet i przywarł plecami do ściany.

- To Rózia - powiedział Zawisza. - Przyszła ze śniadaniem.

Pukanie powtórzyło się.

- Powiedz, że za chwilę - szepnął Dymitr.

- Za chwilę! - krzyknął Zawisza.

Potok dał przyzwalający znak ręką:

- Można wpuścić.

- Muszę się upewnić, że to ona - szepnął Dymitr.

- Rózia, to ty? - zapytał nienaturalnie głośno Zawisza.

- A któż by! - odpowiedziano wysokim, trochę zachrypniętym głosem. - Ze śniadankiem dla pana porucznika.

Dymitr schował pistolet do kieszeni i otworzył drzwi. Kiedy kobieta znalazła się w pokoju, przekreślił ponownie klucz w zamku.

- Postaw tacę na stole - rozkazał - i siadaj obok pana porucznika.

Kobieta nie ruszała się z miejsca. „Miałem czas przyjrzeć się jej wtedy - wspominał były Dymitr. - Stała nieruchoma, barczysta, szeroka w biodrach, spod kolorowej spódnicy wyzierały łydki mocne, ale całkiem kształtne. Nie widziałem jej oczu, bo opuściła powieki, ale wiem, że były zielone



i obramione białymi rzęsami. Stała tak z pochyloną głową, nieco przygarbiona, a na twarz jej powoli wypływał rumieniec. Przysiągłbym dzisiaj, że słyszałem bicie jej serca. Wciąż trzymając tacę, zwróciła się do Tancerza: - A pan żołnierz się nie napiją? - Żołnierz - bo trzymał wymierzoną w Zawiszę pepeszę. Tancerz odmówił. I nagle zawartość tacy znalazła się na jego twarzy. Bóg wie, jak to się stało. To był cios błyskawiczny, obmyślony i precyzyjnie wykonany. Może pan sobie wyobrazić, jaki komiczny dałoby to efekt, gdyby nie chodziło o życie: gorąca kawa, mleko, cukier, jajka po wiedeńsku - wszystko to znalazło się w jednej chwili na głowie Tancerza. Ryknął - z bólu i wściekłości - i zaraz potoczył się pod ścianę. Sięgnąłem do kieszeni, po parabellkę Zawiszy, o ułamek sekundy za późno sięgnąłem, bo usłyszałem ostrzegawczy głos porucznika: - Stop, Dymitr, ręce do góry. - I zobaczyłem, że pepesza znajduje się już w posiadaniu mojego dowódcy. Podniosłem obie ręce.”

- Zabierz mu parabellkę, Róziu - powiedział Zawisza. - Ma w prawej kieszeni marynarki. Nie ruszaj się, Tancerz.

Potok leżał wsparty plecami o ścianę, źrenice miał wywrócone do góry, zupełnie jakby w świątobliwej skrusze spozierał na wiszący nad nim obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Kobieta wyjęła z marynarki Dymitra pistolet.

- Połóż go na miejsce - rozkazał Zawisza. A widząc że Rózia nie rozumie, dorzucił niecierpliwie: - No, pod poduszkę!

„Przyglądałem mu się z podziwem - mówił mężczyzna w szaliku. Ja, jego pilny słuchacz, wierzyłem mu. Zmęczony głos byłego Dymitra nabrał nowej rześkości, on sam poderwał się na chwilę z ławki na molo, żeby pokazać, jak to wszystko wyglądało. - Zawisza jakby odmłodził, wypiękniał. Namyslał się chwilę, co zrobić, nie bez pewnej złośliwej satysfakcji w oczach. Potem posłał mnie do kąta. Dosłownie. Mnie kazał stanąć w jednym kącie, obok drzwi, a żalostnemu Potokowi, któremu Rózia pomogła dźwignąć się z podłogi - w drugim. Do niej Zawisza powiedział: - Ożenię się z tobą, Róziu, zobaczysz. - Pokraśniała, bo to były jednak wyrazy uznania, ale same oświadczyzny zbyła milczeniem. Nie wydawała się zachwycona.

Zresztą, mówiąc do niej, Zawisza nie patrzył na nią, tylko na nas, rozstawionych po kątach sypialni.”

- Dlaczego nie strzeliłeś? - zwrócił się nagle Zawisza do Potoka. - Co się z tobą stało?

Tancerz milczał.

- Nie umiałeś do mnie strzelić? - pytał Zawisza zgorzony. - A ty, Dymitr? Długo jakoś babrałeś się z tym pistoletem. Długo - powtórzył. - Nie można na was liczyć, panowie. - Nagle zawołał: - Trzymaj!

I rzucił pepeszę Dymitrowi. Chwycił ją w locie i stał przez chwilę z automatem w ręku, oniemiały i zdruzgotany.

- Zaczynamy od nowa? - spytał spokojnie Zawisza.

Dymitr milczał. Pepesza zaczęła mu przeszkadzać. Położył ją na stole i podszedł do Zawiszy.

- Wybacz - szepnął.

Teraz dostanę w mordę, myślał. Należy mi się to. Zważyłem, załamałem się i splugawiłem wszystko. Ja splugawiłem, nie on. Chcę dostać w mordę. Chcę strzelić sobie w łeb. Boże, jak to boli! W łeb, w łeb, w łeb, myślał stojąc przed Zawiszą z pochyloną głową. Ale to niczego nie rozwiąże. Pozostaje nieuchwytny Złowrogi. I pozostaje aresztowany Zygmunt.

- Róziu - powiedział Zawisza. - Chyba będziesz musiała pójść po inne śniadanie. To z podłogi już się nie nadaje.

- Wiedźma - mruknął Potok. - Nowy dress oblała.

Podszedł do lustra i wytarł twarz chusteczką. Różia stanęła za nim.

- Nie oparzyliście się? - spytała.

- Co cię to obchodzi? - warknął.

- A po co się automatem bawić? Mądry człowiek się bronią nie bawi. Ściągnijcie, panie, kamizelkę, to wam przepiorę i przyglądę. Za godzinę będzie jak nowa.

Podczas śniadania trzech mężczyzn odbyli naradę sztabową.

- Haworek, Batkowski albo ktoś nieznan - mówił Dymitr. - Skorpion twierdzi, że jeszcze Dorado, ale ja wątpię.

- Skorpion ma rację - powiedział bez wahania Zawisza.

- Piłeś z nim do rana - przypomniał Dymitr.

- No to co? Pewnie znalazł się pod ręką.

- Wspominaliście czule Myszkę.
- Ano tak, teraz przypominam sobie. Chciałem coś od niego wydobyć.
- Nie udało się?
- Nie. Może to nasz człowiek, a może człowiek Złowrogięgo. Albo i sam Złowrogi.
- Kontaktował się z Tadeuszem i Haliną, a obojgu włos z głowy nie spadł.
- To mnie właśnie zastanawia. Może tworzył sobie alibi. Tak się te rzeczy robi.
- Po cholere tu siedzi?
- Nie wiem. Pewnie ma rozkaz. Załatwia przerzuty.
- Nie zauważyłem.
- Ja też nie - przyznał Zawisza. - Śledziłem go, ale nic nie zauważyłem. Albo jest niewinny, albo...
- Albo co?
- Sprytniejszy niż my wszyscy.
- Nie wydaje mi się. To pocziwiec.
- Udaje głupka - powiedział Zawisza. - Dlaczego ty właściwie tak go oczyszczasz?
- Skorpion twierdził, że to może być ktoś, kto lubi dużą grę. Lubi coś znaczyć. Rozkazywać, knuć. Dorado wydaje mi się izolowany. I bez znaczenia.
- A więc burmistrz?
- Burmistrz odpowiadałby tej definicji. I ta historia ze znalezionym pistoletem. Albo Batkowski.
- Albo ktoś, kogo nie znamy - przypomniał Zawisza.
- Tak, ktoś trzeci. Wiesz, dokąd teraz pójdę? Na pocztę.
- Można..
- Pogadam z kimś z urzędników. Jedno jest pewne: że Justyniana postanowiono wykończyć dlatego, że zatelefonował do Zygmunta. Trzeba się dowiedzieć jakichś szczegółów.

Telefonistka była dla nich nieuprzejma. „Przypatrywałem się bladej, ciemnowłosej, niezbyt ładnej dziewczynie i myślałem

sobie: dlaczego? - Pan w szaliku snuł dalej swoją opowieść, stawiając znaki zapytania, kwestionując motywy i wnioski. - Czarowałem ją uśmiechem, a przecież byłem wtedy młodszy o dwadzieścia lat, i niewiele to pomogło. Zdobyłem się nawet na to, żeby powiedzieć o jej grubym i spłaszczonym nosku, że jest uroczy. Może zresztą i dla kogoś byłby uroczy. Odpowiadała niechętnie, na odczepnego. Nie przyszło mi wówczas na myśl, że się bała. A tak na pewno było. Pytałem ją przecież o rozmowę telefoniczną, której rezultatem stało się morderstwo. Musiała o nim słyszeć, chociaż się do tego nie przyznawała.”

- Nie znam - powiedziała. Szorstkim gestem zwróciła Dymitrowi zdjęcie Justyniana.

- Dzwonił w niedzielę.

- Możliwe. Ale ja nie pamiętam.

- Był bez okularów, pewnie dlatego.

Jeszcze raz obejrzała fotografię.

- Nie - ucięła.

- Dzwonił w niedzielę wieczorem. Zamiejskowa.

Uśmiechnęła się drwiąco.

- Wieczorem? W niedzielę wieczorem u nas nieczynne.

Dymitr popatrzył pytająco na Potoka: rozumiesz coś z tego? Potok mruknął:

- No, koleżanko, radzę po dobroci, przypomnij sobie coś wreszcie. Jak to nieczynne? Przecież połączenie się odbyło?

- Może z innego miasta? W niedzielę pracujemy tylko do trzeciej.

- A kto dzwonił przed trzecią?

Telefonistka podeszła do okna, wyjrzała i po chwili wróciła na swoje miejsce.

- O pół do trzeciej wbiegł tu jakiś pan - powiedziała. - Nerwowy, szczupły, chyba brunet. - Spojrzała na zdjęcie. - Mógł to być ten... Zamówił międzymiastową. Bardzo się śpieszył. I wciąż zerkał na okno.

- Tak jak teraz pani?

- Tak samo.

- A ktoś tam stał, za oknem?

- Wydawało mi się, że stał.
- Pani zna tego, co stał za oknem? - spytał Dymitr.
- Nie.

Kłamie, pomyślał. Zresztą, to nie jest takie ważne. Spytał:

- Co powiedział ten pan przez telefon?
- Nie wiem, nie podsłuchuję rozmów. Nie trwała nawet trzech minut.
- Powiedział: wszystko w porządku, jestem blisko, wkrótce wiadomość.
- Może - mruknęła dziewczyna. - Ja nie słyszałam.
- Pani to komuś powtórzyła, te jego słowa?
- Nie. - Dziewczyna sięgnęła po kwitariusz. - Panowie wybaczą, ale ja pracuję.

Więcej od niej nie wydobędziemy, zrozumiał Dymitr.

Zadzwoił do Niny i zaproponował, żeby przysłała do Alhambry, spróbują zrealizować obiecaną przez Batkowskiego gotówkę. Odpowiedziała, że będzie za kwadrans. Poczta dzieliła od Alhambry jedna niedługa ulica i Dymitr z Potokiem szli nią bez pośpiechu.

- Co o tym myślisz, szefuniu? - pytał Potok.
- Myślę, że coś w tym jest, że na pół godziny przed zamknięciem obiecujący prawnik zasuwa na pocztę, żeby przekazać Zygmuntowi strzęp wiadomości.
- Wiadomo, roztargniony profesor. Łazi, łazi, szpera krótkowzrocznymi ślepiami, i nagle chwytą się za łysy łeb, święty Antoni, trzecia, zamykają!
- Taki roztargniony to on nie był. Przeciwnie, człowiek raczej systematyczny. Wygląda na to, że się strasznie pośpieszył z tym obiadem, żeby zdążyć na pocztę. Musiał podczas obiadu dowiedzieć się czegoś ważnego.
- A my idziemy teraz do Alhambry, dowiedzieć się tego samego - zrozumiał Potok.
- I daj Boże, żeby nam się udało.

Przed Alhambrą zastali niezły tłumek gapiów, otaczających trzech mężczyzn w kombinezonach.

- Panowie, rozejść się - namawiał żartobliwie najstarszy z tych trzech - *macht los von hier!*

- Dymitr - szepnął Potok. - Popatrz: szyba...

Wielkiej witryny wystawowej Alhambry nie było.

Znikła. Nic nie oddzielało wnętrza lokalu od ulicy oprócz miękkiego półmroku, z którego, jak spod podartego pokrowca, wzyerały brzegi stołów, oparcia krzeseł, zmatowiałe szkliwo żyrandola. Mężczyzna w kombinezonie uprzątał z trotuaru szkło. Dymitr słyszał, jak mruknął do swojego pomocnika: - Da się coś z tego wybrać.

- Dymitr - powiedział cicho Potok - ja ci mówię, że niepotrzebnie wypruwamy z siebie żyły. Wszystko jest jasne jak pasta do lakierków. Na mój frajerski rozum to szefem gangu jest jakiś szklarz. Przyskrzynić wszystkich szklarzy i prawda sama wyjdzie na wierzch.

- To samo mówił Skorpion. - Dymitr zaśmiał się. - Dziwne tylko, że nie oszczędzili Alhambry. Przecież Batkowski opłaca Towarzystwo?

- Może się spóźnił z podatkiem?

Dymitr nie odpowiedział. Wszystkie konstrukcje zawały się. Znowu w ciemnym pokoju, myślał, znowu uderzam łbem o szafę. Poczul dotknięcie delikatnej dłoni. Nina wyglądała teraz lepiej niż rankiem. Puder i trochę szminki usunęły ślady niespokojnej, bolesnej nocy. Jej oczy znowu spoglądały łagodnie i malowało się w nich to samo bezradne zdziwienie, które tak go wzruszyło w wagonie.

- Popatrz, dopadli Batkowskiego - powiedział. - Cała witryna w proszku.

- Kiedy to mogło się stać?

- Myśle, że nad ranem. Kiedy on był z nami u ciebie.

Zastanowiła się i powiedziała:

- Teraz nie wypada już brać od niego pieniędzy.

- Właśnie, i chyba trzeba mu o tym powiedzieć. Chodź, złożymy mu wyrazy współczucia.

Batkowski przyjął ich natychmiast. Prosił usiąść, poczęstował papierosami, zapytał, jak się czują. Był uprzejmy, ale trochę jakby roztargniony.

- *Reisefieber*? - spytał Dymitr wskazując na dwie duże walizy stojące pod ścianą.

Batkowski machnął lekceważąco ręką.

- Gdyby tylko to... Ale mam jeszcze wygłosić przemówienie. Sam pan rozumie, temat drażliwy, każde słowo musi być na miejscu. - Podjął z biurka zapisaną kartkę - Zanotowałem je sobie, ale wolę mówić z pamięci. - Uśmiechnął się. - Wypada serdeczniej.

Dymitr wstał.

- Nie będziemy panu zabierać czasu.

- Dobrze, to załatwimy szybko sprawę.

- Właśnie przyszliśmy panu powiedzieć, że to nieaktualne.

- Dlaczego? - zdziwił się Batkowski.

- Dlatego... - Nina zająknęła się. - Ponieważ pan burmistrz... ponieważ gang zaatakował również pana zakład i pan też poniósł straty.

- Widziała pani? - podchwycił z ożywieniem Batkowski. - Łobuzerka, niech pani sama powie. - Chwilę stał namyślając się, jego spojrzenie było jakby nieobecne, wydawało się, że zamiast źrenic ma same białka, jak człowiek dotknięty ślepotą. Nagle twarz jego przybrała wyraz jowialny, dobrotliwy. - Moje straty to moje straty, na biednego nie trafiło, co się pani należy, to się należy. Słowo dżentelmena, rozumie pani sama. Zrobimy tak: dostanie pani teraz z kasy trzydzieści tysięcy zaliczki. A po remoncie przedstawi mi pani rachunek i wypłacę resztę.

- Pan jest bardzo wspaniałomyślny - podziwiła go Nina.

- Słowo się rzekło, droga pani, słowo kupieckie. - Otworzył drzwi do sąsiedniego pokoju. - Pani Steniu! - zawołał. - Proszę wypisać dla pani Kotwicz kwit do kasy na trzydzieści tysięcy. - Nagle zawahał się. - Nie, nie trzeba, wypłacę gotówką.

Otworzył szufladę i wyjął z niej pieniądze. Nina podpisała pokwitowanie. Potem Batkowski odprowadził ich do drzwi.

- Będą państwo na uroczystości? - Spojrzał na zegarek. - Za trzy kwadransy na placu Haworka. Do zobaczenia!

Wychodząc słyszeli, jak zwracał się do sekretarki:

- Pani Steniu, proszę powiedzieć ludziom, żeby zanieśli walizy na Mieszka...

- Rzeczywiście dżentelmen - powiedziała Nina, kiedy znaleźli się w korytarzu. - Nie spodziewałam się tego po nim. I co za

gest! Nie czuło się, żeby choć trochę było mu żal tych pieniędzy... - Dostrzegłszy zasepienie na twarzy Dymitra, przytuliła się do niego i spytała: - Nie jesteś chyba zazdrosny?

- O niego? Nie. Tylko wiesz co? Chodźmy do kasjera!

- Po co? - zdziwiła się. - Pieniądze już mamy.

- Coś mi przyszło na myśl - powiedział tajemniczo Dymitr. - Coś mnie intryguje.

Pokoik księgowego i kasjera zarazem znajdował się w tym samym korytarzu. Zastali mężczyznę średniego wzrostu, szczupłego, o twarzy pociągłej, na której uwydatniał się nos, duży i owłosiony. Małe, siwe oczy patrzyły bystro i jakby kpiąco. To, co jednak było najbardziej dla wyglądu kasjera charakterystyczne, to całkowicie naga, podłużna czaszka. Kasjer znał Ninę, rzucił się do całowania rączek. Nina zarekomendowała Dymitra:

- Pan redaktor ma sprawę do pana.

- Redaktor? Proszę. Wywiad? Lepiej, panie redaktorze, trzymać język za zębami. Chyba, że to ma być o mnie samym. Czterdzieści lat uczciwej pracy, panie redaktorze, czterdzieści lat i żeby chociaż jakiś medal, odznaczonko... A przecież człowiek jest nie bez zasług ogólnych, że tak powiem. W dziewiętnastym roku, panie redaktorze, byłem pisarzem w pułku, nie uchylałem się, nie. Nikt o tym nie wie, a mnie moja godność nie pozwala się starać.

Dymitr pokazał zdjęcie Justyniana.

- Rozmawiał pan z tym człowiekiem?

Pan Bednarczyk przyglądał się zdjęciu.

- Chyba tak. Zaraz... Był bez okularów. Pewnie je zdjął do mycia.

- Jakiego mycia?

- Bo spotkaliśmy się w toalecie. Właśnie zjadł obiad.

- To było w niedzielę? - spytał Dymitr.

- Tak, chyba w niedzielę.

- A godziny pan sobie nie przypomina?

- Owszem, pamiętam dokładnie, musiało być kilka minut po drugiej. Bo widzi pan, ja zawsze jadam obiad o drugiej, ale tego dnia, jak to w niedzielę, to się trochę spóźniłem.



- A o czym panowie rozmawialiście?  
- Tego już, pan redaktor wybaczy, nie przypominam sobie. Nic ważnego pewnie. Takie toaletowe rozmówki. Bez znaczenia.

- Chyba ważne, skoro ten pan od razu pobiegł na pocztę.

Księgowy potarł łysą czaszkę.

- Zabij mnie pan, nie pamiętam! - Uśmiechnął się smutno. - Skleroza. Dziura w głowie. Nie ma się co śmiać. Każdego to czeka.

Dymitr schował zdjęcie. Zastanawiał się, jak sformułować następne pytanie.

- Panie Bednarczyk, jak to się właściwie stało, że Alhambra została napadnięta? Czy pan Batkowski nie płaci regularnie za ochronę?

- Jaką ochronę? - spytał księgowy wyraźnie zmieszany.

- Ochronę Towarzystwa Samopomocy Obywatelskiej.

Kasjer uderzył dłonią w grubą księgę buchalteryjną.

- Proszę pana - powiedział skrzeczącym głosem. - Tutaj, u mnie, są wszystkie dochody i rozchody Alhambry. Nie mam takiej pozycji, jaką pan wymienił.

- Czy to znaczy, że Alhambra nie płaci Towarzystwu ani grosza?

- Ani grosza!

- A mnie robił wyrzuty! - oburzyła się Nina.

Dymitr dał jej znak, żeby milczała. Zwrócił się do starego kasjera:

- Panie Bednarczyk, a może szef płaci im z własnej kieszeni? Nie przeprowadzając tego przez księgi?

- Nie, tego on nie robi. Nasz szef jest człowiekiem skrupulatnym. Lubi mieć wszystko wyliczone. Tego on nigdy nie robi, żeby płacić bez księgowania.

Dziś zrobił, pomyślał Dymitr.

- Panie kochany - powiedział - to wy tu musicie się mieć ciągle na baczności. Towarzystwo nie mogło tego puścić płazem. Musiało tu być dużo awantur.

- Nigdy nie było żadnych awantur - zaprzeczył księgowy z godnością. - Alhambra jest spokojnym lokalem. - Znowu

dotknął dłonią łysej czaszki. - Wie pan, ten obywatel, ten z fotografii, właśnie o to pytał. O to, o to! Pamiętam jak dziś! - ucieszył się księgowy. - Pytał, czy płacimy na Towarzystwo, a potem, czy są awantury.

- I pobiegł na pocztę - powiedział Dymitr do Niny. - Rozumiem go. Rozumiem. Myślał, że wszystko ma w swoim ręku. Nie wiedział tylko o tym, o czym my dzisiaj wiemy: że Towarzystwo nie oszczędzi Alhambrzy. Że w końcu polecą szyby...

- Nie rozumiem, o czym pan mówi - mruknął pan Bednarczyk. - Czy o witrynie, którą zbito tej nocy?

- Właśnie o tym.

- To z tym Towarzystwo nie ma nic wspólnego. Zbił ją ten zwariowany Włoch, pan Dorado. Musiał chyba dostać szału. Biedny pozer, dali mu dziś rano wymówienie. Jemu i jego dziewczętom. Mam im wypłacić za trzy miesiące z góry i potrącić za szybę.

Pan Bednarczyk jeszcze długo mówił o wyczynie Włocha, ale Dymitr nie słuchał. „Moje serce biło spieszonym rytmem - opowiadał mężczyzna na ciemnym molo. - Nagle zaczęło się wszystko pięknie układać. Zupełnie jak podczas rozwiązywania zgadywanki literackiej. Początkowo mamy tylko pojedyncze litery, porozrzucane, nie związane, czasem w połączeniach, które się wydają niemożliwe w języku polskim. I nagle zaczynają się litery wiązać w słowa, w zespoły słów, wyskakują całe zdania, wszystko się samo uzupełnia! Tak i ta wiadomość, że pan Dorado zbił szybę - Dorado, a nie Towarzystwo - nagle mi zaczęła wszystko wyjaśniać. Nie potrzebowałem już kontynuować biegu wydarzeń, jak wtedy, kiedy oskarżałem Zawiszę. Teraz wydarzenia układały się same, to one komentowały rzeczywistość. A więc Justynian wiedział! I ja już też wiedziałem. Przeszkadzało mi trochę to, że Batkowski zwolnił z pracy Dorada. Po co to zrobił? Wobec Niny okazał się bardziej wielkoduszny - i to wydawało mi się odpowiednie w jego sytuacji i zamiarach.

- Redaktor! - usłyszał głos Marty w holu. Miała na sobie płaszcz i kapelusik z piórkiem. - Och, panie redaktorze -

powiedziała podbiegając do Dymitra - nie przyniósł mi pan szczęścia, nie. Wyrzucili nas na zbity pysk.

- Może pani przecież zostać - powiedział Dymitr, któremu przypomniła się słabość Skorpiona do tej dziewczyny.

- Nie, chłopaczku, wszystkie to wszystkie, nie opuszczę biednego Antonia, musiałby od nowa klecić zespół.

- Gdzie Dorado? - spytał.

- Przy tylnym wyjściu, z walizkami.

Dymitr wybiegł na ulicę. Dorado, ożywiony, rozgestykulowany, z kapeluszem na głowie, zsuniętym zawadiacko na bakier, wyglądał między siedzącymi na walizkach dziewczętami jak dumny kogut w kurniku. Na widok Dymitra rozwarł szeroko ramiona.

- Dymitr! Gwiazdo moja! - zawołał. - Bohaterze moich najpiękniejszych dni! Popatrz pan, popatrz, jaka katastrofa. Chwila szaleństwa, zaćmienia - i jaka katastrofa. Popatrz na te biedne dziewczęta, na te kwiaty Riwiery. Pogrom! Tułaczka! Taki łobuz, *mamma mia*. Od razu wymówienie, eksmisja, bez litości, bez serca.

- Nie myślałem, że pan Batkowski będzie taki bezwzględny.

- Jaki znowu Batkowski! - wykrzyknął Dorado. - Haworek! *II presidente!*

- Haworek? - spytał Dymitr zdumiony.

- *Si*. Batkowski nawet nas bronił. Ale Haworek był nieubłagany.

- Ale co tu Haworek ma do rzeczy?

- Przecież to wspólnik! Jak to, nie wiedział pan? Batkowski przypuścił go do spółki, żeby mieć na niego wpływ. To się opłaca, taka spółka z burmistrzem, ale ten skąpiradło Haworek krzyczał teraz: „Ja zostaję i nie chcę być z tym bandytą ani godziny!” *Bandyta, brigante* - to ja. I co z nami teraz będzie? - biadał Dorado.

Dymitr klepnął go po ramieniu.

- Nigdzie pan nie pojedzie, Dorado. Gwarantuję. Niech mi pan tylko powie, po co pan to zrobił? To z tą szybą?

Włoch natychmiast się uspokoił.

- Dla kawału. Nie wierzy pan? Słowo! Czulem, że coś trzeba

zrobić. Żadne zaćmienie, słowo. Niech pan tylko nikomu nie mówi. Tam pani Janinie rozbijają gabinet, a tu w Alhambrze - tu, gdzie mieszka zdrada, moje serce tak mówi - tutaj nic i nic. Czasami potrzebna jest awantura. Żeby coś sprowokować. Poszła szyba. No i co sprowokowałem? Straciłem lokal!

- Nie pan nie stracił, panie Dorado. Awantura się udała.

- O czym pan mówi?

- Chce pan nam pomóc? Niech pan skoczy do sąsiedniej kawiarni i zatelefonuje do Skorpiona. Żeby natychmiast tu przyjechał ze wszystkimi ludźmi! Niech obstawi dom. Nikt nie ma prawa stąd wyjść.

- Zrozumiałem, panie Dymitr. - Zwrócił się do dziewcząt: - Panienki, otoczyć dom! Jeśli ktoś będzie próbował się wydostać, krzyczcie i wydrapcie mu oczy. Żywo - *uno, due, tre!*

Otworzyły się drzwi i wyszli dwaj mężczyźni z walizkami Batkowskiego. Potok trącił Dymitra i szepnął:

- Popatrz na tego pierwszego.

- Że co?

- Popatrz, jak dziwnie tacha walizkę.

- Mańkut.

- Nie, nie mańkut. Zabrać go?

- Z kutra. W tych walizkach może być coś ciekawego. Niech je spokojnie odniosą. Weź od Skorpiona pomoc i otocz Mieszka. Jak tylko zejdą na ląd, zaaresztuj i sprowadź tutaj.

- Tak jest.

- Potrzebni nam są żywi.

- Tak jest.

„To dwukrotne: tak jest Potoka rozbrzmiewało mi jeszcze w uszach, kiedy siedziałem w holu z burmistrzem Haworkiem czekając, aż pojawi się Batkowski - mówił Dymitr. Przerwał, żeby odkaszląć, powietrze na molo stawało się ciężkie od opadającej mgły. - Haworek był uprzejmy, ale nie nadskakujący, wpadał w zamyślenie, co usprawiedliwione było trudną uroczystością, która go czekała, a mnie było na rękę, bo pozwalało nie rozmawiać. Męczyła mnie konieczność uchwycenia czegoś w moim życiu, co było związane z owym: tak jest. Było to jak natrętne wspomnienie czegoś identycznego

(uczucie znane panu zapewne), a mimo to absolutnie pozbawionego konkretności. Słyszałem swój głos, ja wydaję rozkazy, Potok je przyjmuje, mówi: tak jest i... Co dalej? Coś innego. Coś, co było tutaj, męcę się wciąż, tutaj w Alhambrze, i był przy tym Haworek, i Nina - tak jak teraz... I nagle zobaczyłem nasz stół z poprzedniego wieczoru: Nina, Haworek, Batkowski, Sidorko, Skorpion i ja. Zobaczyłem to! I usłyszałem! Odtworzył mi się w jakimś zakamarku mózgu cały przebieg rozmowy, zupełnie jakby z zapisu magnetofonowego, nieco przyciszonego i tu i ówdzie uszkodzonego. To dzielny chłopak, ten Zbrożek - słyszę głos burmistrza. - Do strzelania z tyłu. - Pan Sidorko powinien zastąpić Zbrożka. - Tak jest. - Dzisiejsza noc wymaga szczególnej czujności. Teraz, kiedy pani Nina jest tutaj... - Wracam do domu. - Po co? Zwrócimy pani ewentualne szkody. - To pan powinien. Pan jeden. - Dlatego wołałbym, żeby tam był ktoś sprytny. Może pan, panie Sidorko? - Mogę, czemu nie. - Pan Sidorko ma tu dziewczynę. - Będzie jutro jak znalazł. Może nie? - Tak jest... Powtórzył te dwa słowa trzy razy. Że też nie zwróciłem wtedy na to uwagi!"

- Ludzie rozstawieni? - spytał szeptem Dymitr.

Skorpion rozejrzał się.

- Czterech. Przy drzwiach i oknach.

- A tamci z Mieszka?

- Czekaają w garderobie.

- Idzie - szepnęła Nina.

Batkowski schodził powoli na dół. W palcie i z kapeluszem w dłoni, z przyglądzonymi, rzadkimi włosami z przedziałkiem po środku głowy, wyglądał bardzo nobliwie. Dymitr dotknął ramienia Niny.

- Wyjdź do szatni.

Haworek wstał i podszedł do Batkowskiego:

- Czekam, panie radco! Za kwadrans zaczynamy.

Batkowski uściśnął mu wylewnie dłoń.

- Uczyłem się na pamięć - odpowiedział. Zauważył Skorpiona. - O, i pan major zaszczycił. Samochodem czy skorzysta pan z mojego?

Dymitr uznał, że czas zabrać głos:

- Nie ma pośpiechu, panie radco. Uroczystość została odwołana.

- Nie rozumiem.

- Nie będzie placu Ignacego Haworka - oświadczył dobitnie Dymitr.

Burmistrz osunął się na fotel.

- Kto...? Jak to? Pan żartuje? Domyślam się, czym pan jest wysłannikiem, ale...

- Nie jest to moja sprawa - przerwał mu Dymitr - ale myślę, że pan, panie Haworek, sam się poda do dymisji. Może pan ją złożyć na ręce delegata rządu, tak będzie najstosowniej.

Haworek był trupio blady. Batkowski uśmiechnął się smutno:

- I po co ja tak wkuwałem przemówienie?

- Ma pan je przy sobie? - spytał Dymitr. Wyciągnął rękę. - Poproszę.

Wziął od Batkowskiego kartkę papieru i przebiegł ją oczyma. Potem zmiął kartkę i cisnął w kąt.

- Do kitu - powiedział. - Same frazesy. Myślałem, że da się przyczepić do jakiejś innej okazji, ale... zostawmy to. - Sierzancie - zawołał Dymitr - niech wejdzie ten z obandażowaną ręką. Niech pan siada, panie Batkowski.

Batkowski usiadł w fotelu. Dymitr stanął za nim, oparł dłoń na ramieniu właściciela Alhambry, mogło się wydawać, że są bliskimi przyjaciółmi. Na widok draba z obandażowaną ręką Batkowski poruszył się w fotelu.

- No i co? - spytał. - Co to ma znaczyć?

- Czy to jest pański człowiek? - spytał Dymitr.

- Jak to „mój” człowiek. Ja nie mam „swoich” ludzi.

- Czy pracuje u pana?

- Tak.

- Odnosił dziś pańską walizkę?

- Tak.

- Panie Haworek - zwrócił się Dymitr do burmistrza. - Mam nadzieję, że to, co powiem, będzie dla pana przykrą niespodzianką. Ten człowiek z obandażowaną ręką

zamordował Sidorkę na rozkaz pańskiego współnika.

- Boże święty! - jęknął Haworek.
- Pan oszalał - mruknął Batkowski.
- Złowrogi, wiesz dobrze, że jestem przy zdrowych zmysłach. Batkowski szukał właściwego słowa. Nagle wybuchnął:
- Insynuacje! Skandal! Za tyle lat pracy!

Dymitr pokiwał głową.

- Zaraz się przekonamy - powiedział spokojnie. - Dysponujemy, oczywiście, próbą krwi, ale to nie jest ani dowód ostateczny, ani konieczny. Dysponujemy też pańskimi walizkami. Nie muszę ich otwierać. Pan sam wie dobrze, że ich zawartość wskazuje na to, że miał pan zamiar zwinąć interes raz na zawsze. Przeze mnie. Ale to nie wszystko.

Dymitr zwrócił się do draba z przewiązaną ręką:

- Zabijeś?

Tamten wskazał na Batkowskiego:

- On kazał.
- Kłamie! - krzyknął Batkowski. - Po co miałbym zabijać Sidorkę? Sidorko był człowiekiem Zawiszy. Zabił na rozkaz Zawiszy. Pan sam to słyszał!

- Sidorko był twoim człowiekiem, Złowrogi. Twoim podkomendnym. Twoim podwładnym. Wiem o tym z najlepszych ust.

- Od kogo? - spytał Złowrogi, a ramię jego zadrgało pod dłonią Dymitra. - Kto śmiał insynuować?

- Od niego samego, od Sidorki. Powiedział mi to wczoraj. W twojej obecności, Złowrogi. Trzykrotnie. Zapomniał się i na każde twoje odezwanie odpowiadał „tak jest”.

Batkowski milczał.

- A dzisiaj ty sam dopowiedziałeś resztę. Kiedy zobaczyłeś, że ja towarzyszę pani Ninie, uświadomiłeś sobie, że moja rozmowa z księgowym może wydać pewne tajemnice Alhambry. Nagle zmieniłeś swoje obyczaje i wypłaciłeś z własnej kieszeni! Ale to właśnie nasunęło mi pewne podejrzenia. A jeszcze przedtem przy stoliku. Kiedy powiedziałem, że przerwano nam z Sidorką rozmowę, zadbałeś wyraźnie o to, żeby ją doprowadzić do końca, żeby Sidorko

przed śmiercią, którą mu zaplanowałeś, powiedział - tak jak go nauczyłeś - że to Zawisza napuścił go na Justyniana. Próbowaleś potem mnie zabić, ale ci się to nie udało. Próbowaleś obciążyć potem Haworka, ale to nie miało konsekwencji. No, i jeszcze coś, najważniejsze. Nie zaprzeczyłeś wersji, że to gang rozbił szybę! Dużo błędów, Złowrogi, za dużo, jak na takiego spryciarza. - Dymitr, stojąc za krzesłem Batkowskiego, obszukał jego kieszenie. Wyciągnął parabellum i oddając broń Skorpionowi powiedział cicho:

- Możecie go brać.

Ja, słuchacz tej opowieści, spytałem: „A pan? Co się z panem stało? Co pan zdecydował?” Były Dymitr nie odpowiedział. Podniósł się z ławki. „Zimno - poskarżył się. - Przemarzłem na kość. Pewnie to odchoruję”.

Rozkaszał się. Kaszlącego i dygocącego z zimna odprowadziłem do pensjonatu. Świtało.

*Grudzień 1968 r.*



Trzy poprzednie wydania „Twarzy pokrzyzisty” rozeszły się błyskawicznie i próżno by dziś szukać tej książki nawet na polskich targach. Trudno się temu dziwić, stanowi bowiem wyjątkowo udane połączenie powieści par excellence sensacyjno-kryminalnej i psychologiczno-obyczajowej.

Akcja jej rozgrywa się tuż po wojnie. Mówi więc o czasach wielkiego

## **klub srebrnego klucza**



chaosu, wielkich niewiadomych, o czasach, gdy moralnych kodeksów było tyle, ile ludzi.

Na tym tle, w scenerii niewielkiej nadbałtyckiej miejscowości (domyślamy się w niej Sopotu) dwóch głównych bohaterów powieści stara się znaleźć odpowiedź na pytanie, które w dalszej perspektywie jest pytaniem o sens kilku lat walki z okupantem. Śledztwo przez nich prowadzone może przyczynić się do upadku człowieka, któremu w najcięższych latach ślepo ufali, który wydawał im się ideałem. Jego upadek i dla nich może być klęską ostateczną.